

Małgorzata Jastrzębska-Głapa

Odyseja uchodźców polskich
z 1915 roku w oparciu
o wspomnienia
świadków wydarzeń

Trochę historii
dla dzieci i wnuków

Wrocław 2022

© Copyright by Małgorzata Jastrzębska-Głapa

ISBN 978-83-64630-67-5

Korekta, łamanie: Wojciech Kazimierz Głapa

Projekt okładki: Autorka

Fotografia na okładce

Kuchnia polowa dla bieżenców w Bobrujsku, 1915 r.
(Źródło: A. Prymaka-Oniszk, *Kim byli uchodźcy w Rosji w 1915 r.*,
„Polityka” , 14 marca 2017)

Spis treści

Wstęp	5
Pierwszy rok wojny	9
Wygnańcy i uchodźcy	31
Droga	65
W Imperium	95
Rewolucja	133
Powroty	143
Nareszcie u siebie	161

Wstęp

Inspiracją do bliższego zainteresowania się tematem exodusu ludności podczas I wojny światowej była lektura książki Anety Prymaka-Oniszk – *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy*¹. Czytając, ze wzruszeniem odnalazłam w niej kawałek mojej własnej historii rodzinnej.

Urodziłam się we Wrocławiu, gdzie rodzice w 1946 r. dotarli po tułaczce wojennej. Dorastałam wśród dzieci osiedleńców z różnych stron – ze zrujnowanej Warszawy, centralnej Polski, a przede wszystkim z Kresów Wschodnich – spod Lwowa, Wilna, Stanisławowa, czy z obecnych terenów białoruskich. Przybysze w walizkach przywieźli nie tylko swoje tradycje, ale również przeżycia i historie. Mnie, w młodości, przeszłość nie interesowała. Żyłam dniem dzisiejszym. Jako typowe dziecko PRL-u, mieszkałam na tzw. Ziemiach Odzyskanych, wychowywałam się na polskich i radzieckich filmach z II wojny światowej, śpiewałam partyzanckie piosenki. W domu nie rozpamiętywano czasów przedwojennych, ale stopniowo docierało do mnie, że przed II wojną rodzice byli ziemianami, mieli majątek Wiktorowo pod Ciechanowcem na Podlasiu. Po 17 września 1939 r. w czasie okupacji sowieckiej zostali z niego wygnani, musieli się ukrywać, a w końcu uciekli przez zieloną granicę do Generalnej Guberni. Po wojnie majątek objęła reforma rolna. Rodzina nie mogąc wrócić w swoje strony zadowolniła się we Wrocławiu. Tu urodziłam się ja i mój młodszy brat. Piątka starszego rodzeństwa przyszła na świat przed wojną w Wiktorowie lub pod Warszawą podczas okupacji niemieckiej.

Czasem przy rodzinnym stole tato śpiewał rosyjskie piosenki, rozmowa schodziła na wspominki – mówiło się, że był zapiewajką w wojsku – gdzieś w Rosji. Jako dziecko słuchałam tego, ale tak naprawdę nie miałam pojęcia o co chodzi. Wojna kojarzyła się z II wojną światową i z ZSRR. A tu Rosja nie ZSRR! Kiedy to było? Nie pytałam, nie dociekałam, traktowałam to jak ciekawą opowieść, którą trudno osadzić w realnym dla mnie świecie.

¹ Aneta Prymaka-Oniszk – *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy*, Wyd. Czarne 2017.

Dopiero w 1972 r., kiedy ojciec poważnie zachorował i przez kilka miesięcy przebywał w szpitalu, a my, już dorosłe dzieci, często towarzyszyliśmy mu w jego cierpieniu – zaczął szczegółowo opowiadać o swoim życiu; dzieciństwie, młodości, o doświadczeniach wojennych. Życie miał barwne; urodził się pod zaborami w 1896 r., przeżył obie wojny światowe, rewolucję październikową w Rosji i wojnę 1920 roku.

Mama – pasjonatka nagrywania, dyżurując przy jego łóżku utrwalała te wspomnienia na taśmie magnetofonowej. Po latach, już po śmierci rodziców, opowieści te przeniosłam na papier. Szczególnie ciekawe dla mnie były przeżycia z okresu I wojny i pobyt dziadków w Rosji². Traktowałam je, jako prywatną historię rodzinną. Nie miałam świadomości ogromu wydarzeń. Wśród wrocławskich znajomych temat nie istniał, nikt nie wiedział o takim exodusie. W szkole o nim nie wspomniano, milczały o tym podręczniki historii.

Teraz po lekturze książki Anety Prymaka-Oniszcz, traktującej o wędrówce ludności Ruskiej – prawosławnej w głąb Rosji w czasie I wojny światowej ze zdziwieniem stwierdziłam, że wśród Podlasiaków wydarzenia te są wciąż żywe i wspominane. Zdałam sobie sprawę, że moi dziadkowie i ojciec dzielili los ogromnej rzeszy ludzi. Jak dowiedziałam się, rodzinne strony opuściło ponad trzy i pół miliona ludzi, niektóre opracowania mówią nawet o pięciu milionach, w czym z terenów współczesnej Polski wyjechało ponad 2 miliony³.

Tymczasem w polskiej pamięci i historii exodus ten został wyparty przez późniejsze dramaty II wojny światowej. Literatura przedmiotu jest bardzo uboga. Stanowią ją jedynie monografie naukowe, trudno dostępne pamiętniki świadków wydarzeń czy też fragmenty szerszych opracowań rodzinnych.

² Wspomnienia Antoniego Jastrzębskiego (1896–1972). Nagranie z 1972 r. obejmujące okres od ok. 1903 do 1945 r.

³ Według szacunkowych danych Centralnego Komitetu Obywatelskiego z Kongresówki wyjechało ok. 1 milion mieszkańców: gubernię łomżyńską opuściło 81 654, chełmską 57 811, lubelską 46 898, warszawską 28 400 (bez Warszawy), suwalską 25 835, radomską 22 101 oraz Warszawy 43 562 osób. Mniejsze liczby wygnańców były z guberni płockiej 11 059, piotrkowskiej 10 834, kaliskiej 4 348, kieleckiej 3 608. Na tzw. Ziemiach Zabrzanych – z guberni grodzieńskiej wyszło 800 tys. mieszkańców, a z chełmskiej 300 tys.

Bieżeństwo weszło do przestrzeni publicznej głównie, jako historia ludności chłopskiej, przede wszystkim prawosławnej, ale dotyczyło ono również ziemian, drobną szlachtę, dzierżawców, pracowników rolnych, a także mieszkańców miast i miasteczek – Żydów, robotników i inteligencję. Oni również byli wyganiani ze swoich domostw i pod przymusem jechali w głąb Imperium Rosyjskiego.

Majątki ziemian bywały podpalane przez wycofujących się Rosjan. Musieli patrzeć jak efekt pracy wielu pokoleń idzie z dymem. Oni, podobnie jak chłopci przeżyli wstrząs; ich byt został zagrożony, a po przymusowej ewakuacji musieli przetrwać na obcym sobie terenie. Dla bogatszych ziemian dodatkowy problem stanowiło przeprowadzenie, a potem utrzymanie dużych stad koni i bydła hodowlanego.

Historie ziemian i inteligencji z pewnością były mniej dramatyczne od losów chłopów. Często mieli na wschodzie krewnych czy znajomych, do których mogli się udać, a posiadanie gotówki, znajomość języka, wykształcenie, umiejętność poruszania się w gąszczu rosyjskich przepisów znacznie ułatwiało przetrwanie tego trudnego czasu. Nie mniej i ich losy warto przytoczyć, aby uzupełnić obraz tej wielonarodowej, wielowyznaniowej i wielokulturowej społeczności uchodźczej.

Postanowiłam więc, nie tylko udostępnić znane w kręgu rodzinnym opowieści ojca, ale również zebrać rozsiane w różnych publikacjach, wspomnienia wielu polskich tułaczy.

Dzieła historyczne dotyczące I wojny światowej skupiają się na opisach działań wojennych, natomiast doświadczenia zwyczajnych ludzi można znaleźć jedynie w pamiętnikach z tego okresu. I właśnie na podstawie tej lektury pragnę odtworzyć realia przymusowej ucieczki, przebiegu tułaczki, pobytu i powrotu do Polski. Wiele wspomnień przytaczam dosłownie, gdyż odzwierciedlają one emocje piszących, niosą szczegóły, które pozwalają lepiej wyobrazić sobie tragizm sytuacji. Stanowią one pogłębienie mojej historii rodzinnej, a także przywracają pamięć o tamtych czasach i ludziach. Nie mam ambicji pokazania prawdy historycznej, nie piszę o przebiegu frontów, o wielkich bitwach, o polityce. Jedynie na podstawie wspomnień przytaczam historie pojedynczych osób i rodzin, których życie zmieniła wojna między zaborcami.

Jak piszą historycy I wojna światowa dla ziem polskich była dużo bardziej destrukcyjna niż II. W wyniku walk na naszym terenie zniszczono kompletnie przemysł i rolnictwo, dziesiątki małych miast i setki wsi zostało zmiecionych z powierzchni ziemi.

W literaturze światowej dominują opisy frontu zachodniego. Pamięta się o spaleniu belgijskiego Louvain, a zapomina o zbombardowanym i zniszczonym w 90% Kaliszu, czy Gorlicach, które całe legły w gruzach. Opisuje się często atak gazowy pod Ypres, a mało znany jest fakt, że również na terenie dzisiejszej Polski, pod Bolimowem (dziś miasto w woj. łódzkim), Niemcy zabili chlorem ponad 2 tys. żołnierzy armii rosyjskiej.

W historii Polski z okresu I wojny światowej podnosi się bohaterstwo legionistów Piłsudskiego czy Armii Hallera, a niewiele pisze się o tych, którzy bezpośrednio zostali wcieleni do armii trzech zaborców; a było ich ponad 3 miliony! Mniej więcej, co szósty Polak oddał życie za obcą sprawę.

Pierwszy rok wojny

26 lipca 1914 r. Konrad Lipczyński – właściciel Bartotycz k. Zamościa na imieninach u kuzynostwa dowiedział się, że Austria wypowiedziała wojnę Serbii. Nie przypuszczał wtedy, że fakt ten będzie początkiem wielkiej zawieruchy, która zmieni porządek świata. Dopiero 30 lipca, na wieść, że straż graniczna z Krzeszowa nad Sanem pali budynki rządowe, rekwiruje konie i ucieka w popłochu, zrozumiał, że sprawa jest poważna. Tym bardziej, że następnego dnia ogłoszono mobilizację, a z jego majątku zabrano do wojska rządcę, stelmacha, karbowego, dozorcę i fernali. Utrudniło to bardzo funkcjonowanie gospodarstwa, szczególnie, że był to czas żniw. Oderwano od pracy i rodzin tysiące ludzi, a Zamość stał się istnym obozowiskiem rekrutów.

Podobnie było w wielu sąsiednich miasteczkach. We Frampolu jak odnotował Hieronim Wąsek: *„Nastąpiła mobilizacja, która objęła i naszego Ojca. Nazajutrz cały rynek naszego miasteczka został zapchany furmankami, które przyjechały po zmobilizowanych, aby przewieźć ich do najbliższej stacji kolejowej, którą była stacja w Rejowcu, dla wcielenia do armii rosyjskiej do walki z Austrią. Odprowadziliśmy Ojca na rynek, a była nas spora gromadka. Mama z kilkumiesięcznym dzieckiem na ręku – Bogunią i z siedmiorgiem dzieci, z których najstarszy Bolesław miał 15 lat. Ojciec był tym wszystkim bardzo wstrząśnięty, zakrył oczy rękoma rzewnie płakał, jakby przeczuwał tragiczne skutki wojny dla nas wszystkich. Wróciliśmy z płaczem do domu, otoczyliśmy Mamę, która stała się dla nas, dla ośmiorga małych dzieci jedyną opiekunką i orędowniczką”⁴.*

Rodziny carskich oficerów i urzędników uciekały w głąb imperium. Przyjeżdżające autobusy pełne były kuracjuszy, którym udało się wy dostać z Zakopanego, Rabki i innych galicyjskich uzdrowisk. Lipczyńscy spędzali te dni w Zamościu, gdyż mogli tam na bieżąco śledzić tok wydarzeń, podczas gdy do majątku gazety przychodziły z kilkudniowym opóźnieniem. Tam dowiedzieli się o wojnie Niemiec z Francją,

⁴ Wspomnienia Hieronima Wąska na blogu Andrzeja Burlewicza – *I wojna światowa we Frampolu i na Biłgorajskiej Ziemi*.

Niemiec z Belgią, Niemiec z Anglią, a w czwartek 6 sierpnia o wojnie Rosji z Austrią. Wśród mieszkańców pogłębiał się nerwowy nastrój. Przerazenie ludności spotęgowało zaćmienie słońca, które miało miejsce 21 sierpnia 1914 r. W opinii powszechnej wieszczycyło ono straszne kataklizmy i nieszczęścia. Opis tego zjawiska pojawia się we wspomnieniach pamiętnikarzy pochodzących z różnych stron. Ewa Dzieduszycka pisała: „Dzień był gorący, słoneczny. Nagle zaczęło szarzeć, aż zrobiło się całkiem ciemno. Wszędzie pozapalano lampy. Ptaki z krzykiem wracały do gniazd. Z kolei Maria Czapska widziała to tak: „Czarny dysk w otoku pojawił się na niebie. Ptaki zapadły jakby na noc, zmierzchało i powiało chłodem Splotzone chłopskie koniki porwały puste wózki, ciągnące się od strony Mińska., pognały mostem rozklekotanym i znikły za rzeką”. Matylda Sapieżyna⁵ obserwując to zjawisko w lwowskim ogrodzie, opisywała je jako „tajemniczą ciszę i niesamowite przyćmione światło”. Ziemianie, sądząc że zawierucha nie potrwa długo, starali się kontynuować żniwa. Młode pokolenie wojny nie przeżyło i nie miało wyobrażenia jak ona wygląda.

Na tereny zamieszkałe przez Polaków burza wojenna weszła z wielu stron. Wojska austro-węgierskie zaatakowały z południa, a niemieckie z zachodu (spalenie Kalisza, zajęcie Częstochowy) i z Prus Wschodnich po rozgromieniu Rosjan. Na Galicję z kolei uderzyli Rosjanie.

Austriacy już 7 sierpnia 1914 r. pod Tomaszowem Lubelskim przekroczyli granicę z Królestwem. W tym dniu mieszkanka Lubelszczyzny – Eugenia Dominiowa relacjonowała: „Austriacy idą! Idą szeroką ławą – armia gen. Dankla przez Zaklików na Janów i Kraśnik, armia gen. Auffenberga od Rawy Ruskiej na Tomaszów jednym skrzydłem i od Tarnogrodu na Biłgoraj skrzydłem drugim. Na te wieści pierwszym odruchem okolicznych mieszkańców było pakowanie rzeczy, chowanie żywności. Kufry, kosze, toboły zwłóczęgą ludzie do piwnic, lochów lub wprost zagrzebują w ziemi [...]”.

Pod datą 18 sierpnia zanotowała [...] „w Tarnogrodzie, Janowie, Biłgoraju, Józefowie, Zwierzyńcu Austriacy są jak u siebie. Nad urzędami pocztowymi wywiesili tablice z niemieckimi napisami. Telefony naprawili ustawiając aparaty własne i łącząc całą linię z Austrią”⁶.

⁵ Matylda z Windisch-Graetzów Sapieżyna – *My i nasze Siedliska*.

⁶ Eugenia Dominiowa – *U progu wielkiej wojny*. Autorka pamiętnika Eugenia z Aleksiewiczów Dominiowa ur. w 1872 r. w Ziemi Suwalskiej, zm. w 1917 r. w Kijowie. Wyszędłszy za mąż za urzędnika cukrowni Klemensów; spędziła tam 18 lat. Parała się literaturą, napisała sztukę

Tymczasem już wieczorem Austriacy musieli ustąpić i wrócili telegrafieści rosyjscy. W Zamościu Rosjanie wytrwali do 21 sierpnia, po czym wycofali się z miasta. Następnego dnia wkroczyli Austriacy; utrzymali się tam tylko dwa dni – pod naporem piechoty rosyjskiej musieli zawrócić w okolice Tomaszowa. Front zmieniał się z każdym dniem. Wiele wsi przechodziło z rąk do rąk, a ludzie czuwali w ciągłym zagrożeniu. I tak było aż do jesieni 1914 r. Większość mieszkańców Lubelszczyzny przeżywała gehennę toczących się nad nimi walk. W czasie bitwy tysiące kul armatnich przeszywało powietrze ścinając drzewa, rozwalając domy. W ogólnym chaosie w tumanach kurzu, dymu łatwo było o śmierć. Ludzie ginęli od szrapneli⁷, kul armatnich i broni maszynowej czy ręcznej. Mogli tak, jak państwo Czerscy udusić się dymem w piwnicy własnego spalonego domu. Dramat tamtych dni wspomina Lucjan Wysocki z Wysokiego:

„27 sierpnia około godziny dziewiętej zobaczyliśmy, że Austriacy zbliżają się, a wojska rosyjskie cofają się na całej linii. Huk armat straszny, kule przelatywały nad naszymi budynkami. Pochowaliśmy się do dołów i miejscowego kościoła. Po trzygodzinnej walce Wysokie zostało zajęte przez Austriaków. Powychodziliśmy z kryjówek. [...] Kiedyśmy zmęczeni ciągłym czuwaniem, przemarszem wojska itp. zasnęli, o godzinie jedenastej w nocy usłyszeliśmy strzały karabinowe i z kartaczożnic. Szyby poczęły wylatywać, kule gwizdały koło uszu, ratowaliśmy się ucieczką z domów do dołów (ziemianek na ziemniaki), a za chwilę Wysokie ogarnął pożar. Tak po różnych dołach i kryjówekach przesiedzieliśmy do rana. [...] Szóstego września zobaczyliśmy na wzgórku od Lublina kozaka”⁸.

Działanie wojska ignorujące ludność cywilną, gwizdające szrapnele i granaty uniemożliwiały skuteczne schronienie. Mieszkańcy często uwięzieni w ziemiankach lub we własnych domach byli zupełnie bezradni.

ludową *Swaty*, nagrodzoną na konkursie im. S. Wyspiańskiego w Poznaniu w 1912 r., wystawioną w Warszawie w Teatrze Powszechnym, pisywała też w *Sfinksie* Bukowińskiego.

⁷ Szrapnel – pocisk artyleryjski używany do rażenia ludzi; nazwa od nazwiska wynalazcy, angielskiego gen.-majora Henrego Shrapnela. Pocisk zawiera lotki (np. w postaci ołowianych kulek lub strzałek), wyrzucane z pocisku ładunkiem prochowym, przy wykorzystaniu zapalnika czasowego. Po wyrzuceniu z korpusu lotki rozlatują się stożkowo na odległość 150–200 m.

⁸ *Ziemia Lubelska* nr 265 z 25. 10.1914 r.

Tak opisuje to Eugenia Dominowa: „*Od godziny drugiej do dziewiątej drętwieliśmy z trwogi w każdej sekundzie oczekując ciosu, który spadnie na dach, przebije sufit i rozszarpie nas na strzępy – pierwszy raz w życiu dzień wydawał się nam tak nieskończenie długi. Siedząc na podłodze w kącie pokoju, zmęczeni, bezradni wobec potęgi, która życie tysięcy ludzi ważyła na szalach przypadku, bezgranicznie zdenerwowani dawaliśmy oboje ostatnie zlecenia naszemu synowi, gdy wtem gruchnęło okropnie z sufitu posypał się tynk, pokój napętnił się białym pyłem. Siedzieliśmy jak skamieniali, oczekując rychtoli nadejście ciosu ostatni i przysypie gruzem. Ale cios nie przychodził. [...] O dziewiątej zamilkło wszystko. Nastąpiła cisza wielka nieprzejeđnana, tajemnicza. Cisza nadziei i oczekiwania, zamarł i cały nasz światek w jednym pytaniu: kto zwyciężył?*”⁹

Wieści o katastrofalnych skutkach bitew szybko rozeszły się po okolicy. Nic więc dziwnego, że w końcu zdesperowani mieszkańcy jeszcze przed rozpoczęciem bitwy, w panice opuszczali swoje domostwa. Kiedy 26 sierpnia walki zbliżyły się do Bartotycz, a szrapnele austriackie padały koło samego folwarku. Konrad Lipczyński zdecydował się wysłać żonę i dzieci do Lublina, gdzie według niego było bezpieczniej¹⁰. Nazajutrz w ślad za żoną ruszył Konrad i zgromadzeni we dworzec uciekinierzy. Przejeżdżając przez wsie widzieli na każdym podwórzu gotowe do drogi, wyładowane wozy, które momentalnie wyjeżdżały za nimi. Drogą sunął już długi łańcuch wozów z przywiązanymi z tyłu krowami. W oczekiwaniu na uspokojenie sytuacji wielu zdeorientowanych i przestraszonych uciekinierów zebrało się w okolicy folwarku Zarudzie. Niektórzy, obrabowani przez wojsko, dotarli tam pieszo.

Sytuację z Zarudzia opisał Lipczyński: „*Z mgieł rannych wyłania się dziwny pochód. Poznajemy rodzinę p.p. Gołębiowskich i Zajączkowskich. Osób dużo, ponieważ p.p. Gołębiowscy mieli liczną gromadkę dzieci.*

⁹ Eugenia Dominiowa – *U progu Wielkiej Wojny. Wyjątki z dziennika 29 VII–9 IX 1914 r.*, Zamość 1935.

¹⁰ Konrad Lipczyński – *Z moich wspomnień*; AP w Zamościu – *W spuściźnie po Kazimierzu Kowalczyku*; teczka nr 26.



Wieś na Lubelszczyźnie 1914 r.

[<https://blogkazamata.wordpress.com/2016/01/18/album-zdjec-47-reserve-division-1914-16/>]

Panie bez kapeluszy w jasnych letnich sukienkach, zmoczonych rosą od dołu i uwalanych kurzem. Jechali końmi, lecz żołnierze zabrali im wóz, konie pozostawivszy na drodze. Musieli iść nocą na przetaj przez pola z dziećmi do Zarudzia. Tuż koło nas widzimy uciekającą kozacką artylerię, a nad nią pękające szrapnele. Całe zbiorowisko wozów ludności cywilnej kłębi się. Robi się zamieszanie, chaos, istne piekło. Fury rozbiegają się we wszystkie strony."

Właściciele Bartatycz i większość chłopów wróciła w rodzinne strony, kiedy walki przesunęły się, a ich domostwa znalazły się na tyłach armii austriackiej¹¹. W wyniku szybko zmieniającego się frontu wkraadał się chaos; władze wojskowe wydawały sprzeczne rozkazy. Rosyjski żołnierz Lew Naumowicz Wojtolowski utrzymał to we wspomnieniach z sierpnia 1914 r. „Dwie doby bez odpoczynku dniem i nocą rzucili nas do przodu i z powrotem między Krasnystawem a Izbicą. Kpią z nas mówili oficerowie”. Czasami dochodziło do tragicznych pomyłek. Wojtolowski opisuje jedną z nich: „Od Rejowca do Krasnegostawu droga tonie w niebieskich austriackich szynelach. Jeńcy zmęczeni, smutni, z dawno nieogolonymi twarzami idą jak bydło. W oczach obojętność. Gdzieś pod Wysokiem nasza artyleria zauważyła z punktu obserwacyjnego kolumny austriackie w przydrożnym pyłe i otworzyła do nich ogień. Dopiero po 10 minutach wyjaśniło się, że to jeńcy”¹².

¹¹ Krzysztof Radziejewski – *Bartatycze na linii frontu. Wspomnienia z I wojny światowej*, Źródła, źródelka, Wyd. AP w Zamościu.

¹² Lew Naumowicz Wojtolowski – *Wiechodit krowawij mars. Po sledam wojny. Pochodnyje zapiski 1931*, Moskwa 1998.

W pamięci wielu świadków został widok pobojowisk. Żołnierze ranni i zabici leżeli w setkach „jak snopki” koło budynków, w ogrodach, na polach. Z relacji Jana Zajęca: „Psy wyły nieustannie przeraźliwym głosem[...]. Konie włączyły się stadami po drogach i ogrodach”. Zbryzgane krwią, zryte od pocisków, pełne dołów pola trudno było uprawiać, a mieszkańcy byli zmuszani do grzebania poległych. W rezultacie krwawych działań 1914 r. na Lubelszczyźnie wojska austro-węgierskie po początkowych sukcesach zostały zatrzymane przez Rosjan i jesienią zmuszone do odwrotu. Wróciła rosyjska administracja i rządziła tu aż do wiosny 1915 r.

Polacy z Galicji w odróżnieniu od królewaków „nasi” mówili o armii austro-węgierskiej. Ale i tu normalne życie skończyło się wraz z rozpoczęciem wojny. Dwory i folwarki były traktowane przez wszystkie armie jak hotele. Oficerowie zajmowali najlepsze pokoje, domagali się jedzenia, wina, zabierali bez pardonu potrzebne im rzeczy. Do domu Jana Hupka, właściciela majątku Niwiski (pow. Kolbuszowski), wciąż wpadali oficerowie austriaccy, których trzeba było karmić i kwaterować. Za zarekwirowane konie i pasze Austriacy płacili dość dobrze i właściciel Niwisk otrzymawszy gotówkę wystarczającą na rok życia, uciekł do Wiednia. Narzekał jednak, że życie tam jest próżniacze i jednostajne. Wspomina jak zadziwiała go ignorancja C.K. oficerów – pisał ... *nawet wyżsi oficerowie sztabowi idą na wojnę przekonani o tym, że przekroczywszy granicę rosyjską spotkają tam rosyjską ludność. Daremnie tłumaczyłem im, że pod Kraśnikiem i Lublinem napotkają wyłącznie Polaków*¹³.

Na początku wojny życie codzienne, jak piszą pamiętnikarze, utrudniał brak soli i bilonu. Większych nominałów nie można było rozmiąć. Duże majątki takie jak Potockich w Peczorze na Podolu jako wypłatę robotnikom wydawały asygnaty (talony)¹⁴, którymi mogli posługiwać się w okolicznych sklepikach. Zniszczenia galicyjskich dworów i zabudowań folwarcznych często nie były wynikiem bezpośrednich działań wojennych, ale przemarszem wojsk austriackich, niemieckich, a przede wszystkim kilkumiesięcznym pobytom Rosjan. Wraz z hura-

¹³ Jan Hupka - *Z czasów wielkiej wojny. Pamiętnik nie kombatanta*, Niwiska 1936.

¹⁴ Asygnata - dowód upoważniający do podjęcia oznaczonej na nim sumy pieniężnej.

ganowym wkroczeniem Moskali rozpoczął się rabunek na wielką skalę, z dworów zabierano lub niszczone wyposażenie.

Dwór Matyldy Sapieżyny w Siedliskach po takim najeździe został całkowicie splądrowany „żołnierze przytroczyli sobie filiżanki do pasa, garnuszki i wszystko co miało uszko. [...] wyrywano hafty chińskie z zdruzgotanego parawanu rzeźbionego, wyłamano wykładane perłową macicą szafy i biurka, wypróżniano je i wyrzucono na podłogę, co wydawało się mniej pojętne, wszystkie teki, portfele, kasetki zabrano, papiery i listy wyrzucono. [...] wojska rozłożyły się na trawniku przed domem, splądrowano magazyn i kawałkami dywanów przykrywano konie, futra rozerwano, jedni wzięli wierzchy, a drudzy podszycie, ludność zapraszano do dworu, aby zabrała resztki wyrzuconej zdobyczy. Obrazy zostały bez ram albo połamane ramy bez obrazów, malowane obrazy zabrano przeważnie, zostawiając sztychy i fotografie. Garderobę, pościel i bieliznę pakowali oficerowie do naszych kufrów i ładowano na fury i samochody”¹⁵.

Podobne zniszczenia zastał Jan Hupka po powrocie do Niwisk:

[...] „Zabrałem się do zbadania szkód w domu mieszkalnym. Że gumna, spichlerz i stajnie puste, o tym wiedziałem. Umeblowanie niby niezniszczone, ale wszystkie szuflady znikły, wszystkie zamki powyłupywane. Moje biurko rozbite. Papiery porozrzucane. Służący mówi, że badano je bardzo dokładnie. Znalaziono druki i odezwy N.K.N., listy Jaworskiego i kwity poświadczające, że złożyłem znaczne kwoty na legiony. Przeglądając porozrzucane papiery zobaczyłem starą moją legitymację kolejową z wydartą mą fotografią. Widocznie dołączono ją do zabranych papierów. Pokoje wyglądają jak stajnia. Strych zastany strzępami materii i papierów oraz resztek porozbijanych pak. W wozowni został tylko jeden wózek i karetką bez kół i poduszek. Koni zostało 6, z którymi uciekł mój furman a z bydła 3 sztuki i kilka cieląt, które mój służący ogłosił, jako swoje. Wszystkie parkany i płoty rozebrane. Pastwisko sztuczne zastane nie młóconym zbożem i nawozem na pół metra grubo. Pola poprzecinane rowami strzeleckimi”¹⁶.

Podczas pobytu Rosjan w Galicji oficerowie intendenty armii rosyjskiej, jak opowiadali tamtejsi ziemianie, na pozór zachowywali się bez zarzutu. Gotówką w złocie płacili za zabrane konie, krowy czy paszę. Niestety po ich odjeździe zjawiał się będący z nimi w zмовie

¹⁵ Matylda z Windisch-Graetzów Sapieżyna – *My i nasze Siedliska*, Wyd. Literackie 2003.

¹⁶ Jan Hupka – *Z czasów wielkiej wojny. Pamiętnik nie kombatanta*, Niwiska 1936.

patrol kozacki, który wymuszał oddanie tego złota. W sąsiadującym z Niwiskiem majątku Rzemień – jak pisze Hupka, kozacy rzucili się na gorzelnię, gdzie w żelaznych rezerwuarach były olbrzymie zapasy wódki i w przeciągu godziny z kilku sotni kozaków tylko konie były trzeźwe. Zaczęły nadciągać oddziały piechoty – żołnierze również pili na umór. Pułkownik rozkazał wypuścić wódkę do rowów. Żołdacy rzucili się na ziemię chłepcąc wódkę z rowów, a chłopci miejscowi nadbiegli z garnkami po płonąca wódkę. Dopiero spalenie całej gorzelni i wódki pozwoliło opanować sytuację. Takie opisy pijaństwa pojawiają się w wielu pamiętnikach.

Problem kwaterowania wojska i rabunki miały miejsce również w Kongresówce. Rodzinę Zaborowskich wojna zastała na letnisku w Brodach (gub. radomska). Irena z Tańskich-Zaborowska wspomina:

„Ruch wojsk ogromny. Jednym ciągiem idą i jadą Austriacy, Węgrzy i nasi Sokoli¹⁷. [...] nasz dom jak oberża przydrożna. Przenieśliśmy się na jedną stronę domu, a druga wojskom oddana. Oficerom daliśmy łóżka, żołnierze śpią na słomie w salonie, w przedpokoju, w kuchni, przez korytarz ani przejść i w kredensie i u chłopców w pokoju. [...] Aż się w głowie zawraca patrzeć na te wojska – jadą, idą ludzie, konie, armaty, wozy. Co tylko mogą to zabierają najwięcej konie, wozy, uprzęże. Trzeba używać strasznego dowcipu, by cośkolwiek uratować ze swoich rzeczy, a nie ma takiego głupstwa, którego by nie zabrali, garnki, płoty drzewa, jarzyny – wszystko im potrzebne. [...] Nawet wzięli i kubek z kłozeta! Taką mamy teraz biedę bez tego. Po kolei dziewczynki mnie wywołują. Stoję na pikiecie w krzakach i trudno o spokojną chwilę – z każdej strony wylazi a to Madziar, a to Sokół itd. Nawet i to utrudnione – czemu nam kubek zabrali!”¹⁸

Irena Zaborowska odnotowała, że czasami musieli bawić się w chowanego z rabusiami: *„Jaś kupił na wsi wieprzowiny. Zrobione kiełbasy wędziły się pięknie na dworze, aż tu wali wojsko austriackie jedno za drugim – schować kiełbasy komenderuje Jaś. Gdy się uciszyło po paru dniach kiełbasy wędrują do wędzenia, lecz znowu pojawia się wojsko, tym razem szare*

¹⁷ Sokoli (Sokoły) członkowie Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” powstałego XIX w. na terenach polskich. Z chwilą wybuchu wojny w 1914 r. „Sokół” przystąpił do Legionów Polskich razem z innymi organizacjami paramilitarnymi, jak Związek Strzelecki czy Polskie Drużyny Strzeleckie.

¹⁸ *Pamiętnik z wojny 1914 r. pisany w Brodach przez Irenę z Tańskich Zaborowską, wstęp i opracowanie Sławomir Maj, Kielce 2001.*

rosyjskie i znowu uciekają kielbasy na schowanie przed wojną europejską. Jaś co trochę wpada do stajni zabiera konie i kryje w olszynach i jakoś dotąd uchowały się. A dookoła spustoszenie."

Powodem wielu dramatów była szpiegomania. Ulegali jej zarówno Rosjanie jak i Austriacy. Żołnierze C.K. armii traktowali wszystkich mieszkańców zdobytych terenów rosyjskich – dzieci, starców, kobiety jak rosyjskich szpiegów, zdarzały się aresztowania, torturowanie, konfiskaty majątku. Stan ciągłego zagrożenia potęgowała bariera językowa.

Według żołnierzy austro-węgierskich ludność współpracowała z Rosjanami wysyłając sygnały za pomocą różnych środków – ognisk rozpalonych w polu, skrzydeł wiatraka, garnka w oknie, bielizny rozwieszanej na żerdziach płotu, pasącego się bydła, zamkniętych i otwartych okiennic czy kościelnych dzwonów. Niektórzy stracili życie ściągnięci ze sterty. *„Bo przecież z wysokiej sterty słomy można było zobaczyć więcej, czasami zbyt dużo, nawet jeśli to była zwyczajna praca lub gapiostwo”*.

Żandarmi cały dzień myszkowali po okolicy, szukając szpiegów, zasadzek lub ukrytych sygnałów. Coraz to przyprowadzali przed sąd polowy Bogu ducha winnego chłopca lub babę, oskarżając ich, o to, że dymem z komina dawali umówione znaki. Powszechne były rozstrzeliwania podejrzanych. W październiku 1914 r. w Łęczeszycach gromadka ludzi, szła do kościoła. Wtem padają strzały do Niemców rozkwaterowanych na folwarku. Ci oskarżają o nie idących ludzi, którzy daremnie się bronią; skazani są natychmiast na rozstrzelanie. Wiodą ich przed kuźnię, odmierzają kroki. Od śmierci uratował ich oficer niemiecki, który widział jak ukryci kozacy strzelali w tę stronę.

W Zakrzówku żandarmi austriaccy aresztowali elitę miasteczka tylko dlatego, że nikt z miejscowych nie przedstawił się dowództwu i nie powitał zwycięzców.

Metody restrykcyjne stosowała także administracja rosyjska przywracając stary porządek w odzyskanych miasteczkach. Ci również traktowali miejscową ludność nieufnie, podejrzewając o szpiegostwo.

W Zamościu z tego powodu rozstrzelali bez sądu osiemnastu mieszczan. Za posiadanie austriackich koron czy części umundurowania wrogich wojsk można było dostać się do aresztu. Trafiali tam przede wszystkim drobni handlarze, którzy nieopatrznie dobili wcześniej interesów z Austriakami.

Dodatkowym niebezpieczeństwem dla miejscowych było oskarżenie o współpracę z wrogiem. Taką sytuację opisuje Krzysztof Garbacz w opracowaniu *Los rodziny Antoniego Mysakowskiego w pierwszym roku Wielkiej Wojny*.

Po przekroczeniu granicy w Krzeszowie Austriacy zajęli znaczną część powiatu biłgorajskiego i rozpoczęli krótki blisko miesięczny okres swoich rządów na tym terenie, skłaniając do współpracy miejscową ludność. Między innymi mieszkający w Hucie Krzeszowskiej Antoni Mysakowski przyjął od nich propozycję objęcia stanowiska wójta. Już we wrześniu po powrocie Rosjan na te tereny skutki tej decyzji okazały się dramatyczne. 25 września Antoni został przez nich aresztowany, uwięziony w twierdzy dęblińskiej i w końcu, wyrokiem tymczasowego sądu wojskowego w kwietniu 1915 r. skazany na zesłanie na Syberię. Przyjęcie funkcji wójta z rąk wrogiej armii austriackiej traktowane było przez Rosjan jako zdrada „Ojczyzny”. Mysakowski powrócił do domu dopiero we wrześniu 1923 r.

Nie tylko ziemia lubelska była terenem działań wrogich armii. Na północy Kongresówki, przy granicy z Prusami Wschodnimi, już w sierpniu wojska niemieckie naruszyły pas graniczny ostrzeliwując z aeroplanów pobliskie wsie. Po zwycięstwie pod Tannenbergiem i na jeziorach mazurskich – we wrześniu 1914 r. Niemcy wkroczyli na teren Kongresówki. Walki przenoszą się na teren Suwalszczyzny, w okolice Przasnysza, Kolna, Grajewa, na przedpola twierdzy Osowiec.

W wyniku tych działań już w jesieni 1914 r. wiele wsi i miasteczek zostało kompletnie zniszczonych. Jednocześnie wraz z bezładnym odwrotem wojsk rosyjskich pojawili się zgłodniaли maruderzy gotowi zamordować za kawałek chleba. Tak zginęli, m.in. Józef Jabłoński i Łasinowski z majątku Pniewo pod Łomżą; zostali zamordowani przez kozaków, gdyż opierali się rabusiom. Ludność żyła w ciągłym strachu i niepewności, tym bardziej, że rozchodziły się wieści o okrucieństwie Niemców.

Nawet na wschodzie, na tzw. ziemiach zabranych, gdzie w początkowym okresie wojny nie było walk, panował ogromny ruch i chaos. Pociągi przepełnione były nie tylko poborowymi, którzy śpiewając pijacko w umajonych zielenią wagonach, jechali na zachód, ale również, rannymi jadącymi na wschód. Wieziono ich wagonami towarowymi

z rozsuniętymi drzwiami, w których zwiesiwszy nogi siedzieli, a wzdłuż torów leżały skrwawione bandaże i skorupy gipsowych opatrunków. Na wschód jechali uciekinierzy, ewakuowani pracownicy rosyjskich instytucji a, przede wszystkim wywożony z Kongresówki majątek – banki, dokumenty administracji, poczty, sądów itp.

Ludzie podróżowali w ogromnym ścisku, często na stopniach wagonów czy na dachach. Drogami pędzono grupy zarośniętych, głodnych, zmizerowanych jeńców austriackich.

W majątku Przyłuki (14 km od Mińska Litewskiego), należącym do Czapskich¹⁹ – jak wspominała Maria Czapska często zmieniały się kwatery: ... „naprzód stanęła kawaleryjska dywizja pod dowództwem księcia Trubeckiego, który zajął nasz najlepszy pokój gościnny, pokój babci i rozmawiał z nami po francusku. Ten wyborowy pułk zastąpiła na długo dywizja syberyjska”.

Ewa Dzieduszycka bardzo obrazowo opisała okres wojny na terenie Galicji: „Pola zniszczone przez rowy strzeleckie, wsie popalone, lasy wyrąbane, ludność wyemigrowała do Czech i na Morawy. Wiecznie kottowały się wojska, wrzały zacięte bitwy. Gdy jedni posuwali się naprzód to uciekający starali się wszystko zdemolować, aby przeciwnik zastał same zgliszcza i popioły. Ale fortuna kołem się toczy – więc ci co wyparli nieprzyjaciela, musieli znów przed nim uciekać, a przedtem trzeba wszystko co jeszcze pozostało wysadzić w powietrze, zniszczyć, zdemolować. I taki nieustający makabryczny taniec trwał w naszych stronach przez cztery lata. Skończył się, gdy już nie pozostało nic, co można jeszcze unicestwić”²⁰.

W Warszawie na przełomie lipca i sierpnia 1914 r. ogłoszono pobór do wojska. Wśród mieszkańców panowała wielka lojalność wobec Rosjan – życzo im zwycięstwa. Przekaz taki zawarty jest m.in. we wspomnieniach Zdzisławowej Lubomirskiej, która pisała:

„Przeździeccy trzymają za Niemcami – przyjmujemy ich bardzo chłodno. Wszak to bój dwóch z dawna zmagających się ras. Niepodobna nie życzyć zwy-

¹⁹ Maria Hutten-Czapska – polska historyk literatury, eseistka, autorka wspomnień; dzieciństwo i młodość spędziła w Przyłukach i ten okres opisała w książce *Europa w rodzinie, w latach 1925–1930* przebywała w Paryżu. W czasie okupacji niemieckiej działała m.in. w organizacji *Żegota* pomagającej Żydom. W 1945 r. przedostała się przez zieloną granicę do Francji gdzie pozostała do końca życia. Publikowała w *Kulturze*. Jej brat Józef – wybitny malarz i publicysta, m. in. autor książki kultowej *Na nieludzkiej ziemi*.

²⁰ Ewa Dzieduszycka – *Podróżniczka*, Wyd. Literackie 2018.

cięstwa Słowianom. Zadziwia ten entuzjazm dla Rosji. Jest więcej wolontariuszy niż potrzeba, rekruci idą z zapalem, co spotyka się nawet ze słowami podziękowania ze strony gen. Samsonowa zamieszczonymi w gazecie”²¹.

Sprzyjanie Rosjanom wzmogło zachowanie głównodowodzącego armii rosyjskiej, wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza Romanowa, który 14 sierpnia 1914 r. wydał odezwę wzywającą Polaków do wspólnej walki z niemieckim najeźdźcą, obiecując w zamian zjednoczenie ziem polskich pod carskim berłem oraz autonomię i swobody religijne.

Polskie elity przyjęły to entuzjastycznie, chociaż niektórzy zauważali, że odezwa podpisana jest przez wodza naczelnego armii, a nie cara i zawiera tylko ogólniki służące pozyskaniu rekruta. Prasa podgrzewała te prorosyjskie nastroje. Wielu jednak przeżywało dylematy – w końcu Rosjanie byli zaborcami. Taką rozterkę wyraża Janina Zofia Potocka:

„Dziwny był ogólny zamęt i w głowie i w sercu. Nienawiść dla Niemca, obawa przed jego zdradliwym i żelaznym panowaniem zabijała wszelkie inne uczucia i kazała zapominać doznane krzywdy i uciemiężenia – (od Rosjan)”²².



Sojusz polsko-rosyjski – carska pocztówka propagandowa z listopada 1914 r. [Polona]

Wojsko rekwirowało konie, wozy, uprzęże. Żołnierze wyprzęgali konie nawet z dorożek. Na ulicach „hałas męczący i nieznośny.

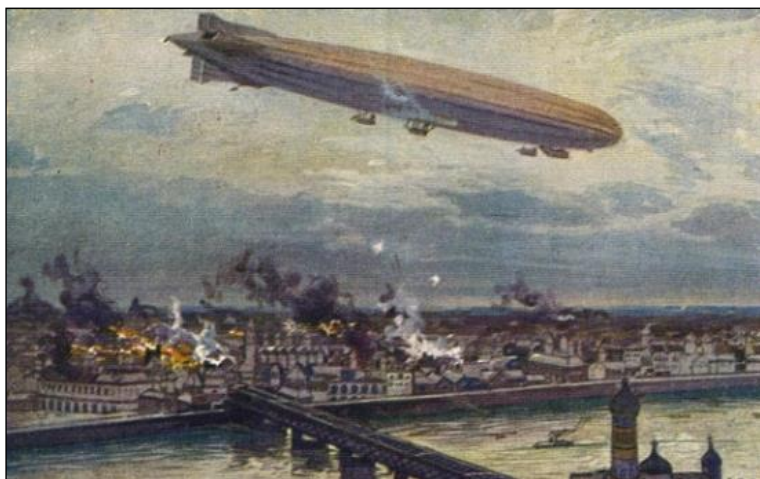
²¹ Pamiętnik księżnej Marii Zdzisławowej Lubomirskiej 1914–1918, Wyd. Poznańskie 1997.

²² Janina Zofia z Potockich Potocka – *Dziennik 1914–1919*, Łomianki 2014.

Wojsko, okrzyki, tramwaje, wrzaskliwe „ptactwo” dodatków nadzwyczajnych *ruch dzienny, ruch nocny*”. Całymi godzinami zmęczone partie wojska przechodziły przez miasto. Oficerom przypinano kwiaty, obsypywano nimi żołnierzy, wpinano je za uzdy koni lub ubierano lawety armat.

Życie codzienne w mieście stawało się coraz trudniejsze – banki przerywały wypłaty, ludzie w panice robili zapasy żywnościowe. Urzędnicy rosyjscy tłumami i w szalonym tempie uciekali z miasta wywożąc cały swój dobytek – meble, kanarki i fikusy. Na dworcach kolejowych działy się dantejskie sceny. Stacji strzegły kordony wojska, a ludzie czekali długimi godzinami, aby dostać się do pociągu. Odchodzi jeden skład dziennie – oczywiście na wschód. Niemcy podchodzą pod Warszawę.

Dnia 26 września, na tle jasnego nieba pojawia się niemiecki sterowiec (zeppelin). To wielkie cygaro sunie z hałasem nad głowami mieszkańców, zrzucając bomby i siejąc strach. Rosjanie próbują bezskutecznie zestrzelić go ogniem armatnim i karabinowym.



Niemiecki sterowiec (Zeppelin) Schutte Lanz St. 2 bombardujący Warszawę w 1914 r.
[Akwarela na papierze Hansa Rudolfa Schulzega, źródło: pl. Wikipedia.org]

W październiku na przedpolach miasta ciągle toczą się walki, słychać huk dział, a na ulicach szalony ruch, wojsko, tabory, samochody oficerskie, ranni. Gazety podlegają ścisłej cenzurze – żadne niepomyślnie wiadomości nie mogą dotrzeć do ludności.

Warszawiacy podekscytowani, zdezorientowani, dyskutują na ulicach. Brakuje węgla. W nielicznych działających urzędach płacą pół pensji. Szczególnym utrudnieniem codziennego życia jest brak drobnych nominałów. Nie ma sposobu zmienić w sklepie trzyrublowego papierka, a sturublówka jest całkowicie bezużyteczna. Często latają niemieckie aeroplany zrzucając bomby²³, ale warszawiacy już przyzwyczaili się do tego. Na widok aeroplanu z ciekawością podnoszą głowy, gromadzą się na skwerach, chociaż od zrzucanych bomb giną ludzie.



Przechodnie obserwujący aeroplany nad Warszawą, październik 1914 r.

[Źródło: Sterowce nad Warszawą e-kartka z Warszawy]

Niemcy odstąpili dopiero pod koniec października co wywołało nadzwyczajny entuzjazm warszawiaków, a arcybiskup ks. Aleksander Kakowski odprawił dziękczynne nabożeństwo w katedrze. Po bitwie o Pruszków (12–18 października 1914 r.) rozrywką mieszkańców stały się wycieczki na pole pobitewne. Wspomina to księżna Lubomirska:

²³ Aeroplany były nowością. Zaledwie 12 lat wcześniej aeroplan braci Wright odbył swój pierwszy lot. W czasie wojny aeroplany początkowo były wykorzystywane do obserwacji, później zaopatrzone je w karabiny maszynowe i niewielkie bomby. Bomby początkowo zrzucano ręcznie ale wkrótce pod maszyną przymocowano urządzenia tzw. ciskacze bomb zrzucające bomby za pomocą przyrządu mechanicznego. Na froncie zachodnim Niemcy zrzucali z aeroplanów zaostrzone pręty tzw. strzałki. Samoloty wyposażone w zasobniki wypełnione tą prostą bronią podczas ataku na kolumnę piechoty najpierw zrzuciły jedną bombę. Jej wybuch powodował, że żołnierze przywierali do ziemi stając się łatwiejszym celem dla lecącego deszczu strzałek. Złośliwcy na strzałkach umieścili napis „Patent francuski wykonanie niemieckie”.

„Tłumy jadą do Pruszkowa, aby się przypatrzeć i przywieźć do domu jaką wojenną po Niemcach pamiątkę. Niektórzy przywożą do domu nie wystrzelone szrapnele, które wybuchają przy pierwszej nieostrożności, rażąc śmiertelnie cały dom”²⁴.



Ręczne wyrzucanie bomb z aeroplanu [źródło: domena publiczna]

Zimowe miesiące na przełomie roku 1914/15, to pogoń za opalem. Ludzie wypatrują nafty, torfu, drewna, węgla, wystają przed siedzibami Komitetu Obywatelskiego po ciepły posiłek.

W tym czasie w Warszawie, już od kilku lat, przebywał mój ojciec Antoni Jastrzębski. W 1909 r., jako trzynastolatek, rozpoczął naukę w Szkole Edwarda Rontalera²⁵. Była to siedmioklasowa prywatna szkoła typu handlowego z rozszerzonym programem agronomicznym i z prawem szkół rządowych umożliwiającym naukę na wyższej uczelni. Świadectwo maturalne odebrał w czerwcu 1914 r. i zapisał się na Kursy Przemysłowo-Rolnicze Józefa Mikołowskiego-Pomorskiego.

²⁴ *Pamiętnik księżnej Marii Zdzisławowej Lubomirskiej 1914–1918*, Wyd. Poznańskie 1997.

²⁵ Na początku XX w. w szkołach rządowych utrzymywanych przez państwo na lekcjach, jak i rozmowach między uczniami obowiązywał język rosyjski. Polacy organizowali tajne komplety, powstawały nieliczne szkoły prywatne. Szkoły te nie miały praw szkół rządowych; ukończenie takiej szkoły nie dawało prawa wstępu do wyższych uczelni na terenach rosyjskich jak również do odbycia skróconej służby wojskowej. Kto chciał mieć te prawa jechał do szkół rządowych w głębi Rosji, zdawał egzamin do ostatniej klasy i po roku uzyskiwał rządowe świadectwo dojrzałości, które otwierało drogi zamknięte dla abiturientów szkół prywatnych. Szkoła Edwarda Rontalera, powstała w Warszawie w 1896 r. i istniała do 1939, z tym, że od 1916 r. była Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczym.

Początek studiów zbiegł się z wojną i od października w czasie toczących się nad miastem walk, ojciec uczęszczał na zajęcia, zdawał egzaminy. Razem z nim na tych samych kursach ale rok wyżej studiował jego kuzyn Aleksander Wyszyński²⁶ czynnie działający w Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Kursy trwają trzy lata i przygotowują ziemian do praktycznego zawodu rolnika czyli samodzielnego przedsiębiorcy rolnego, właściciela, dzierżawcy lub zarządcy.

Antoni – najstarszy z synów Kazimierza Flawiana Jastrzębskiego i Zofii z Gostkowskich, właścicieli majątku Wiktorowo ma zdobyć wiedzę aby przejąć po ojcu prowadzenie gospodarstwa.

Wiktorowo znajdowało się na tzw. Ziemiach Zabrzanych – czyli na terenie Imperium Rosyjskiego, tuż przy granicy z Kongresówką, w powiecie bielskim, guberni grodzieńskiej. Majątek liczył 460 ha – w tym 260 gruntów ornych; resztę stanowił las, zagajniki pastwiska, bagna, drogi rowy i nieużytki. Właściciele mieszkali w typowym, drewnianym, ale otynkowanym dworku, przed którym był podjazd z klombem. Prowadziła do niego aleja wysadzana wysokimi topolami. Tradycyjnie obok dworu był lamus i czworaki.



Aleksander Wyszyński i Antoni Jastrzębski

²⁶ Aleksander Wyszyński (1895–1919) syn Franciszka i Józefy z domu Gostkowskiej właścicieli majątku Wądołki Borowe pod Zambrowem.



Sluchacze Kursów Przemysłowo – Rolniczych podczas ćwiczeń
[źródło: Wieś Ilustrowana, kwiecień 1913, Bibl. UMCS]

W Wiktorowie oprócz Antoniego (1896) urodziło się czterech jego młodszych braci – Aleksander (1898–1913), Kazimierz (1900), Tadeusz (1904) i Stefan (1907). W 1914 r. Kazimierz był uczniem gimnazjum, a młodszych braci uczyła nauczycielka Janina Wallowa.



Dokument zaświadcający, że Antoni Feliks Kazimierowicz Jastrzębski jest słuchaczem I roku Kursów Rolniczo-Przemysłowych przy Warszawskim Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.
Warszawa 11 czerwca 1915 r.

W czasie wakacji 1915 r. ojciec był na praktyce rolnej w Pobikrach hrabiego Jezierskiego. Natomiast jego kuzyn Aleksander Wyszyński pod pseudonimem Aleksander Jaworski w dniu 5.08.1915 r. wstąpił do Legionów Piłsudskiego otrzymując przydział do III batalionu 1 pułku piechoty. Zrobił to, wbrew rodzinie, która, jak wielu Królewia-ków, uważała Niemców za największych wrogów. Rodzice chcieli, aby po zdaniu egzaminów wrócił do domu, polecając mu jednocześnie podjęcie starań o odroczenie służby wojskowej.

List Franciszka Wyszyńskiego z Wądołek Borowych pod Zambrowem do syna Aleksandra do Warszawy

19 IV 1915 r.

Kochany Olesiu !

Mieliśmy od Ciebie dotąd tylko jedną odkrytkę z 8 bm. Jesteśmy zdrowi i siew posuwa się naprzód. W końcu tygodnia siew może w większej części będzie ukończony. Pozostanie tylko jęczmień i kartofle. Robota przy kartoflach zajmie prawie cały maj. Wczoraj wraz z mamusią byliśmy w Łomży. Przed naszym przyjazdem na pół godziny Niemcy spuścili z aeroplanów na Łomżę dużo bomb, które poważniejszych szkód nie wyrządziły, tylko wielka moc jest szyb potłuczonych głównie na starym rynku. Jedna bomba wpadła do sypialnego pokoju pp. Komornickich przebiwszy dach, sufit lecz spadła na łóżko i nie wybuchła. Przerazenie obecnych w mieszkaniu p. K. było ogromne. W mieście są ofiary w ludziach. Dziś o godzinie 8 rano biplan (dwupłatowiec) niemiecki zapewne gdzieś podstrzelony (może nad Warszawą) przeleciał bardzo nisko nad naszym podwórzem i spadł na polu zambrowskim tuż przed koszarami przy bocznej drodze z Wądołek do Zambrowa. Niemcy (dwóch lotników) zaraz wyskoczyli z aparatu i podpalił go, tak że cały splotął; był ogromny ogień i dym. Ja od herbaty, piechotą tam poleciałem, a za mną nadjechała bryczką mamusia. W Zambrowie zrazu myśleli, że nasze budynki palą się, taki był wielki dym i ogień. Lotnicy zaraz przez pola udali się do koszar i oddali do niewoli. Jak doleciałem do biplanu to już był tylko kadłub i resztki dopalały się. W zgłiszczach policja zaraz znalazła rewolwery i inne drobiazgi. Pamiętaj Olesiu żeby wasza szkolna władza postarała się o odroczenie dla was odbycia powinności wojskowej do skończenia kursów. Jak piszą w gazetach to te odroczenia można uzyskać ale potrzeba się postarać i nie zwlekać. Jest to wasz interes więc nie zasypiajcie, działajcie szybko żeby termin na podanie próśb nie minął. Napisz co u Ciebie słychać bo do Ciebie bardzo tęsknimy.

*Szczerze Cię kochający Ojciec
Franek Wyszyński*

Długo nie mieli wiadomości, dopiero w połowie września przyszedł od niego list, w którym donosił, że jest w Legionach Piłsudskiego. Prosił aby modlić się, za „sprawę o którą walczy”, a nie za niego. W ten sposób znalazł się po stronie austriackiej walczącej z armią rosyjską. Tymczasem w armii rosyjskiej byli wtedy wujowie obu kuzynów: ppłk Franciszek Juszkiewicz i Tytus Bułatowicz²⁷.

Na szczęście – nie spotkali się na polu bitwy, chociaż walki bratobójcze były wielkim dramatem Polaków wcielonych do trzech zaborczych armii. Przeżycia dziewięcioletniego Hieronima Wąska z Frampola na Lubelszczyźnie, którego ojciec był w armii rosyjskiej znajdujemy w jego wspomnieniach:

„Wiadomość o tej bratobójczej walce tak mnie wzruszyła, że gdy pewnego dnia wrócili z patrolu stacjonujący u nas żołnierze austriaccy – Polacy, zakurzeni i zmęczeni i poprosili abym przyniósł im wody do obmycia, wziętem się na odwagę i począłem ich prosić, aby nie zabijali mego ojca. Pamiętam, że byli bardzo wzruszeni moją żalostną, dziecięcą prośbą. Poczęli wypytywać mnie; jak tatuś wygląda, a gdy im to opowiedziałem przyrzekli mi, że będą uważać, aby ojca nie skrzywdzić. Wiadomość tę zaniósłem Mamie i nie mogłem zrozumieć wtedy, dlaczego przytuliwszy mnie do siebie tak rzewnie płakała”²⁸.

Wraz ze wzrostem problemów wynikających z wojny zaistniała potrzeba zorganizowania działań samopomocowych. Władze rosyjskie zgodziły się na powołanie do życia Centralnego Komitetu Obywatelskiego w Warszawie i terenowych Komitetów Obywatelskich. Na czele tej formacji społecznej stanął ziemianin – ks. Seweryn Światopolek-Czetwiertyński, którego wspierali między innymi Władysław Grabski, Stanisław Wojciechowski i Antoni Wieniawski (teść Wacława Dąbrowskiego²⁹, kuzyna ojca autorki).

Celem CKO i regionalnych Komitetów Obywatelskich było udzielanie doraźnej pomocy materialno-rzeczowej i zapomogowej poszkodowanym przez działania wojenne. Środki finansowe pochodziły czę-

²⁷ Obaj wujowie to mężowie sióstr – matek Antoniego i Aleksandra; Franciszek Juszkiewicz mąż Władysławy z domu Gostkowskiej, a Tytus Bułatowicz mąż Heleny Gostkowskiej, a po jej śmierci Marii Gostkowskiej.

²⁸ Andrzej Burlewicz – *I wojna światowa we Frampolu i na Biłgorajskiej Ziemi*, Blog

²⁹ Wacław Dąbrowski syn Andrzeja i Bronisławy z Gostkowskich – siostry Zofii.

ściowo z dotacji władz rosyjskich, a częściowo z dobrowolnych ofiar polskich obywateli. Wśród wydatków dużą pozycję stanowiły pożyczki bezprocentowe, doraźna pomoc w naturze i gotówce oraz zapomogi bezzwrotne.

Beneficjentem pożyczki bezprocentowej był m.in. dziadek autorki po kądzieli - Józef Gromada, który pracował jako pisarz gminny w Wilkołazach na Lubelszczyźnie. W wyniku działań wojennych dziadek i inni urzędnicy gminni z terenów przyfrontowych musieli uciekać i stracili źródło dochodów. W takiej sytuacji Lubelski Komitet Obywatelski udzielał uchodźcom wsparcia w formie pożyczek.

Pożyczki były bezprocentowe, ale pożyczkobiorcy zobowiązani byli do ich zwrotu w ciągu jednego roku od dnia zawarcia pokoju.

Dziadek po opuszczeniu Wilkołaz przez krótki okres przebywał w Lublinie, po czym w październiku 1915 r. został pisarzem, a potem sekretarzem gminy w Zakrzówku. Jego pensja wynosiła 900 rubli rocznie (75 rubli miesięcznie) w 1915 r., a w 1917 r. 3 tys. koron.

W Y K A Z

pożyczek bezprocentowych, wypłaconych przez Lubelski Obywatelski Komitet Gubernijalny na rachunek pensji pisarzom gminnym, pomocnikom pisarzy gminnych i wójtom gmin.

Imię i nazwisko	pisarz gminy	mąc Lipiec r.b. Rubli.
28. Walocha Jan z rodziną	Czarkowy	50.-
29. Linowski Andrzej z rodziną	Rembów	50.-
30. Skocz Franciszek z rodziną	Chotel	50.-
31. Laskowski Bartłomiej z rodziną	Drożgowice	50.-
32. Zawadzki Franciszek z rodziną	Pawłów	50.-
33. Chrzastowski Michał z rodziną	Kumów	50.-
34. Czubiński Wincenty z rodziną	Opatów	50.-
● 35. Gromada Józef z rodziną	Wilkołaz	50.-
36. Grabowski Stanisław z rodziną	Urzędów	50.-
37. Żabicki Adam z rodziną	Czyżów Szlachecki	30.-

Fragment listy pisarzy gminnych, pomocników pisarzy i wójtów gmin, którzy w lipcu 1915 r. otrzymali pożyczki bezprocentowe na rachunek pensji; pod nr 35 mój dziadek ze strony matki [AAN CKO 978-980]

W tym czasie w sferach politycznych, wśród polskich elit i w całym społeczeństwie toczą się spory, co do wyboru sojusznika spośród zaborców. Większość mieszkańców Kongresówki opowiadała się za carem. W proaustriacko nastawionej Galicji od sierpnia 1914 r., z inicjatywy Józefa Piłsudskiego powstawały Legiony Polskie. Społeczeństwo Królestwa Polskiego odnosiło się do nich z dużą rezerwą, akcje werbunkowe dawały słabe rezultaty. Na odezwy promujące ideę legionową spontanicznie reagowała jedynie młodzież szkolna i studencka oraz robotnicy. Większość inteligencji, ziemiaństwa, duchowieństwa była wrogo nastawiona do legionistów widząc w nich zagorzałych socjalistów. Nieufną postawę Królewaków, a szczególnie chłopów wywoływało również restrykcyjne zachowanie austriackiej administracji na okupowanych terenach.

Atmosferę w Warszawie opisuje Irena Wasiutyńska- członkini POW:

„W Warszawie teraz tak duszno! Roman Dmowski niezmordowanie organizuje wiece i udowadnia niezłomie, że nie należy rozbijać się o niepodległość, bo Polska nie ma podstaw do niepodległego bytu – brak jej ekonomicznej samowystarczalności!!! Lepiej prosić pokornie o autonomię w granicach „matki Rosji”. Nas nazywa „Polakami z Saskiej Kępy”. Znajduje olbrzymi aplauz. [...] Czyż nikt ze znajomych nie zdobędzie się choćby na trochę szacunku dla sprawy Legionów?”³⁰

³⁰ *Wierna służba. Wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość 1910–1915*, red. Aleksandra Piłsudska, Warszawa 1927.

Wygnańcy i uchodźcy

W 1914 roku na terenach Królestwa Polskiego po pierwszych zwycięstwach armii austro-węgierskiej, w których zagrożona ona nawet Lublinowi, nastąpił kontratak Rosjan i w rezultacie odwrót wojsk cesarsko-królewskich za linię Sanu.

W Galicji, wojna od początku, przybrała niekorzystny obrót dla monarchii habsburskiej. W miesiąc po jej rozpoczęciu wojska carskie zajęły Lwów, Jarosław, a w połowie listopada 1914 r. stanęły pod Krakowem³¹. Po pierwszych huraganowych atakach walczących armii w grudniu rozpoczęła się wojna pozycyjna, tzn. front przecinający Królestwo Polskie i Galicję zastygł. Walki toczyły się między żołnierzami siedzącymi w rozbudowanych liniach rowów strzeleckich, okopów, schronów itp.

Skutkiem walk na ziemiach Królestwa i Galicji było, nie tylko zburzenie, spalenie domów, kościołów zabudowań gospodarczych, gorzelni, młynów; ale przede wszystkim masowe przemieszczanie się ludności. Jedni jechali do Rosji wraz z ewakuowanymi zakładami pracy, inni uciekali pod wpływem pogłosek o walkach oraz o brutalnym zachowaniu się wroga, ulegali panice słysząc odgłosy toczącej się bitwy, a jeszcze inni byli zmuszani przez władze wojskowe lub wypędzani nahajkami przez kozaków. Z terenów Galicji uciekano przed armią rosyjską, na południe i zachód, a z Kongresówki na wschód przed Niemcami i Austriakami.

W początkowym okresie wojny exodus ludności - zwłaszcza w Kongresówce, miał charakter regionalny. W obawie przed zbliżającą się bitwą czy nieprzyjacielem, uciekano do lasu, sąsiedniej wsi ewentualnie do najbliższego większego miasta. Po przejściu frontu większość wracała na ojcowiznę.

³¹ Od grudnia 1914 r. do maja 1915 r. ok. 80% terytorium Galicji było pod okupacją rosyjską.

Chłop z puławskiego wspominał – „*obozujemy się w lasku opodal płonącej jeszcze naszej wioski. Po dwóch dniach naszego obozowania w lesie, naciągały wojska nieprzyjacielskie, my natomiast wracamy na swoje popioły*”³².

Podobnie postąpił pewien mieszkaniec Szydłowca: „*Miała być bitwa, więc schroniłem się ja z żoną i dziećmi w pobliskie góry między lasy. Zabrałem tylko odzież i pościel, resztę zostawiłem. Wróciliśmy po trzech tygodniach, zastaliśmy wszystko zniszczone*”³³.

Z miast leżących w pobliżu linii kolejowej uciekano dalej. Tak uczyniła m.in. Laura Turczynowicz z domu Blackwell³⁴. W sierpniu 1914 r. przebywała z trójką dzieci w swoim okazałym domu w Suwałkach. Jej mąż³⁵ przebywał poza domem, a Laura od początku wojny widziała przechodzące przez Suwałki kolumny uciekinierów z wsi leżących przy granicy z Prusami. W połowie września, kiedy Niemcy przełamali front, a oddziały rosyjskie cofały się bezładnie, kobieta w atmosferze chaosu, ciągłego ostrzału artyleryjskiego i łoskotu ognia karabinowego, wpadła w panikę. W ciągu 15 minut, razem ze służbą, opuściła dom. Załadowali wszystko na dwa wozy. Laura, dzieci i większość służby jechali pierwszym, większość bagażu drugim wozem. Droga do stacji kolejowej, była istnym torem przeszkód – transportowe wozy wojskowe, żołnierze rosyjscy z bronią gotową do strzału; krzyczący, kłócący poszturchujący się ludzie. Ich wozy wpadły w ten ludzki wir. W połowie drogi Laura zauważyła mężczyznę – starego znajomego rodziny, który wspiął się na drugi wóz, bijąc, zrzucił woźnicę z wozu i odjechał w stronę dala z ich bagażami. Nie było czasu na interwencję. Kursującymi jeszcze pociągami dostała się do Wilna, Warszawy, a w końcu do Witebska. Do Suwałk wróciła pod koniec października, kiedy Rosjanie wyparli z niego Niemców. Dom zastała zdewastowany, wszystko rozbite porozrywane, zniszczone³⁶.

³² *Pamiętniki chłopów*, pod red. Ludwika Krzywickiego, Wyd. IGS, Warszawa 1936.

³³ *Ognisko Polskie* – czasopismo, wyd. w Moskwie, art. *Z tułaczki*.

³⁴ Jest uzdolnioną śpiewaczką operową, urodzona w Kanadzie, kształciła się w Nowym Jorku, Berlinie i Wiedniu, występowała na największych scenach operowych świata, m. in. w The Metropolitan Opera.

³⁵ hr. Stanisław Gozdawa Turczynowicz, inżynier w rosyjskim Ministerstwie Rolnictwa, zmobilizowany do wojska

³⁶ Peter Englund – *Piekno i smak wojny*, Wyd. Znak, Kraków 2011.

W wielu wypadkach władze cywilne bądź wojskowe zarządzały przymusowe ewakuacje mieszkańców z terenów narażonych na działania wojenne. W ten sposób w połowie października 1914 r. do ucieczki została zmuszona ludność Radomia.

Józef Kożuchowski zanotował: *„Jak opowiadają zbiedzy, którzy w czwartek ubiegły opuścili to miasto, władze rosyjskie poleciły opuszczenie miasta mieszkańcom nie rękując za jego całość i ich bezpieczeństwo. Dostarczono trzy pociągi bezpłatne uciekającym, na Wiśle promy wojskowe przewożą, również bezpłatnie, furmanki i konie przez cały dzień. Miasto jest okopane, wokół armaty. W ogóle ogromny popłoch w radomskim”*³⁷.

Już od początku wojny Rosjanie przygotowywali i stopniowo przeprowadzali ewakuację urzędów, sądów, banków – zabierając przy tym pieniądze i oszczędności mieszkańców. Z tymi instytucjami musieli wyjechać rosyjscy i polscy urzędnicy z rodzinami. To powodowało dodatkowo zdenerwowanie i niepewność miejscowej ludności. Uciekali ci, którzy zgodnie z rozkazami musieli, a za nimi inni z własnej woli przerażeni grozą wojny. Panikę zwiększały jeszcze pogłoski o bestialstwie nadciągających wojsk pruskich.

Opisała to ziemianka z kielecczyzny – Irena Zaborowska:

*„Na wsi straszna panika. Sufczyce wszyscy opuścili. Został tylko kulawy Pawlak. Gdzie okiem rzucić, drogami i polami widzi się wozy z pierzynami i dziećmi! Kobiety same powożą, mężczyźni pokryli się po trzcinach. Rozeszła się pogłoska, że Prusacy zabiorą ich do wojska lub poobcinają ręce i nogi, to też wyglądają jakby ich już ze skóry obdzierano. Krzyk, lament i płacz dookoła straszny”*³⁸.

W innym fragmencie pamiętnika z 17 września 1914 r. czytamy: *„Dziś jadą i jadą już nie wojsko, lecz ludzie prywatni znad Wisły uciekają przed bitwą – chłopci, baby, dzieci, krowy i kury i prosiak gdzie nie gdzie zakwiczą – takie smutne i straszne te widzenia”*.

Większość wyjeżdżała z przekonaniem, że wróci po kilku tygodniach, najwyżej miesiącach, że fala niemiecka zostanie odparta daleko na zachód przez „nasze rosyjskie” wojska. Często brali ze sobą jedną, dwie walizki najpotrzebniejszych rzeczy.

³⁷ Józef Kożuchowski – *Dziennik z lat 1914–1920*, BN rkp 1732/III

³⁸ Irena Zaborowska – *Pamiętnik z wojny 1914 r.*, Wyd. Gens, Kielce 2001.

W Zaborze Austriackim obawiano się nadciągającej armii rosyjskiej. Wyprzedzała ją równie zła fama jak armię niemiecką w Królestwie. Krążyły pogłoski o gwałtach, rabunkach i mordach dokonywanych przez żołnierzy rosyjskich. W Kurierze Warszawskim znalazła się informacja o stosowanej tam, niejednokrotnie praktyce, mającej chronić dziewczęta przed gwałtem kozaków, polegającej na zamurowywaniu córek w pokojach.

W obawie przed Rosjanami po wybuchu wielkiej wojny w głąb monarchii habsburskiej z Galicji dobrowolnie lub zmuszone wyjechały setki tysięcy Polaków i Żydów. Przed wkroczeniem Rosjan do Lwowa miasto opuściło 40 tys. osób, a z Krakowa wyjechał co trzeci mieszkaniec.

Dzieduszyccy z Jezupola na wieść, że Rosjanie przekroczyli granicę postanowili uciekać na zachód. Ewa Dzieduszycka pakowała rzeczy w popłochu; [...] „co zabrać, a co schować i gdzie? Tyle rzeczy wartościowych trzeba było zostawić: obrazy, srebra, dzieła sztuki, piękne marmury, meble, wreszcie bibliotekę o bezcennych tomach. A może zostawić wszystko na pastwę losu i jak najszybciej uciekać z życiem?”³⁹ Ostatnim pociągiem przez Lwów dotarli Dzieduszyccy do Melk – miejscowości za Wiedniem, gdzie przebywali do końca lata 1914 r.

Rodzina Felicji i Władysława Mycielskich przebywająca w majątku Izdebki w sanockim, też zdecydowała się uciekać. Zastanawiali się tylko dokąd, jechać do Wiednia czy Tyrolu jak większość krewnych czy też pozostać w Galicji gdzieś na uboczu. Wybrali Zakopane, gdzie przebywało wtedy wielu uciekinierów z ich sfery. Droga przebiegała w kilku etapach. Najpierw musieli dojechać do Rzeszowa do stacji kolejowej, potem pociągiem do Krakowa i dalej do Zakopanego. Podążając do Rzeszowa wozami wymoszczonymi sianem i załadowanymi po brzegi – ich syn Andrzej, wtedy czternastolatek, wspominał:

„Na szosie tej, straszliwie zatłoczonej, mijają nas dosłownie niemal co krok istne karawany ziemiańskie. Jadą „panowie szlachta” w staroświeckich kolasach i brykach, towarzyszą im wozy pełne kufrów, wloką się za nimi całe tabuny koni folwarcznych i bydła. Co pięć minut trzeba stawać, bo ktoś z wielką

³⁹ Ewa Dzieduszycka – *Podróżniczka*, Wyd. Literackie 2018.

galanterią wychyla się z karety i klania albo uprzejmie częstuje nas winem i gorącą kawą z termosu"⁴⁰.

Ta atmosfera fascynującej przygody skończyła się – jak wspominał autor pamiętnika, na dworcu rzeszowskim, zasłanym jęczącymi rannymi, którzy wśród płwocin, niedopałków i walających się zakrwawionych bandaży leżeli na brudnych siennikach. W Zakopanem Mycielscy spokojnie spędzili najgorszy dla Austrii okres wojny, a bliskość frontu odczuwali jedynie, jako dudnienie płynące gdzieś zza gór.

Jednocześnie wielu uchodźców galicyjskich dotarło do dalekich miejscowości w prowincji monarchii habsburskiej. Pod koniec 1914 r. ich liczbę szacowano na ok. 650 tys. Uciekinierów z Galicji nie witano nad Dunajem z otwartymi rękoma. Wiedeńczycy uważali, że psują estetykę miasta, żyją jak włóczędzy na koszt publiczny. Mieszkańcy miast i miasteczek w Austrii na różne sposoby okazywali im niechęć, a czasami wręcz wrogość. Na ulicy potrafią wyzywać ich za samo mówienie po polsku i obrzucać epitetami „polskie świnię”. Szczuto psami, obrzucano kamieniami. Niechętnie wynajmowano im mieszkania czy pokoje. Słowo uchodźca stało się wyzwiskiem. Niechcianych przybyszów oskarżano o spowodowanie wzrostu cen i narastanie problemów aprowizacyjnych.

Władze austriackie pozwalały mającym osobom z wyższych sfer na samodzielne wybranie miejsca zamieszkania, natomiast biedniejszych, z niższych warstw społecznych kierowano do małych miasteczek Austrii, Czech i Moraw i do specjalnie stworzonych obozów dla uchodźców. W rezultacie arystokracja, ziemianie czy inteligencja przebywali zwykle na wygnaniu w okolicach Wiednia gdzie prowadzili próżniacze życie; a nudząc się, kłócili, intrygowali, oskarżali wzajemnie tworząc tak jak emigranci po powstaniu listopadowym „polski kocioł”.

Z kolei w obozach panowały skrajnie trudne warunki sanitarne, mieszkaniowe i żywieniowe. Organizowano je naprędce jesienią 1914 r. Pierwsi przybysze musieli koczować na gołej ziemi pod niebem. Dopiero po kilku dniach dawano im nieco słomy, a jeszcze później namioty. Przebywającym tam doskwierały niedożywienie, chłód, brud, robac-

⁴⁰ Andrzej Mycielski – *Chwile czasu minionego*, Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin,

Warszawa 2012.

two, choroby zakaźne, przeludnienie, brak prywatności czy tęsknota za rodzinnymi stronami. Straż obozowa potrafiła okradać mieszkańców, znęcać się nad nimi, dochodziło do molestowania kobiet. Podczas dezynsekcji wiele godzin musiały stać nagie w jesienne dni, narażając się na drwiny i komentarze wojska.

Po wyzwoleniu większości Galicji spod trwającej 293 dni (10 mies.) okupacji rosyjskiej, na wiosnę 1915 r. można było wracać w ojczyste strony. Wielu uchodźców nie miało jednak do czego, gdyż straciło cały swój majątek i podstawę egzystencji. Podobnie jak w Kongresówce w trakcie działań wojennych szereg galicyjskich wsi i miasteczek zostało dosłownie zmiecionych z powierzchni ziemi.

Wiosną 1915 roku po kilkumiesięcznej walce pozycyjnej, państwa centralne przeszły do ofensywy. Pod Gorlicami XI armia niemiecka i IV armia austriacka przełamały front rosyjski i błyskawicznie odzyskały utracone wcześniej ziemie, między innymi Przemyśl i Lwów. Straty te w gazetach rosyjskich tłumaczono przewrotnie - „naszym odważnym opuszczeniem Galicji pozbyliśmy się kłopotu niańczenia jej” lub też „ten który cofa się, ma górę, bo wie dokąd idzie”.

W czerwcu i lipcu 1915 r. na ziemie guberni lubelskiej znów zwycięskim marszem przyszły wojska Niemiec i Austrii. Znów toczyły się krwawe walki, które przyniosły dalsze zniszczenia, przekształcając kraj w pobojowisko. Ponownie budynki mieszkalne, szkoły, kościoły zamieniały się w gruzy lub pogorzeliska. Armia carska ponosiła klęskę za klęską, a wojska niemieckie i austro-węgierskie parły do przodu.

Na Mazowszu 13 lipca po ciężkich bojach Niemcy przerwali front pod Przasnyszem; na południu 30 lipca zajęły Lublin, dalej Chełm, Dęblin, a 5 sierpnia wkroczyły do Warszawy. Do końca lata już cały obszar Królestwa Polskiego i prawie całej Galicji znajdował się w rękach państw centralnych.

Następuje wielki odwrót Rosjan z ziem polskich – „nasi” rosyjscy żołnierze wycofując się wysadzają ocalałe we wcześniejszych walkach kościoły, palą wsie tak, aby napierający nieprzyjaciel był widoczny jak na dłoni. Na początku sierpnia w Warszawie słowo ewakuacja jest na porządku dziennym. Mieszkańcy oburzeni wieścią, że Warszawa będzie oddana

odwracają się od Rosjan, chociaż rok temu rzucali żołnierzom kwiaty pod nogi.

4 sierpnia 1915 r. Rosjanie ewakuują się z Warszawy; wywożą w głąb kraju znaczną część wyposażenia komunikacji miejskiej oraz warszawskich fabryk. Na wschód pojechał tabor kolejowy wraz z kolejarzami, banki, kasy pożyczkowe, magistraty, urzędy z urzędnikami, tysiące ton archiwaliów. Do Krzemieńczyka k. Charkowa wywieziono 328 wagonów kolejowych z urządzeniami fabryki budowy maszyn Lilpop, Rau i Loewenstein. W głąb imperium pojechały pociągi z wyposażeniem największych, warszawskich fabryk branży metalowej – Norblin, Bracia Buch i T. Werner, Gerlach i Pulst, Ursus i wielu innych. Pojechała do Rosji obsługa niezbędna do ich uruchomienia. Wszystko odbywało się w straszliwym pośpiechu. Gdy brakowało czasu na ewakuację całego zakładu, władze zalecały zabranie części maszyn, by przynajmniej opóźnić wznowienie produkcji przez wroga.

Ewakuowane były zbiory biblioteczne i muzealne, dzieła sztuki, dobra kultury. Uniwersytet Warszawski z najcenniejszym zbiorem bibliotecznym odprawiono do Rostowa nad Donem. Wyposażenie Zamku Królewskiego i Łazienek upchnięto w 65 wagonach i wysłano w kierunku Piotrogradu. Wywożone były dzwony ze świątyń. Wszystko jechało bez ładu i składu.

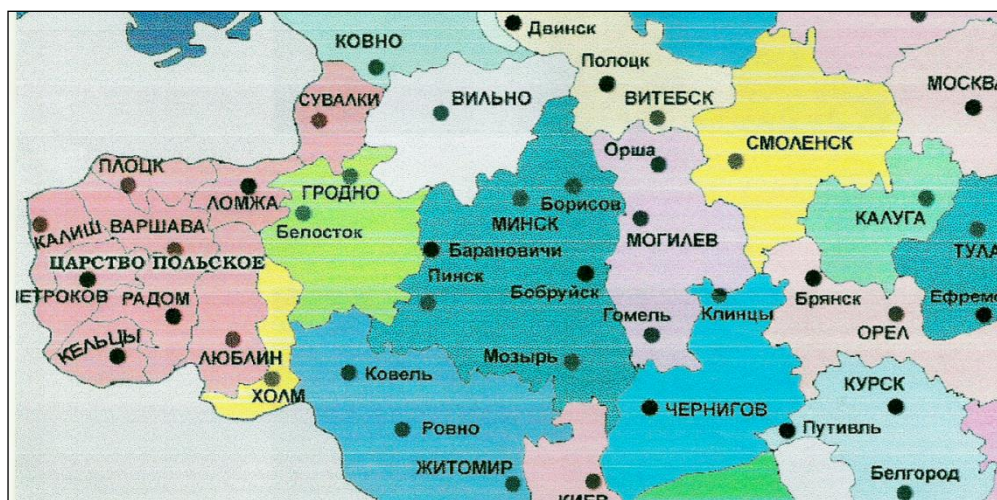
Tuż przed wycofaniem się z Warszawy – według relacji świadków, żołnierze rabowali składy apteczne rozbijali maszyny dla wyciągnięcia z nich kawałków miedzi. Na odchodnym wysadzili w powietrze wszystkie mosty, podpalili dworce Petersburski i Terespolski, zniszczyli tory kolejowe, wieże ciśnień, wodociągi, kościoły.

Podobną ewakuacją objęto urzędy gubernialne, powiatowe, częściowo gminne, a także duchowieństwo, instytucje finansowe, fabryki, infrastrukturę kolejową, szkoły, ośrodki wydawnicze, instytucje kulturalne w wielu innych miastach i miasteczkach.

W Białymstoku (gub. grodzieńska) główny impet rosyjski skierowany był także na demontaż i ewakuację przemysłu. Zakłady strategiczne wywożono inne rekwirowano i niszczone lub podpalano. Procederowi temu towarzyszyło szerzące się łapówkarstwo. Fabrykanci i przemysłowcy białostoccy tym sposobem starali się uratować swoje zakłady.

W Bielsku Podlaskim wycofujące się wojska rosyjskie w sierpniu 1915 r. dokonały rekwizycji żywności, podpaliły magazyny, budynki, archiwum miejskie, zarekwirowały i wywiozły w głąb Rosji maszyny i urządzenia fabryczne. Żołnierze rozbijali sprzęty domowe i gospodarskie, z chciwości brali rzeczy, które później wyrzucali, ale żaden nie wracał z pustymi rękoma. Nakłaniano, a wręcz przymuszano ludność do wyjazdu w głąb Rosji.

Z taką samą sytuacją spotkali się mieszkańcy wschodnich guberni Królestwa Polskiego, czyli guberni łomżyńskiej, lubelskiej, chełmskiej⁴¹.



Ówczesne gubernie rosyjskie

Akcja ewakuacyjna odbywała się na podstawie rozporządzenia Rady Ministrów zatwierdzonego przez cesarza dnia 2.09.1914 r., wg którego „wywozić na koszt skarbu z miejscowości zagrożonych najściem nieprzyjaciela, majątek państwowy, instytucje rządowe, urzędników i ich rodziny” oraz tzw. przepisów czasowych wydanych na początku czerwca 1915 r. przez gen. Mikołaja Iwanowa – ówczesnego dowódcę Frontu Południowo-Zachodniego i rozciągniętych na Front Północno-Zachodni przez szefa sztabu armii rosyjskiej gen. Mikołaja Januskiewicza.

⁴¹ Gubernię chełmską wyłączono w 1915 r. ze składu Kraju Nadwiślańskiego (Kongresówki) przyłączając do imperium.

Oprócz wysiedlania ludności z terenów objętych działaniami wojennymi rosyjska generalicja nakazała rekwirowanie zwierząt domowych, niszczenie plonów, wywożenie wszystkich zapasów żywności i w ogóle wszystkiego, co stać się może zdobyczą nieprzyjaciela. Zarządzenie generalicji miał nieco złagodzić rozkaz naczelnego dowódcy armii rosyjskiej wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza Romanowa, zgodnie z którym bezwzględnemu zniszczeniu miało podlegać jedynie to, co wynikało z sytuacji bojowej i w ogóle względów wojennych. Jednakże w wyniku szerokiej interpretacji tych przepisów masowo wypędzano ludność z jej siedzib oraz niszczone wszystko, czego nie dało się wywieźć.

Bezwzględnej ewakuacji podlegali mieszkańcy przestrzeni pasa przyfrontowego o szerokości 50 km. Teren ten miał być całkowicie ogołocony z wszelkich zapasów i ludności zdolnej do pracy czy poboru wojskowego – bezwarunkowo miała ona uchodzić w ślad za cofającymi się wojskami rosyjskimi. Nieprzyjacielowi miała pozostać spalona ziemia, podobnie jak zastał Napoleon w 1812 r.

W rezultacie przed samym odejściem wojsk rosyjskich z danej miejscowości zjawiali się Kozacy, którzy wypędzali mieszkańców z ich domostw, podpalali zabudowania, zboże na polach, a ludność pędzili przed sobą, lub wywozili koleją. Wykonywali ten rozkaz bezwzględnie i bez skrupułów. Rabowali, palili, niszczyli wszystko co się dało. Każde zniszczenie mienia cywili można było uzasadnić sytuacją bojową.

W guberni siedleckiej podczas odwrotu Rosjan za Bug mieszkańcom całej okolicy rozkazano wyjeżdżać przepowiadając wielką bitwę między Telakami a Kosowem. Wszelkie zboża, siano, słomę, lokomobile, stogi spalono. Przed samym odejściem specjalne oddziały podpalały budynki. Wiele majątków zostało doszczętnie zniszczonych: m. in. Łochów i Kołodziej hr. Zamojskiego, Akwinów, Kosów i Laski doktora Kurza, Tosie sędziego Bugajskiego, Cyranów z folwarkami Zofii Górskiej, Sterdynia z przyległościami Zofii Zdanowiczowej, Przędziatka hr. Sobańskiego, Kurowice hr. Trębickiej, Lasów Życkiego. Za zarekwirowane bydło drobnym właścicielom płacono gotówką, a innym przekazami do kasy gubernialnej w Mińsku. W związku z toczącymi się walkami w okolicy Narwi, 12 czerwca 1915 r. główno-

dowodzący polecił natychmiast wysiedlić całą bez wyjątku ludność podłomżyńskich wsi – Piątnicy, Czarnowa i Kalinowa.

Wysiedlona ludność nie mogła przebywać w Łomży, miała iść dalej. W wyniku tego rozkazu rodzinne strony musiała opuścić również liczna rodzina Lutosławskich z Drozdowa koło Łomży. W pierwszym roku wojny borykała się jedynie z przemarszami i pobytem wojsk rosyjskich w ich majątkach. Jednak w lecie 1915 r., gdy w bezpośredniej bliskości rozgorzały działania wojenne, a w Drozdowie zjawiała się dywizja syberyjska piechoty i zaczęła wypędzać ludzi ze wsi.

Zdecydowano, aby babka – Paulina Lutosławska z dwuletnim wnukiem Witoldem – później sławnym kompozytorem, niańką i panią Waclawą Lignowską⁴² pojechała do Wilna.



Podpalenie opuszczanego przez Rosjan Brześcia n. Bugiem; wrzesień 1915 r.
[Album Pułku Saliańskiego]

Wyruszyli całą kawalkadą – karetą, dwa wozy z rzeczami i wóz z rodziną furmana. Narew przejechali mostem pontonowym - inne były już spalone. Przepuszczając uciekające tabory wojskowe bocznymi drogami, rzemiennym dyszlem⁴³ starali się dojechać do Białegostoku, gdzie mieli nadzieję wystarać się o bilety kolejowe do Wilna. W drodze

⁴² Waclawa Lignowska - *Pamiętnik 1897-1918*, Drozdowo 2008. - informacje o losach rodziny Lutosławskich.

⁴³ Jechać rzemiennym dyszlem, tzn. często zbaczając z drogi i wstępując tu i ówdzie.

spotkali się z resztą „drozdowiaków”, tzn. rodzicami i braćmi Witolda oraz stryjami – ks. Kazimierzem i Stanisławem.

Stanisław Lutosławski uprzedzony wcześniej przez gen. Abranzowa, że Rosjanie będą cofać się wydobyl od wojska wszystkie należności za siano, paszę dla koni, dzięki czemu zebrał większą gotówkę. Kosztowniejsze rzeczy i meble oraz cały zapas starych miodów, win i starki wartości kilkunastu tysięcy rubli wysłał do Wilna pod opiekę majątkowego buchaltera. W międzyczasie plany zmieniły się i w rezultacie rodzina rozdzieliła się. Stanisławowie wyruszyli do Białowieży i dalej do Petersburga, a reszta zaprzęgami konnymi do Mińska.



Podpalone przez Rosjan zabudowania
w Brześciu n. Bugiem; wrzesień 1915 r.
[Album Pułku Salińskiego]

Polacy wszelkimi sposobami próbowali nie podporządkować się nakazom wyjazdu. Ukrywali się w lasach, w piwnicach, a nawet w podziemiach kościoła – byle tylko pozostać. Czasami udawało się uniknąć losu tułacza przekupując żołnierzy pieniędzmi lub wódką. Wiele zależało od dobrej lub złej woli dowódców wykonujących rozkaz. W ten sposób uratowano od spalenia część majątków. Tak dzięki łapówce Czetwiertyńscy z Milanowa w pow. parczewskim gub. lubelskiej skłonili oficera, który jak mówił ma rozkaz puścić z dymem wszystko

co opuszcza, do ocalenia domu, wsi i gospodarstwa. Spłonęła jedynie gorzelnia gdyż oficer uznał, że musi ją zniszczyć w obawie, że jego żołnierze piją się i nie będą zdolni do dalszego marszu⁴⁴.

Jak wspominał Józef Kłoczowski goszczący w starym dworze u Marii i Czesława Wroczyńskich w Wólce Nosowskiej na południowym Podlasiu „*Pewnego razu żołnierz z rana wchodzi do kuchni, niosąc pod pachą wiązkę słomy, kładzie na środku kuchni, wyciąga zapałki, zapala i spokojnie mówi: Ubirajties, podżigaju. Kobiety zrobiły alarm, nuż go prosić, aby nie zapalał, wpadł Czesław, dał żołnierzowi 100 rubli i ten sobie poszedł. [...] Przejedźdzał jakiś oficer, mówił, że przynajmniej sterty muszą być wszystkie spalone, ale szczęśliwie na słowach się skończyło, pojechał dalej. Przez jakieś 2–3 dni ciągle trafiali się maruderzy chcący coś zapalać. Jeden chciał ganek podpalać Czesław pyta czego on chce za to, że nie podpali – on mówi, że bielja u mienia niet. Czesław dał mu swoje stare dziurawe [...] kalesony i żołnierz dziękując serdecznie, poszedł”⁴⁵.*

Piękne zabudowania majątku Budnych⁴⁶ w Rejowcu udało się ocalić przed spaleniem dzięki interwencji Michała Stanisława Kossakowskiego, oficera służącego w Sanitarnym Oddziale Czołowym Armii rosyjskiej⁴⁷. W działaniach podpalaczy, najczęściej ciemnych żołdatów, pazerność i głupota konkurowała z dobrocią, serdecznością z nadgorliwością i okrucieństwem. Niektórzy oficerowie carscy nie byli przekonani, co do zasadności wysiedlania ludności i kierując się współczuciem nie wykonywali rozkazu. Dzięki litości kozaka, który, przyszedł podpalić ich dom rodzina Hieronima Wąska z Frampola na Lubelszczyźnie uniknęła wypędzenia.

Hieronim wspominał: „*Ludność miejscowa chroniła się gdzie tylko mogła, myśmy nie mieli żadnej możliwości uciezki, podjechał kozak pod nasz dom, uwiązał konia do płotu, wszedł do mieszkania i ujrzawszy matkę otoczoną gromadką dzieci, a także dziadka, który mieszkał w jednym domu razem z na-*

⁴⁴ Maria Tarnowska – *Przyszłość pokaże...*, Wyd. LTW 2012.

⁴⁵ *Teraz będzie Polska* – Wybór z pamiętników z okresu I wojny światowej, oprac. Andrzej Rosner, Warszawa 1988.

⁴⁶ Polska szlachecka rodzina h. Jastrzębiec

⁴⁷ Michał Stanisław Kossakowski – *Diariusz* t. 1, Wyd. UMCS, Lublin 2016. W latach powojennych część majątku Budnych została sprzedana. W ten sposób moi dziadkowie Stefania i Józef Gromadowie nabyli liczący 133 ha folwark Marynin w gminie Pawłów.

mi, trzymając w ręku nahaje krzyknął „uchaditie”. Mama i dzieci poczęły płakać i prosić, aby nas zostawił, dziadek uklęknął przed nim i prosił o litość, a wtedy kozak całą siłą uderzył nahajką dziadka tak, że ten z bólu zawył i podskoczył aż do sufitu. Kozak z przekleństwem opuścił izbę, ale poszedł na podwórze i znalazł w zagrodzie świnię, która miała się za kilka dni oprosić i przebił ją piką. Usłyszeliśmy przeraźliwy kwik zwierzęcia, co jeszcze bardziej spotęgowało ogrom strachu. Wreszcie kozak dosiadł konia i odjechał [...] Z oddali widziałem setki furmanek chłopskich załadowanych ludźmi i dobytkiem, które ciągnęły do Rosji na wygnanie”⁴⁸.

Czasami dochodziło do zaniechania podpaleń w wyniku uporu zdesperowanych ludzi. Sytuację taką opisuje Jan Skutnik z Kropiwnicy k. Moniek (na północ od Białegostoku) w guberni grodzieńskiej:

„W czasie wojny moi rodzice jak również inni mieszkańcy Kropiwnicy przeżyli straszny szok. Dowódca frontu rosyjskiego zarządził ewakuację wszystkich mieszkańców wsi przed cofającą się armią rosyjską. [...] Zgodnie z zarządzeniem każda rodzina miała zabrać pojazd konny, krowę, zapas żywności i jechać przed frontem na wschód. Za niewykonanie rozkazu groziła śmierć i spalenie wsi. Pod taką groźbą cała wieś i moi rodzice zabrawszy co można ze środków żywnościowych i troje małych dzieci, ruszyli na przyszlą tułaczkę. Zbiórka miała się odbyć za wsią od strony Kalinówki Kościelnej, gdzie stał na wzgórzu krzyż. Zebrani pod czujnym okiem strażników rosyjskich uklękli pod krzyżem, aby się pomodlić i prosić Boga o szczęśliwy powrót do rodzinnej wsi po zakończeniu wojny. Modlitwa zmobilizowała ludzi i złagodziła strach przed śmiercią oraz dodała odwagi do sprzeciwienia się zarządzeniu. Zebrani twardo powiedzieli „nigdzie dalej nie jedziemy”. Rosyjscy konwojenci byli w szoku. Nie mogli zrozumieć, że zwykli wieśniacy mogą przeciwstawić się rozkazowi dowódcy frontu, podczas gdy w okresie wojennym za niewykonanie rozkazu przez żołnierza groziła pewna śmierć. W tym duchu zaczęli przekonywać zebranych, by podporządkowali się rozkazowi gdyż w przeciwnym razie spalą wieś. Jednakże zdesperowana ludność nie dała się zastraszyć, zawrócili konie

⁴⁸ Andrzej Burlewicz – *I wojna światowa we Frampolu i na Biłgorajskiej Ziemi*, blog; Hieronim Wąsek wuj autora ur. we Frampolu w 1905 r., spędził tam dzieciństwo; w chwili wybuchu wojny miał 9 lat i był jednym z ośmiorga rodzeństwa; najstarszy brat miał wtedy 15 lat, a najmłodsza siostra kilka miesięcy.

*i wrócili do swoich gospodarstw. Przez kilka dni czekali na najgorsze, ale skończyło się na strachu. Wieś nie została spalona*⁴⁹.

Ludzie złorzeczyli. Mówili: „Kozaki paliły ... [...] oszukali nas. Powieździeli, że będą palić tych przed okopami. Nie wierzyliśmy i temu. Spalili jednych i drugich.” Ale najbardziej złościło ich to, że „straszyli go nieznanym wrogiem, pożeraczem dzieci łupieżcą świątyni, a tutaj spalił go, zrabował zdeptał własny – nasz Moskal”⁵⁰.

Ale nie zawsze na wyrzekaniach się kończyło. Niekiedy ludność widząc szybko nacierające oddziały austriackie nabierała śmiałości i broniła się sama; jak pisał Sławoj Felicjan Składkowski:

*„13 lipca. [...] Wczoraj nad ranem mieszkańcy miasteczka zabili Moskala, który podkradał się o świcie, by podpalić dom. Nasi żołnierze opowiadają, że ludność miasteczka (Urzędowa) ma austriackie karabiny z zabitych przed paru dniami przez Moskali i obecnie karabinami tymi broni domów swoich przed podpalaczami wysyłanymi przez Rosjan. Karabiny te chowają starannie i przed Moskalami i przed Austriakami”*⁵¹.

Bywało, że ludzie pod wpływem paniki decydowali się uciekać, ale przestraszeni tłumem i chaosem na szosie zrezygnowani wracali. Tak uczynili Chodkiewiczowie, właściciele Młynowa na Wołyniu. W 1915 r. wobec zbliżającej się bitwy wraz z przebywającymi u nich gośćmi i księdzem Sobańskim postanowili uciekać. Zapakowali wozy i puścili się w drogę, ale po pewnym czasie widząc sytuację na trasie, zawrócili.

Opowiadał o tym ks. Sobański: *„Na horyzoncie, gdziekolwiek oko sięgało, łuny pożarów. Dojechano do szosy. Na szosie korowód niezliczony uciekinierów na wozach i pieszo, pędzących bydło i konie. Krzyki, przekleństwa, płacz dzieci i kobiet, ryk zwierząt. Już leżały na szosie wozy poprzewracane i rozgrabione. Na widok tej ciżby, tego zamętu państwo Chodkiewiczowie zawrócili na powrót do Młynowa. Co będzie to będzie. Wszystko lepsze od tego piekła”*⁵².

⁴⁹ Jan Skutnik – *Rodzinne wspomnienia*, Biblioteka Publiczna w Mońkach.

⁵⁰ M. Sokolnicki – *Cała kraina w mogiłę zapadła*; *Ilustrowany Tygodnik Polski* nr 3 str. 48; Kraków 1915.

⁵¹ Sławoj F. Składkowski – *Moja służba w Brygadzie. Pamiętnik polowy*, Warszawa 1990.

⁵² Janina Zofia z Potockich Potocka – *Dziennik 1914–1919 Peczara*, Łomianki 2014. Podczas nieobecności Mieczysława hr. Chodkiewicza przebywającego w wojsku, w Młynowie, na straży

Panowało przekonanie, że w większych miastach jest bezpieczniej, stąd Lublin stał się miejscem schronienia i tymczasowego pobytu wielu tysięcy uchodźców z terenów objętych walkami⁵³. Podążali tam przede wszystkim mieszkańcy południowo-zachodniej Lubelszczyzny.

Tam też, jak wynika z aktów metrykalnych, dotarli moi dziadkowie ze strony matki, Stefania i Józef Gromadowie. Przed wojną mieszkali w Wilkołazach pod Kraśnikiem; dziadek był tam pisarzem gminnym. Na miejscu w domu przetrwali walki 1914 r., kiedy przez Wilkołaz dwa razy przechodziły walcząc z Rosjanami wojska austriackie. Raz po pierwszej dwudniowej bitwie pod Kraśnikiem (23–25. 08.1914) nacierał w kierunku Lublina, a drugi, za kilka dni 12.09.1914 cofając się w wyniku naporu wojsk rosyjskich. Tam w lutym 1915 r. urodziła się młodsza siostra mamy, Krystyna. Jej chrzest odbył się w lipcu tego roku w Lublinie, dokąd musieli uciec dziadkowie z maleńkim dzieckiem⁵⁴. Szczegóły tej drogi niestety nie są znane. Może odbywała się koleją, którą Rosjanie wybudowali w 1914 r.

Niektórzy, podobnie jak było w 1914 r. opuszczali swoje domostwa jeszcze przed przybyciem kozackich oddziałów wyganiających, ukrywali się w lasach, przeczekiwali odwrót Rosjan, po czym wracali do swych siedzib zajętych przez Niemców bądź Austriaków. W ten sposób męki pobytu w Rosji uniknęła duża część ludności polskiej z Lubelszczyzny.

We wrześniu 1915 r. M. Siedlecki wraz z przedstawicielem CKO objeżdżał Ziemię Lubelską będącą już w rękach austriackich i na szosie chełmsko-lubelskiej spotykał, wielu takich włościan, którzy wypędzeni, po wielotygodniowej tułaczce wracali do swych siedzib. Jak pisał:

pamiętek pozostały dwie kobiety: matka właściciela, Julia z Ledóchowskich Władysławowa Chodkiewiczowa i jej córka Zofia; mimo grożącego im niebezpieczeństwa nie skorzystały z możliwości wyjazdu. 28 maja 1919 r. zginęły tragicznie zamordowane przez zrewolucjonizowane bandy; pałac uległ wówczas splądrowaniu, jego urządzenie oraz zbiory w dużym stopniu zniszczono i rozgrabiono

⁵³ Do niektórych miast wjazd był dozwolony tylko za specjalnym zaświadczeniem. Tak było w przypadku Łomży, Radomia, Rygi, Wilna, Kowna, Grodna, Białegostoku, Warszawy, Siedlec.

⁵⁴ Moja mama Wanda przebywała wtedy u swoich dziadków Zuzanny i Michała Kołodziejczyków w Janowie Lubelskim.

„Przodem jedzie wóz połatany patykami i sznurkami ciągniony przez nie okutego żrebaka, któremu pokaleczone kopyta okręcono szmatami. Ojciec prowadzi konia przy pysku. Z drugiej strony dyszla przyczepiona za rogi nędzna, chuda krowa. Na wozie skrzynka, cebrzyki i pierzyny, z których sterczą umorusane, kudłate główki dziecięce. Na końcu idzie matka wychudzona na szkielet jedną ręką oparta na wozie, drugą tuli maleńkie dziecko do zapadłej piersi”. Wracają spod Kobrynia, kozaccy podpalacze wypędzili ich z domu i pędzili na wschód jak skazańców. Są zza Lublina, jeszcze tydzień drogi przed nimi. Dziecko ma 10 tygodni, a oni wędrują 7 tygodni piechotą. W okolicy Kobrynia zeszli z drogi i ukryli się w lesie. Koło nich rozgorzała bitwa, ale kiedy już przycichło zawrócili i wracali do siebie”⁵⁵.



Tablica w przedsionku kościoła we Frampolu związana ze ślubami złożonymi przez parafian w intencji ochrony miasta przed spaleniem i ewakuacją moskiewską w czerwcu 1915 r.

Podobnie czynili mieszkańcy innych guberni. Przykładowo Pieńkowscy, właściciele majątku Sutno w guberni grodzieńskiej w parafii Mielnik – przez dwa tygodnie koczowali w lasach aby przeczekać walki. Po powrocie zastali majątek kompletnie zdewastowany.

Tak też było z rodziną Józefy i Franciszka Wyszyńskich – moimi familiantami, z Wądołek Borowych pod Zambrowem. Ich dwór znajdował się nieopodal rosyjskich koszarów wojskowych i w 1915 r. podczas walk z Niemcami musieli go opuścić. Wrócili do zniszczonego w wyniku ostrzału artyleryjskiego domu⁵⁶.

⁵⁵ M. Siedlecki – *Z Ziemi Lubelskiej. Jesień 1915 r.*, Wyd. L. Anczyc i Spółka, Kraków 1916.

⁵⁶ W wyniku ostrzału z karabinów maszynowych znajdujące się w szafach bibliotecznych starodruki, m.in. kolekcja pism ulotnych z okresu małżeństwa Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną przemieniła się w kupę rozdrobnionego papieru.

Takie powroty na zgliszcza opisuje Czesław Bągorski w lipcu 1915 r. *„Ludność uciekająca w lasy pomatu się zgromadza i schodzi do swych zabudowań, niestety większa część domów spalonych, smutny to widok tych ludzi jak ciągną z różnymi tobołkami i inwentarzem, koniem, krówką, owcą jest to nasz kochany ludek polski, serce się człowiekowi kraje jak matki niosą półnagie dzieci albo prowadzą schorzałych starców”⁵⁷.*

Dzieduszyccy dwa razy opuszczali swój dom i majątek. Jak pisałam w 1914 r. uciekli do Wiednia, ale gdy tylko dowiedzieli się, że wojska niemiecko-austriackie odparły Moskali ruszyli do domu⁵⁸. Majątek zostali zniszczony ogród przekopany rowami strzeleckimi, folwark spustoszony. Zimą 1915 r. jakoś przetrwali, a z wiosną zabrali się gorliwie do pracy chcąc doprowadzić gospodarstwo do porządku. Tymczasem w lecie 1916 r. Niemcy zaczęli się cofać, a Rosjanie znów zbliżyli się do tych ziem. Na wieść o tym Ewa Dzieduszycka zniechęcona pisała *„Opadły mi ręce z rozpacz. Znów iść na tułaczkę, a i cała nasza praca na nic. Znów wpadnie tu dzika horda, aby resztę, co jeszcze zostało, zniszczyć spalić zrabować. Nie było jednak czasu na biadolenie. Trzeba było znów szybko pakować, co się dało, i jechać w nieznanne... [...] Wóz załadowany pościelą, bielizną, niezbędnymi naczyniami kuchennymi i wieczorem cała karawana ruszyła.”* Jechali noga za nogą gdyż prowadzone przez nich krowy wciąż gubiły się po drodze. *„Jedne uciekały w pole, aby się paść, inne chciały zawracać do domu”*. Po wielu perypetiach i postojach, w końcu kolejną dotarli do Zakopanego, gdzie dołączyli do dużej grupy polskiej inteligencji.

Mieszkańcy Wólki, wsi z powiatu bielskiego w gub. grodzieńskiej wyjeżdżali z nadzieją szybkiego powrotu. We wspomnieniach chłopca z tej wsi można przeczytać: *„Rankami z rosą było wyraźnie słychać pukanie karabinów maszynowych, wreszcie kozacy stanowczo zażądali naszego odjazdu. To było w dniu 6 sierpnia 1915 r. Z rana zaczęli ładować fury. Pakował każdy to, co uważał za najpotrzebniejsze, później okazało się, że pobrano dużo rzeczy niepotrzebnych, a potrzebne pozostawiono w domu, resztę zakopywano w dołach pod budynkami, na ogrodach. O godzinie drugiej po południu tabor*

⁵⁷ Czesław Bągorski – *Mój dzienniczek z wojny światowej*, Biblioteka Narodowa mf 64645

⁵⁸ Okolice Stanisławowa były pod okupacją rosyjską od sierpnia 1914 do czerwca 1915 r. potem wróciły pod panowanie austro-węgierskie, a w lipcu/sierpniu 1916 r. ponownie wkroczyły wojska rosyjskie.

był gotów. Ja wraz z innymi chłopcami z młodszym bratem pędziłem bydło i owce [...]. Zaczęło się pożeganie, ludzie płakali całując ziemię i wyrzekając na swą niedolę, kobiety lamentowały, a gdzie my pojedziemy? Gdzie złożymy swe głowy? Szczególnie starcom ciężko było pożegnać swe rodzinne kąty. Wszystkich pocieszała myśl, że tylko dojadą do puszczy Białowieskiej, odległej od nas o jakieś 30 wiorst, a tam gdzieś w gąszczu lasów przeczekają póki przejdzie wojna i wrócą do domu⁵⁹. Do domu wrócili w 1918 r.

Aby nie dopuścić do zbierania się uchodźców w pobliżu linii frontu wojsko rosyjskie miało rozkaz eskortowania grup wysiedleńców, co dodatkowo – jak twierdzą świadkowie, wpływało na odczuwany przez nich stres i poczucie represyjności władz. Tym bardziej, że żołnierze zachowywali się stanowczo. Uchodźcy często robili wszystko, aby nie dać się odciągnąć zbyt daleko od domu. Zbaczali z głównego szlaku, kryli się przed kozakami.

Chłop z Wólki w pow. bielskim pisał: „Jechali nie spiesząc się, starając się trzymać bliżej wojny, tak, że za pierwszy dzień odjechano zaledwie 12 km. A napotkawszy rozległe łąki obozowano tam przez cztery dni. Na czwarty dzień przyjechał dziadek, opowiadał, że już do Wólki przylatywały pociski, że już kilka domów zdruzgotano, że on ledwie uciekł, że wszystkie drogi zastawione żołnierzami”⁶⁰.

O takich obozowiskach wygnańców w okolicy Zażółkwi k. Krasnegostawu wspominał również Kossakowski: „Gdyśmy jechali przez las ujrzeliśmy rodzajowy obrazek. W głębokim wąwozie zamieszkało kilka rodzin wygnańców. Widzimy w ścianach wąwozu wykopane jaskinie i postaci ludzkie krzątające się około małych ognisk rozłożonych pod kociołkami ze strawą. Do palików przywiązano krowy na ziemi siedzi kilkoro dzieci, leżą psy”⁶¹.

Nie zawsze do ucieczki zmuszał kozacki nahaj, niektórzy udawali się na tułaczkę pod wpływem propagandy władz rosyjskich. Rozpętały one szeroko zakrojoną akcję, wzywającą ludność cywilną do natychmiastowego udania się w głąb Rosji. Aby nakłonić do wyjazdów, straszili mordami, gwałtami, rabunkami i innymi okrutnymi represjami, jakich mogliby doznać z rąk Niemców. Rozsiewali plotki, że Niemcy

⁵⁹ *Pamiętniki chłopów*, pod red. Ludwika Krzywickiego, Wyd. IGS, Warszawa 1935.

⁶⁰ *ibidem*

⁶¹ Michał Stanisław Kossakowski – *Diariusz*, t. 1, Wyd. UMCS, Lublin 2016.

będą babom obcinać cycki, dzieci nabijać na szable albo wrzucać do studni, starców żywcem wpychać w ogień. Przerażenie ludności podsycala hierarchia cerkiewna posłuszna władzy carskiej. Batuszko-
wie bojąc się represji ze strony wojsk niemieckich namawiali do ucieczki. Stąd w guberniach grodzieńskiej, chełmskiej czy lubelskiej, gdzie obok siebie żyli chłopcy polscy i ruscy, katolicy i prawosławni, ci ostatni w dużo większym stopniu niż Polacy dobrowolnie udawali się na tułaczkę.

Według prawa kościelnego proboszcz katolicki powinien zawsze trwać przy swoim kościele, być razem z mieszkańcami parafii.

Stąd księża starali się wytrwać na miejscu, a odjeżdżali do Rosji jedynie zmuszeni przez władze rosyjskie lub dobrowolnie aby towarzyszyć swoim parafianom, w panice opuszczającym domostwa. Duchowni zachęcali mieszkańców do przeczekaania najgorszych momentów gdzieś w pobliżu. Czasami ukrywali się z nimi w podziemiach kościołów. Wyjeżdżając starali się zabezpieczyć mienie kościelne, a w szczególności księgi parafialne. Mimo to wiele z tych dokumentów bezpowrotnie uległo zniszczeniu.

Jak wspominał ksiądz J. Warpechowski , proboszcz w Boćkach pod Bielskiem – *„Parafianom zaleciłem nie jechać na wschód, lecz osiąść gdzieś blisko, byle nie w stronę Bielska i Brześcia. Sam zaś myślałem gdzieś skryć się. Część rzeczy wystąpiłem do Wałk (wieś w gm. Milejczyce), część zakopałem koło domu, a resztę miałem przenieść pod kościół. Złoto i srebro kościelne schowałem do piwnic kościelnych. Księgi, dokumenty zniósłem z górnego skarbcza do zakrystii, aby na wypadek rozbicia kościoła, zostały w całości. [...] Siedząc w piwnicy pod kościołem, około 40 osób, zachowywaliśmy ciszę, by nas nie zauważono i nie kazano wyjeżdżać do Rosji”*⁶².

Wielu księżom nie udało się zostać i musieli ruszyć na tułaczkę. Ksiądz M. Turowski pisał:

„W parafii Kadzidło, z księży wikariuszy ks. Suchcicki dał się powodować panice i wyjechał do Rosji[...]. W parafii połowa budowli spalona lub rozebrana i użyta do okopów. Około jednego tysiąca ludzi opuściło swoje domy.”

⁶² Jan Warpechowski – *Wspomnienia* (rękopis) za E. Beszta-Borowski – *Dzieje parafii katolickiej Narodzenia NMP i św. Mikołaja w Bielsku Podlaskim*.

Z kolei Franciszek Przedpełski donosił *„Dnia 25 lipca 1915 r. przymusowo, niespodziewanie wysiedlono mnie na stację kolejową Ostrołęka, a w tydzień potem wywieziono do Rosji, do ortowskiej guberni do miasta Briańska, dokąd przybyłem 5 sierpnia 1915 r.”*

Również ksiądz Dominik Szwedas relacjonował: *„Przy tym donoszę, że siedem wsi z parafii Białaszewo jest wysiedlonych do guberni grodzieńskiej, inni sami puciekali nie wiadomo gdzie”*. Informacje o wysiedlaniu katolików znajdują się również w podaniach kandydatów o przyjęcie do seminarium duchownego w Łomży z okresu międzywojennego. Jedni alumni piszą wyraźnie, a inni pośrednio o wyjeździe pod przymusem. Stanisław Dąbkowski z parafii Mały Płock wspominał:

„W 1915 r. byłem zmuszony wyjechać wraz z rodziną do Rosji. Zatrzymawszy się w Mińsku Litewskim wstąpiłem do Gimnazjum PTPOW”, inny alumn Rajmund Bargielski z parafii Piątnica: „Podczas wojny wraz z rodziną i wielu innymi wygnańcami z Polski znalazłem się w Rosji, w guberni mohylewskiej we wsi Swireli”.

O pobycie w Rosji wspominają także inni alumni: Henryk Białokoziewicz z Czerwin, Aleksander Bielawski z Łomży, Stanisław Cudnik z parafii Borkowo, Józef Jarnicki z parafii Rosochate⁶³.

Jak wynika z dokumentów gubernatora łomżyńskiego w 1917 r. w Rosji przebywali m.in.: ks. Adam Janowicz wikariusz par. Białaszewo, Apolinary Wojsz z Lipnik, ks. Teofil Dąbrowski z Łap oraz proboszczowie z parafii Boguty-Pianki, Jedwabne, Kołaki, Lipniki, Lubotyń, Mały Płock, Nowa Wieś, Nowogród, Ostrołęka, Szczepankowo, Szumowo a także wikariusze parafii Brańszczyk, Czerwin, Jasienica, Jedwabne, Kadzidło, Mały Płock, Ostrołęka, Płoniawy, Poświętne, Rutki, Turośń, Zbójna i Wąsosz.

Do ucieczki skłaniały nie tylko zarządzenia władz, ale również odgłosy pobliskiej bitwy, przelatujące nad domem szrapnele, widok uciekinierów.

W guberni kowieńskiej, przy granicy z Prusami Wschodnimi – St. K. z majątku Lukszany długo słuchał dobiegających z dala strzałów armatnich nim zdecydował się na ucieczkę. Wyjechał dopiero,

⁶³ Witold Jemielity – *Ewakuacja urzędów i ludności guberni łomżyńskiej do Rosji (1914-1918)*, Studia Podlaskie t. XVIII, Białystok 2009/2010.

kiedy 9 lipca 1915 r. walki niemiecko-rosyjskie zbliżyły się do sąsiedniego miasteczka Pokroje i na drodze pojawili się nieprzytomni ze zmęczenia i głodni uciekinierzy. Rodzinną siedzibę opuścił wraz z 11 letnią córką i bratem. Zapakowali i zakopali olejne obrazy i ruszyli 3 wozami w 3 pary koni zabierając ze sobą cenniejsze rzeczy popakowane w tłumoki, mając za furmana na jednym wozie koniucha na drugim służącą Weronkę, a na trzecim gospodynię⁶⁴.

Również w guberni łomżyńskiej przy granicy Kongresówki z Prusami Wschodnimi na wiosnę 1915 r. działania wojenne nasiliły się. W lipcu powiat ostrołęcki znalazł się na linii frontu.

Bez przerwy grały działa, kulomioty i karabiny, ziemia drżała, szyby dzwoniły w oknach. W nocy horyzont oświetlały łuny i pękające szrapnele. Wojska rosyjskie siłą wyganiały ludność z wiosek zagrożonych ogniem bitew, a później zaczęły wysiedlać wszystkie wsie. Traktami wlokły się wozy naładowane resztkami dobytku chłopów wygnanych z nadnarwiańskich wsi. Na wozach toboły, zapłakane kobiety, dzieci, przy wozach krowy i zdeorientowani, bezradni chłopci.

Władysław Glinka, właściciel majątku Susk Stary pod Ostrołęką od dłuższego czasu borykał się z kwaterowaniem oficerów rosyjskich w jego domu, nalotami aeroplanów, wybuchem bomb i szrapneli. Słuchał chłopów, którzy z płaczem opowiadali jak kozacy nahajkami i pałaszami wyganiaли ich ze wsi. Mimo to do ostatniej chwili zwlekał z wyjazdem, nie chciał porzucić swojego domu, swojej ziemi, nie chciał uciekać przed Niemcami. Stanowisko to musiał ukrywać przed oficerami rosyjskimi, gdyż ci chęć pozostania traktowali jako zdradę. Miał nadzieję na szybkie przejście terenów przez Niemców, ale Rosjanie bronili się zaciekle, a wycofując się palili wszystko dookoła. Ze zgrozą musiał patrzeć na niszczenie dorobku. Zdecydował się na opuszczenie majątku dopiero 3 sierpnia, kiedy zboża wokół płonęły, spichrz zamieniony był w fortecę, a żołnierze biegali po polach zapalając snopki i przygotowywali się do spalenia budynków mieszkalnych i gospodarczych. Moment wyjazdu był dla niego i rodziny szczególnie traumatyczny.

⁶⁴ 600 wiorst kołmi przez Litwę i Białoruś, Opowiadanie wygnańca w Polskim Kalendarzu Piotrogrodzkim 1916.

Tak wspominał „*Smutek nieopisany ścisnął serca, zdobyć się nie mogliśmy na porzucenie tego gniazda gdzie dzieci moje rodziły i wzrosły, tych pól gdzie w każdej skibie było tyle naszej pracy i nadziei. Nastąpiła chwila tragicznego spokoju. W milczeniu jak błędni chodziliśmy po domu*”⁶⁵.

Wyjeżdżali powozem, bryczką i trzema wozami pełnymi jedzenia i różnych rzeczy w tym kuframi z książkami i z wrzuconym w ostatniej chwili XVIII wiecznym stolikiem. Wyruszył na włość razem z dorosłymi dziećmi (córka i dwoma synami), gospodynią, kucharką, pokojówką, stangretem i forysiem. Bydło (50 krów) i niezarekwirowane przez wojsko konie (35 szt.) początkowo pędzili opłaceni kozacy, a potem syn Jan. Ruszyło z nimi również 30 rodzin służby folwarcznej (200 osób) których wyposażyli w wozy i konie. Po wyjeździe gospodarzy saperzy dokonali palenia budynków folwarcznych. Do spichrza zbudowanego z cegły i pokrytego blachą nosili słomę, aby go zapalić od środka.

Komitety Obywatelskie rozdawały druki kwitów do opisu zniszczonych majątków, ale warunkiem ewentualnych rekompensat było potwierdzenie strat przez władze gminne, powiatowe lub wojsko. I z tym był duży problem, gdyż urzędnicy uciekli jako pierwsi, a przy szybko przemieszczającym się wojsku trudno było odnaleźć odpowiedni oddział.

Rodzina Iłżyckich z Czarnowa, gm. Goworowo pow. ostrołęcki, mimo spadających szrapneli i stałego zagrożenia życia również nie chciała wyjeżdżać. Oficerowie zmusili ich do wyjazdu groźbą rewizji w domu – a mieli sporo nielegalnych pism i książek.

Andrzejowie Potoccy z Podzamcza k. Maciejowic (pow. Garwolin) schronili się do piwnic, skąd żołnierze siłą ich wyciągnęli, wsadzili do powozu i kazali wyjechać.

Rodziny Adama i Feliksa Wojciechowskich właścicieli Wojciechowic pod Ostrołęką pragnąc bezwarunkowo pozostać na miejscu chroniły się przed szrapnelami w wyposażonej w żywność i wodę ziemiance przy domu. W parę dni po wysiedleniu chłopów z sąsiedniej wsi zjawiał się u nich pułkownik rosyjski i początkowo grzecznie namawiał do wyjaz-

⁶⁵ Władysław Glinka – *Pamiętnik wielkiej wojny. Narew – Berezyna*, t. 1, skł. Gł. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1927.

du, a widząc sprzeciw straszył, że żołnierze batami pogonią ich i będą musieli iść pieszo, bez żadnych rzeczy. Tak więc pośpiesznie spakowali manatki, wsiedli na bryczkę i odjechali. Dwór został zdewastowany i podpalony.

W tej samej guberni w powiecie Wysokie Mazowieckie (dawniej Mazowiecko) również pod naciskiem Rosjan latem 1915 r. przymusowo ewakuowało się wielu ziemian wraz z administracją i robotnikami rolnymi. Zmuszeni do opuszczenia domu i wyjechania w głąb Rosji zostali między innymi Kiersznowscy, właściciele Szepietowa-Wawrzyńców.

Oddziały kozackie paliły opustoszałe zabudowania. Do nielicznych, którzy jakimś sposobem uniknęli wywiezienia na wschód i uchronili gospodarstwa przed spalaniem należał familiant autorki, Stanisław Włodek, właściciel majątku Dąbrowa-Bybytki. Dzięki jego działaniom udało się również ocalić majątki niektórych sąsiadów. Sytuację pod Wysokim Mazowieckim opisuje w swoich wspomnieniach Stanisława Grodzka z Brzózek Brzezińskich: *„Latem 1915 roku huk zięjących ogniem paszcz armatnich przybliżał się. Zobaczyć można było całą ścianę dymu na niebie, a wieczorem tony ognia. Zdawało się, że cała zachodnia strona jest tylko jednym płomieniem. Jak straszny to przedstawiało widok trudno jest opisać. [...] Zobaczyliśmy masy ludzi pędzonych przez kozaków. Po szosach i gościńcach przesuwwały się całe tabory ludzi, jedni na furmankach naładowanych ubraniem i żywnością, inni pieszo, dźwigając swoje tłumoki na barkach, inni pchali na wózkach. Pędzono bydło, owce, świnie, a wskutek wielkich upałów i suszy każdy biegł z kubetkiem lub dzbankiem po wodę, której też w naszych studniach zabrakło. Wozy nasze stały już przedtem naładowane. 9 sierpnia środa, gdy się ściemniło rozległy się strzały, zakotłowało się jak w garnku- wojsko, które stało we wsi zaczęło uciekać przez płoty, nie bacząc gdzie droga. Krzyk, płacz rozległ się we wsi i w tym właśnie czasie, może już tak nam sądzone było zaprzęgnięto konie co prędzej i ruszyliśmy przed siebie w świat”*⁶⁶.

Szczęście mieli ci, co zwlekali z wyjazdem do ostatniej chwili i doczekali przyjscia Niemców i błyskawicznej ucieczki Rosjan, którzy nie zdążyli spalić wsi. Sojusznikami ludności byli często żołnierze, Polacy służący w armiach państw centralnych.

⁶⁶ Wspomnienia Stanisławy Grodzkiej spisane w 1923 r. są w zbiorach Jana Kryńskiego z Wysokiego Mazowieckiego, autora książki - *Pamiętnik Stanisławy Grodzkiej - losy mieszkańców powiatu ewakuowanych na wschód w 1915 r.*

We wspomnieniach Julii Sokolik z Wysokiego Mazowieckiego można przeczytać: *„Wypłoszyła nas z Mazowiecka strzelanina z armat i łuny nad Czyżewem. Czyżew został spalony. Wybiegliśmy z tobotami i pędziliśmy przed siebie jak owce. Strzelanina była już bardzo blisko i kule strasznie gwizdały. Schowaliśmy się do rowu przy szosie. Dzieci płakały, a kobiety modliły się głośno. Koniec świata i nieszczęście nasze. Aż tu widzimy na ściernisku i wprost na nas biegną żołnierze niemieccy. Rozciągnęli się w linię przez całe pole. Myślimy, że to nasza ostatnia godzina. Ale żołnierze zdyszani, z szarymi twarzami, skakali tylko przez nas i pędzili dalej. A gdzie był Moskal, którego gonili, nie było widać z rowów. Wtem z niemieckiego szeregu odezwały się do nas głosy po polsku- gdzie uciekacie głupcy! Wracajcie do domu. Żywo bo wam dwory popalą!”⁶⁷*

Niekiedy żołnierze niemieccy doganiali wolno przemierzającą się kawalkadę wozów i zawracali ją, tym samym ratując ludzi przed tragedią bieżącego.

Rosjanie podczas odwrotu wypuścili zapasy spirytusu i wysadzili komin gorzelni w Przytułach, majątku sąsiadującego z Suskiem Starym. Opisował to jeden z sąsiadów – *„co za wspaniałe widoki; cały komin uniósł się dość wysoko, zatrzymał się w powietrzu potem zaczął się rozpadać na części i wreszcie opadł gradem cegieł, podnosząc tuman kurzu”⁶⁸.*

Jak już wspomniano od momentu zajęcia Warszawy przez Niemców w sierpniu 1915 r. wojska rosyjskie na prawym brzegu Wisły zaczęły cofać się w nadzwyczajnym pośpiechu, a mieszkańcy guberni warszawskiej siłą byli wypędzani.

Przywołajmy Dzierzbickiego: *„Wieści straszne o zniszczeniach systematycznych i wypędzaniu ludności dochodzą ze wszystkich stron, a liczne rzesze uciekających zbiegów, codzienne łuny pożarów przejmują grozą. Od Jabłonny gnają gromadę ludności wypędzonej z powiatu płońskiego, liczącą około 30 tys. ludzi na Radzymin, Węgrów, Drohiczyn, na Litwę. Olbrzymie masy tej wypędzonej ludności skupiły się około Włodawy bez żadnych środków do życia. To samo słyszy się zewsząd”⁶⁹.*

⁶⁷ J. Kryński – *Wysokie Mazowieckie. Monograficzny zarys dziejów*. Wysokie Mazowieckie, 1992.

⁶⁸ Władysław Glinka – *Pamiętnik wielkiej wojny. Narew – Berezyna*, t. 1, Skł. Gł. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1927.

⁶⁹ Stanisław Dzierzbicki – *Pamiętnik z lat wojny 1915-18*, PIW, Warszawa 1983.

Dla Łomżyńskiego, jak pisał chłop mieszkający w powiecie ostrowskim – pamiętnym dniem był 10 sierpnia 1915 r., kiedy to Moskale cofając się palili wszystko po drodze. W tym jednym dniu Moskale przeszli 70 km paląc wszystkie wsie i miasteczka. Sam uniknął przymusowego wywiezienia do Rosji, gdyż został zabrany przez kozaków do kopania okopów. Po powrocie zastał spaloną wieś:

„Gdy dopadłem swego domu, zastałem już dopalające się zgliszcza, dookoła których biegał z głośnym wyciem wierny pies Łysek. Ten sam los spotkał całą prawie wioskę. Tylko kilka, stojących wśród gąszczów olszowych, chatup ocalało. Takież los spotkał i inne wioski okoliczne. Do wzniesienia pożarów wysyłałi Moskale specjalne oddziały wojska, zaopatrzone w pochodnie i benzynę. Bronić się przed nimi można było łapówką, a jeszcze lepiej widłami lub siekierą, bo ci podpalacze nie byli uzbrojeni. Gdybym był w domu, byłbym się na pewno obronił przed podpaleniem. Ojciec zdążył pozwozić do stodoły wszystko zboże – na polu zostały tylko ziemniaki – i wszystko się spaliło. Spaliły się też wszystkie sprzęty i narzędzia rolnicze, a także mój piękny zbiór książek i roczników gazet, moje zapiski, i notatki oraz znajdujące się na strychu ubranie i bielizna. Pozostałem w tem w czem pracowałem przy kopaniu okopów. Ojciec zdążył zabrać na furmankę tylko kilkoro drobnych dzieci i trochę rupieci domowych, starsze dzieci pognały dobytek i ruszyli wszyscy na wschód [...]. Zawołałem Łyska i poszliśmy kierując się według wskazówek pozostałych, nielicznych mieszkańców wioski drogą na Nur, Ciechanowiec, Brańsk do Bielska Podlaskiego”⁷⁰.

W należącej do imperium guberni grodzieńskiej pierwszy rok wojny to powszechna mobilizacja, stacjonowanie wojsk i rekwizycje koni. Większość chłopów, fernali, pastuchów, a także mężczyzn zaliczanych do pospolitego ruszenia zostało powołanych. We wsiach i dworach zostali starcy, kobiety, dzieci i konie niezdatne dla armii. Utrudniało to gospodarowanie, ale życie przebiegało w miarę normalnie. Walki frontowe toczyły się gdzieś daleko i mieszkańcy liczyli, że wojna ich nie dotknie, że przejdzie bokiem.

Również podczas wiosennej ofensywy 1915 r. sądzono, że front stanie na Wiśle, najdalej na Bugu, ale komunikaty wojskowe rozwiewały te nadzieje. Latem 1915 roku wojenna groza dotarła nawet do wiosek

⁷⁰ *Pamiętniki chłopów*, pod red. Ludwika Krzywickiego, Wyd. IGS, Warszawa 1936.

oddalonych od głównych traktów. Na drogach guberni pojawiły się rzesze uciekinierów z zachodu. To wędrowali chłopci i ziemiaństwo z Królestwa – spod Łomży, Ostrołęki, Płocka, a nawet Warszawy. Plotki krążące o postępowaniu Niemców budziły strach. Ludzie pod Bielskiem, Białymstokiem czy Ciechanowcem byli przerażeni. Nie wiedzieli co robić – uciekać czy zostawać. Trudno było pożegnać się ze spokojnym, osiadłym życiem, trudno było zostawić dom, gospodarstwo. Ich rozterkę rozstrzygnęły władze wojskowe.

W połowie lipca po klęsce pod Przasnyszem (14 lipca), w obliczu zbliżających się wojsk niemieckich Rosjanie zarządzili bezwzględna, przymusową ewakuację miejscowej ludności. Wyganiaли z domów całą ludność, palili zabudowania, zasiewy, zapasy, zasypywali studnie.

W Ciechanowcu i jego okolicach przeprowadzono ewakuację administracji. W miasteczku zdemontowano i wywieziono na wschód większość fabryk wraz z ich właścicielami. To czego nie zdołano wywieźć burzono i podpalano. Tuż przed nadejściem wroga przez cały tydzień oddziały kozackie wyganiały ludność, paliły ich budynki mieszkalne⁷¹. Opustoszało miasteczko, wiele wsi i okolicznych majątków ziemskich.

Jak pisał Zdzisław Dębicki:

„Przymusowa ewakuacja była tak nagła, rozkaz przychodził czasem w nocy, budził ze snu, kazał na prędko zabierać manatki, śpiące dzieci układać na wozach i ruszać naprzód, gdzie oczy poniosą bez określonego celu podróży – za wojskiem i przed wojskiem, które tłoczyło się na wszystkich drogach. Kto obejrzał się za siebie, widział jak płomienie obejmowały jego chatę, jak łuna krwawa rozlewała się po niebie, dodając ponurej grozy i tak już ponuremu krajobrazowi. Ludność parafii katolickiej gromadziła się przed opuszczeniem wsi dokoła kościołów i stamtąd pod przewodem duchowieństwa, w ordyńku procesyjnym z chorągwiami i feretronami na przedzie wyruszała w pochód”⁷².

Takiej przymusowej ewakuacji doświadczyła rodzina moich dziadków – Zofii i Kazimierza Jastrzębskich, właścicieli majątku Wiktorowo pod Perlejewem w powiecie bielskim. W 1914 r. w starym drewnianym, otynkowanym dworku z typowym podjazdem i klombem na środku,

⁷¹ W rezultacie zniszczeniu uległo ok. 50% zabudowy miasta, m.in. większość zakładów włókienniczych, z których słynął Ciechanowiec na przeł. XIX i XX w.

⁷² Zdzisław Dębicki – *Kartki z rapitularza. Za Bugiem*, Tygodnik Ilustrowany nr 37; 11.09.1915 r.

oprócz właścicieli przebywała Aleksandra Gostkowska – siostra Zofii będąca u nich na dożywociu oraz trójka synów: 14 letni Kazimierz, 10 letni Tadeusz i 7 letni Stefan.



Jastrzębscy z Wiktorowa, ok. 1911 r.; od lewej
Kazimierz jr (1900–1939), Tadeusz (1904–1977), Zofia (1867–1943),
Aleksandra (1883–1953), Antoni (1896–1972), Kazimierz sr (1863–1933),
Stefan 1907–1997, Aleksander (1898–1913)

Najstarszy syn – 18 letni Antoni był wtedy studentem Kursów Przemysłowo-Rolniczych Pomorskiego⁷³ i pozostawał w Warszawie. W wakacje 1915 r. Antoni po zaliczeniu pierwszego roku studiów odbywał praktykę rolną w Pobikrach, niedaleko rodzinnego domu. W wspomnieniach nagranych opowiadał:

„W lipcu 1915 roku po ukończeniu dwóch semestrów studiów byłem na praktyce rolnej w majątku Pobikry hrabiego Jezierskiego. Pewnego dnia konno nadzorowałem młóckę sterty zboża na siew, kiedy podjechali kozacy i kazali ludziom odejść od sterty bo będą palić. Powiedziałem żeby poczekać aż maszynę odciągnę od sterty na co oni podnieśli krzyk, że maszynę chcą Niemcom zostawić. Nie zdążyłem nawet odskoczyć jak już obie sterty, między którymi stała

⁷³ Kursy Przemysłowo-Rolnicze Pomorskiego w 1918 r. przekształcono w SGGW

maszyna zaczęły się palić. Wróciłem do majątku i spotkałem hrabiego Jezierskiego, który wyjeżdżając dał mi pod opiekę wszystkie swoje owce hodowlane. Zgodziłem się i prosto stamtąd pojechałem do Wiktorowa. W Wiktorowie zastałem załadowane wozy, stojące koło białego krzyża na granicy majątku od strony Leszczki i Perlejewa. Dom jeszcze nie palił się. Były to dwa wozy, każdy zaprzężony w parę koni. Do jednego doczepiona była bryczka. Żaden z fernali nie chciał być naszym furmanem, chociaż na każde dwie rodziny daliśmy po parze koni, wóz i 2 krowy. Wówczas wyjąłem jedyny rewolwer jaki mieliśmy w domu, tj. Smith & Wesson i powiedziałem Adamowi, że ma odprowadzić rodziców do Brańska, a potem może sobie wracać nawet na piechotę. W rezultacie na jednym wozie jechał Adam, a na drugim ojciec. Wracając z powrotem do Pobikrów widziałem już topole wiktorowskie w ogniu. Dookoła domu rośło 12–15 wielkich topoli i jak dwór palił się to były one podświetlone. Po przyjeździe do Pobikrów objąłem powierzone mi owce i zamierzałem pędzić je na Brańsk, Rostawł, ale mój pomocnik, owczarz – starszy gość, Niemiec mówi – panie gdzie my będziemy tak jechać, schowamy się tutaj do lasów rudzkich (Rudka majątek Potockich) i nikt nas tam nie znajdzie. Mnie, młodemu chłopakowi nie trzeba było dużo mówić. Popędziliśmy owce na wielką polanę w środku lasu. Owce pokładły się i tylko czasami któraś beknie, a poza tym cisza. Położyliśmy się spać. Rano ledwo nastał wschód słońca, zobaczyłem zbliżającego się do nas kozaka. Okazało się, że kozacy przeczesywali lasy i tak nas znaleźli. Na świst zleciało się ich kilku. Pytali co ja tu robię, a na moją odpowiedź że pędzę owce do Brańska tak mnie złali nahajami, że w butach z cholewami miałem krew z pleców. Na szczęście wyprowadzili nas na gościniec i wypuścili. Tym gościńcem dojechaliśmy do Brańska. Ostatni przeszliśmy most na rzece Nurzec. Zaraz po nas most podpalamo. Rosjanie zostawiali gołe pole, bez budynków i zboża dla Niemców”.

Mieszkająca w sąsiednim powiecie (brzeskim) Helena z Jaczynowskich Roth z Wierzchowic (obecnie Białoruś) wspomina moment wahania i decyzji o wyjeździe:

„Naszą rozterkę rozstrzygnął gen. Lajming, rozkazując ewakuację całej ludności na przestrzeni o pięćdziesięciokilometrowym promieniu od twierdzy brzeskiej⁷⁴. Ponieważ my w linii prostej byliśmy znacznie bliżej, wchodziliśmy

⁷⁴ Twierdzy w Brześciu (n. Bugiem, dawniej Brześć Litewski) nie wykorzystano wtedy w celach obronnych. Rosjanie opuścili ją bez walki we wrześniu 1915 r. podpalając miasto; w 80% spłonęło.

w rejon przymusowej ewakuacji. Miała tutaj pozostać tylko sieraja ziemi i gołuboję niebo, czego bezlitośnie pilnowali kozacy”.

Tych – co chcieli zostać w domu kozacy nahajkami zmuszali do podporządkowania się rozkazowi. Nagromadzone w majątkowym spichrzu zboże wysypali do stawu, spirytus z rezerwuarów gorzelni wypuścili na łąki pisała w swojej książce Helena Roth⁷⁵. Rothowie musieli wyjechać. Po gorączkowym pakowaniu do kufrów niezbędnych rzeczy, rankiem do powozu wsiadły: sędziwa Aniela Bortnowska, jej córka Maria z Bortnowskich Jaczynowska i wnuczka Helena w siódmym miesiącu ciąży. Na koźle stangret – Kornel oraz jako przewodnik fornal.

Stryj Heleny Roth – Romuald Jaczynowski, właściciel majątku Jan-cewicze (obecnie pow. Hajnówka) również w sierpniu 1915 r. załadował całą swoją rodzinę oraz cenniejsze rzeczy na powóz, karetę, brykę i wraz z nadającym się do ratowania inwentarzem wyruszył na wschód.

Do wyjazdu zostało zmuszonych wielu innych ziemian z tych okolic. Między innymi po podpaleniu przez kozaków zabudowań gospodar-czych, w tym bardzo dużej stodoły i stajni wyjechał Michał Łowicki właściciel Kolejczyc z gminy Boćki.

W guberni wileńskiej już w połowie marca 1915 r. wydano rozkaz zabraniający sprzedaży jakichkolwiek produktów spożywczych, a w kwietniu bezwarunkowy nakaz ewakuacji stuwiorstowego pasa wzdłuż frontu.

Eugeniusz Romer właściciel kilkutyśiecznego majątku mieszkający w Cytowianach na Kowieńszczyźnie po spakowaniu i zabezpieczeniu zostawianych rzeczy – 15 kwietnia z ciężkim sercem musiał wyjechać.

Moment ten wspominał:

„Na koniec, gdy ruszyliśmy spod ganku, gdy spojrzałem na te kochane ścia-ny i przez myśl mi przeszło, że może ostatni raz to widzę, ścisnęło mi się serce i płaczu powstrzymać nie mogłem. Nie chciałem wyjeżdżać, uważałem że naj-właściwiej jest zostawać na miejscu, ale wiadomość, że Niemcy obywateli biorą jako zakładników, że wzięli w ten sposób Wacława Wolmera z Wiczajć i Broni-

⁷⁵ Helena z Jaczynowskich Roth – *Czasy miejsca ludzie wspomnienia z kresów wschodnich*,

Wyd. Literackie 2009.

sza z telszewskiego powiatu, zdecydowała mię. Myśl że mogą mię wziąć, ogotocić z zapasu gotówki jaki miałem i wywieźć, a kobiety i dzieci zostaną wśród walczących wojsk bez środków i chleba nie pozwalała ryzykować. Ciężka była chwila wyjazdu, przyjąłem to, jako dopust Boży; zmówiliśmy z Zosią pacierz, dom przeżegnałem oddając go na Opiekę Boską i pojechaliśmy⁷⁶.

Ruszyli, w karecie trójka dzieci (najstarsze 3 lata) z freblanką, niańką i służącą na koźle obok furmana, w koczku mama i Anna siostra Eugeniusza, w bryczce Eugeniusz z żoną Zofią. Zapas jedzenia dla ludzi i koni na kilka dni zgromadzono na licznych furmankach. Dotarli do Antonosza – gniazda rodziny Romerów, majątku należącego do kuzyna Bronisława Romera. Ledwo zdążyli się tam zadomowić, gdy gubernator zarządził przygotowanie do przymusowej ewakuacji. Jego zarządzenie nie pozostawiało wątpliwości. Eugeniusz Romer zamieścił jego kopię w swoim pamiętniku:

Tłum. z rosyjskiego.

Nowoaleksandrowsk (Jeziorosy) Marszałkowi szlachty.

Tylko co otrzymałem od gen. Phlewe następującą depezę: „Zalecam niezwłocznie wydać wszelkie wstępne rozporządzenia, aby na pierwszy mój rozkaz w miejscowościach wchodzących do obszaru działań 5 armii została wyprowadzana na tyły cała męska ludność wieku poborowego, całe bydło i konie, wywiezione całe zapasy furazu i zboża, zniszczone zasiewy.

Proszę niezwłocznie wyjaśnić ludności, że Niemcy wszystkich mężczyzn w wieku poborowym zabierają do swego wojska, a całe bydło, konie i zapasy siłą zabierają od ludności. Kroki przygotowane dla oczyszczenia danej miejscowości z bydła i zapasów rozciągnąć ze szczególną uwagą na majątki ziemiańskie. Jednocześnie zameldować naczelnikowi policji i naczelnikom ziemskim o niezwłocznym powiadomieniu ludności, aby przygotowała się do ofensywy nieprzyjaciela, do zniszczenia zasiewów i wywiezienia całego furazu, zboża, bydła i koni. Proszę o wpłynięcie na ziemian, ażeby niczego nie pozostawiali w swych majątkach, co byłoby użyteczne dla nieprzyjaciela i ażeby to wszystko, czego nie można będzie wywieźć, zostało zniszczone”.

N. 827, 14 czerwca 1915 r. Gubernator Griaziow

W rezultacie interpretacji tego pisma powstał chaos i panika, a resztę zrobiła głupota władz policyjnych. Ruszyła kawalkada⁷⁷. Romerowie

⁷⁶ Eugeniusz Romer – *Dziennik 1914–1918*, Wyd. Interlibro, Warszawa 1995.

⁷⁷ Kawalkada – orszak złożony z jeźdźców albo powozów.

w ciągu miesiąca przygotowali się do dalszej drogi. Przede wszystkim musieli pomyśleć o zabezpieczeniu resztek dobytku – o kilkudziesięciu cielętach i jałówkach i przeszło 60 furmankach umieszczonych w różnych okolicznych miejscowościach.

Jak wspomina: *„Chociaż wszystko do najmniejszego szczegółu było zadysponowane zawczasu, jednak zanim się pierwszy tabor z rzeczami pod dowództwem Lutkiewicza ruszył, przeszła godzina dwunasta. Druga partia pod opieką Sokotowskiego z powozami i rzeczami antonoskimi i kilku naszymi furmankami dopiero pod wieczór się wybrała. My wyjechaliśmy po obiedzie koło trzeciej. Nadzwyczaj bolesne i smutne było pożegnanie z Bronkiem i Antonoszem. Biedny Broniek musi rzucić dom w chwili, gdy obecność jego ratuje wszystko od nadużyć wojsk naszych. Nie wiadomo czy Niemiec dojdzie i zniszczy, natomiast prawie pewnym być można, że dom opuszczony i gospodarstwo przez przemarsze wojskowe mocno zniszczonymi będą. Sptakaliśmy się żegnając, potem poszliśmy wszyscy pomodlić się pod obrazem Matki Boskiej Antonoskiej, oddając jej pod opiekę i nas samych i ten dom kochany.”*

Trzeba było dom opuścić i jechać dalej, nie wiadomo dokąd i do kogo. Nie miał znajomych w tamtych stronach, a w grę wchodziły tylko większe majątki gdyż mając jeszcze sześćdziesiąt koni musiał znaleźć miejsce gdzie taką ilość można rozmieścić i wykarmić. Mało miał zaufania do wielkopańskiej gościnności ale zmuszony, z wielkimi wewnętrznymi oporami, poprosił o gościnę Platerów, z którymi był spowinowacony.

Majątek Klateczka w powiecie brzeskim został opuszczony przez właścicieli Henryka i Józefa Kunickich, (zmobilizowanych do rosyjskiej kawalerii). W sierpniu 1915 r. wpadło tam piętnastu kozaków, którzy grożąc podpaleniem zażądali od służby 50 rubli. Służba nie chciała się złożyć, aby dać kozakom odczepne. Ci zmniejszyli żądania do 25 rubli, a ostatecznie zredukowali do 15. Gdy i tego im nie dano, zażądali zapalek, a gdy im odmówiono, pojechali do odległego o parę wiorst folwarczku, zdobyli tam zapalki, a powróciwszy do Klateczki spalili doszczętnie ten ponoć pięknie zagospodarowany folwark. Pozostały tylko park i mieszkania służby. Majątki Baciki, Słowiczyn i Ossolin k. Siemiatycz będące własnością Henryka Ciecierskiego, brata Wandy Jezierskiej

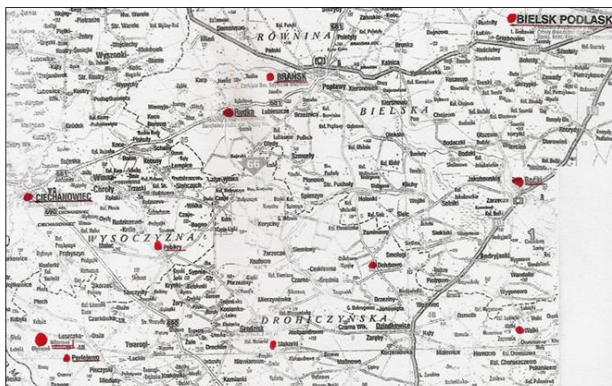
z Pobikrów⁷⁸ nie zostały spalone, a właściciel nie musiał wyjeżdżać dzięki życzliwości stacjonującego we dworze w Bacikach gen. Zacharowa.



Wyjazd w nieznaną [Lietopis wojny 1914-1915; 26.09.1915 r. nr 58 str. 925; za M. Korzeniowski i in. *Uchodźstwo polskie w Rosji w latach I wojny światowej*]

W czasie pobytu oddziału w majątku właściciel przeżywał ciężkie chwile. Sztab karmiono we dworze, ale cały majątek, folwarki i wszystkie budynki zalane były wojskiem. Przemęczeni ciągłym odwrotem, wечно głodni żołnierze włóczyli się z papierosami w zębach po budynkach inwentarskich, stodołach. Na ogniskach piekli złapane owce, jałowice, krowy, świnie nie mówiąc już o ptactwie domowym. Fornale uciekli do Rosji kradnąc konie i wozy. Jedynie dzięki interwencji u generała udało się uratować piwnicę z winami i park dworski przed wyrębem.

⁷⁸ Pobikry nabył w 1804 r. Dominik hr. Ciecierski, a w 1884 r. jego wnuczka Wanda Ciecierska wniosła je w wianie Jezierskim. Jej synem był Józef Jezierski, u niego mój ojciec odbywał praktykę rolną.



Mapa okolic Bielska Podlaskiego

Również dzięki generałowi ocalał od podpalenia dwór myśliwski w Słowiczyne, ale po odejściu Rosjan okazało się, że na strychu były już zgromadzone papiery oblane naftą. W obawie przed rabunkiem i pożarem właściciel ukrył: w lesie, po strychach, szopach i w dołach przykrytych gałęziami skrzynie z dziełami sztuki, pamiątkami, artystyczną porcelaną, zegarami, bronią. Mimo tej zapobiegliwości większość tych rzeczy została zniszczona bądź zrabowana.

Jak wspominał – należący do majątku las cały był wypełniony tłumami przeróżnych uciekinierów z Siemiatycz i okolicznych nadbużnych wiosek. Zależniona i umęczona ludność snuła się bezradnie po lesie lub siedziała i leżała przy ogniskach z tępą rezygnacją pilnując spędzonego przy wozach inwentarza i wsłuchując się z lękiem w nieustający grzmot armat i terkot karabinów maszynowych. Ustupując generał usilnie namawiał Ciecierskiego, by wraz z rodziną wyjechał razem ze sztabem. Ten jednak nie chciał opuścić własnych kątów. Stacjonujący w majątku oficerowie dywizji gen. Zacharowa zachowywali się na ogół przyzwoicie, toteż gdy wycofywali się przed budzącymi strach Niemcami gospodarz żegnał ich z pewnym żalem. Życzył Rosjanom zwycięstwa mimo, że od wielu już lat gnębili Polaków. Od Niemców zadeklarowanych wrogów Słowian spodziewał się wszystkiego co najgorsze⁷⁹.

Tymczasem ci posuwali się bardzo szybko i w krwawych bojach przy ogromnych stratach ludzkich spychali Rosjan na wschód.

⁷⁹ Henryk Ciecierski - *Pamiętniki*, Wyd. ARCANA, Kraków 2016.

W pierwszej dekadzie sierpnia 1915 r. Rosjanie wycofali się z Ostrołęki, Ostrowi Mazowieckiej, Łomży. Niemcy pojawili się w Ciechanowcu, Drohiczynie. Grodzieńszczyzna stała się teatrem krwawych walk. Zewsząd słychać było huk dział, w nocy horyzont rozświetlały łuny pożarów od palących się przyfrontowych wiosek. Podczas ostrzału artyleryjskiego ginęli przypadkowi cywile z Ciechanowca, Pobikr, Trzask i wielu innych wiosek.

Jan Warpechowski proboszcz z Bociiek wspominał: „14 sierpnia pojechałem do Dołubowa w osobistych sprawach do księdza Żamejcia. Po drodze spotkałem biednych żydów z Ciechanowca, którzy po jego rozgromieniu uciekali z rupieciami na plecach, z dziećmi na rękach. Nędza aż litość brała patrzeć. Między innymi maszerował młody pop z Ciechanowca. Moskale już uciekli zza Buga, a Niemcy byli w Makarkach”⁸⁰.

Największa bitwa na Podlasiu – sześciodniowa (od 19–25 sierpnia nowy styl) walka pod Bielskiem Podlaskim rozgrywała się już po wygnaniu stamtąd okolicznych mieszkańców. Wśród spalonych pól i wsi spotkać można było jedynie wojsko.

Jak pisał Zdzisław Dębicki w Tygodniku Ilustrowanym 11 września 1915 r. – „...poczynając od Bugu dalej ku wschodowi ku błotom poleskim nie ma już literalnie nic. [...] Na przestrzeni dziesiątków wiorst nie spotyka się ani jednej siedziby ludzkiej ani jednego człowieka. Wszędzie na miejscu wsi i dworów zwęglone szczątki, zgliszcza i popioły. Wszystko zostało wyniszczone lub zniszczone”⁸¹.

Walki na Białostocczyźnie trwały około półtora miesiąca, a wojska carskie wycofywały się stopniowo na wschód niszcząc pozostałe po wygnańcach zabudowania. Z krajobrazu całkowicie zniknęło drewniane budownictwo, jedynie sterczące nad zgliszczami kominy znaczyły szlak frontu. Na zatłoczonych drogach wygnańcy mijali wycofującą się rosyjską piechotę. Żołnierze nieprzytomni ze zmęczenia brnęli, dniami i nocami w błocie po kolana, zobojetniali na rozkazy podoficerów czy przejeżdżające auta sztabowe, miotające na nich rozrzedzonym błotem. W rozmiękłym gruncie grzęzły armaty i tabor – wyciągano je wysiłkiem wielu koni i ramion ludzkich.

⁸⁰ Jan Warpechowski – *Wspomnienia* (rękopis) za E. Beszta-Borowski – *Dzieje parafii katolickiej Narodzenia NMP i św. Mikołaja w Bielsku Podlaskim*.

⁸¹ Zdzisław Dębicki – *Kartki z raportu. Za Bugiem*, Tygodnik Ilustrowany, nr 37 z 11.09.1915 r.

Droga

Wygnani ze swoich domów ludzie w tragicznym milczeniu kolejno wyjeżdżają na drogę – wóz za wozem, wóz za wozem. Za sobą zostawiają zgliszcza i łuny pożarów. Eskortują ich kozacy na koniach. Stopniowo tworzy się wielka karawana, która rośnie w miarę posuwania się na wschód. Jadą wolno, noga za nogą. Furmanki z pospiesznie zapakowanym dobytkiem trzeszczą od ładunku.

„Na wozach piętrzyły się kufferki, pościel, krzesła, stoliki, maszyny do szycia, kołyski; dokoła wozów, u szczybli drabin przyłączone były kubły, dzbanki. Wielu prowadziło bydło, często chore na zarazę pyska i racic, z trudnością posuwające się. Konie wyglądały jeszcze możliwie, ale wozy co chwila się psuły, pękały koła, jedną rodzinę widzieliśmy bezradną, nieruchomą nad kupą rzeczy, pod którymi wóz się literalnie w drobiazgi rozsypał” – pisał Władysław Glinka⁸².

Dookoła biegają szczekające psy, krowy porykują, nie chcą iść. Na wozach małe dzieci, starsze pędzą bydło i owce, kobiety idą pieszo obok wozu, często boso. Mężczyzn mało – młodzi na wojnie, a wielu starców nie zdecydowało się wyjechać. Wśród masy fur chłopskich jadą wozy, bryczki a nawet karety ziemian. Są też pracownicy z majątków i folwarków – służba, fornale, karbowi, ekonomowie. Konie i wozy potrzebne do ewakuacji dostali od pracodawców – właścicieli ziemskich. Pędzone są tysiące zarodowego bydła z Kongresówki.

Stefan Okulicz w niezwykle realistycznych, ale i pełnych patosu, relacjach opisywał ten ewakuacyjny szlak: ... *„idą wszędzie. Ze wszystkich dróg i ścieżyn wypływają na gościńce wozy i bryczki powożone przez panienki ze dworów i młode dziewczęta. Pędzą bydło, owce, nierogaciznę itp. Zewsząd Dolata ryk bydła, blekot owiec, rżenie koni i ciche przechodzących tłumów po zdrowieniu. Tam w oddali rozświetlają się błyskawice, wloką się dymy palonych wsi, a pod kopytami końskimi wzniesiony tuman ku górze zasnuwa żałobnym*

⁸² Władysław Glinka – *Pamiętnik wielkiej wojny. Narew – Berezyna*, t. 1. Skł. Gł. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1927.

woalem kraj. Grozą czasem przejmuję cichy wydarty z piersi jęk tułaczy, molitwa zamiera w ustach. Zachodziły oczy łzami [...]”⁸³.



Движение бѣженцевъ въ м. Пропойскѣ, Быховскаго уѣзда, Могилевской губерніи.

Przejazd bieżęńców przez Propojsk (obecnie Sławograd), pow. bychowski, gub. mohylewska [źródło: Białystok subiektywnie – blog o Podlasiu]. Tą trasą, wśród takich wozów, jechała rodzina Jastrzębskich; dziadków autorki może i oni są na tym zdjęciu?

„Zwykły widok koczownika – to wóz nakryty płótnem” pisał Zygmunt Wasilewski przytaczając słowa Doroszewicza, felietonisty dziennika „Russkoje Słowo: „Przypomina cyganów [...] najczęściej jeden koń bo drugi padł w drodze. Jest w tem coś niezmiernie sierocego. Koło wozu idzie chłop na zmianę z babą. Pod płótnem pod pierzynami dzieci. Rankami idą dla rozgrzewki bo mróz kilkostopniowy. Na wozie rzeczy niespodziane, kawałki blachy żelaznej z dachu, maszyna do szycia, za wozem przywiązane krzesło wiedeńskie. Najcenniejszy mebel, dlatego go zabrano”⁸⁴.

Ich tułaczka odbywa się nie tylko w upalne lato, ale i w zimne dni października i początku listopada. Szosą przechodzą oddziały wojskowe, artyleria ciągnąca armaty, piechota, tabory. Samochody wojskowe płoszą konie, te przerażone wywracają wozy, łamią dyszle.

⁸³ Na szlakach wygnania – Nowy Kurier Litewski nr 6 z 28VIII/10 IX 1915 r.

⁸⁴ Zygmunt Wasilewski – Na wschodnim posterunku, Księga pielgrzymstwa 1915–1918,

Warszawa 1919.

Czasami kilka godzin karawana stoi przepuszczając wojsko. Wojskowi bez pardonu spychają furmanki z drogi na pobocze. Wdrapanie się znowu na trakt pochłania kilka godzin. Furmanek, jest tak dużo, że jadą w trzy rzędy, ścisk powoduje, że ci co są na szosie nie mogą zatrzymać się aby wpuścić kogoś pomiędzy siebie. Niejednokrotnie żołnierze rekwirują niezbędny dobytek uciekinierów, zabierają konie, wozy. Zdarzało się widzieć wóz ciągnięty przez chłopą, a pchany przez kobietę i dzieci, gdyż konia zabrał im przejeżdżający oddział wojskowy. Innym wojsko zabrało nie tylko konia ale i jedno koło od wozu. Atmosfera stawała się coraz bardziej nerwowa – płacze, lamenty, okrzyki złości, przekleństwa były na porządku dziennym. Jadą bardzo wolno i co chwila z nieznanых powodów wszystkie wozy zatrzymują się. Niektórzy celowo, w nadziei, że sytuacja pozwoli na powrót w rodzinne strony, opóźniają marsz, z premedytacją tarasują drogę i tamują ruch wojska, ukrywają się w okolicznych lasach. Ludzi takich wyłapywano, bito i ponownie włączano do kolumny. Jak wspomina chłop z Wólki Wygonowskiej w powieście bielskim *„Dotarliśmy do puszczy Białowieskiej. Szukano miejsca na schowek. Z jednego miejsca wypędzono, z drugiego. Starsi mówili, że za późno przyjechali, teraz kozacy naumyślnie szukają i wysyłają dalej, trzeba było ciągle jechać a nie zatrzymywać się”*⁸⁵.

Obrazek drogi koło Baranowicz opisała Janina Potocka: *„23 sierpień 1915 r. - W chmurze szarego pyłu widziało się dzikie twarze żołnierzy, jedni pieszo, drudzy konno, to na furach z furazem i nabojami i bez końca sznur wozów uciekinierów z kobietami, dziećmi i rzeczami. Krzyk, płacz, przekleństwa i ścisk nie do opisanania a na obydwu stronach, gdzie tylko puste miejsce, obozy wygnańców. [...] wóz przejechał wolno, człowiek prowadził konie, a na wozie leżał trup kobiety, a obok chłopiec konający. [...] Czas cudny i słońce”*⁸⁶.

Zwierzęta i ludzie są zmęczeni. Jadący poboczem kozacy bezskutecznie próbują poganiać wędrowców do szybszego ruchu. Lato jest suche i gorące, żar leje się z nieba, stopy pieką od upału, tumany pyłu utrudniają oddychanie. Pić! Spieczona wargi popękały do krwi. Pragnienie męczy ludzi, konie i bydło, a tu stawy, jeziora i studnie od dawna puste.

⁸⁵ *Pamiętniki chłopów*, pod red. Ludwika Krzywickiego, Wyd. IGS, Warszawa 1936.

⁸⁶ Janina Zofia Potocka - *Dziennik 1914-1919. Peczara*, Łomianki 2014.

„Dziś mi opowiadała jedna kobiecina z Królestwa, że przez wsie które przechodzili, chłopci nie pozwalali im brać wody ze studni i szła ona z innymi, płacząc i zawodząc głośno według chłopskiego zwyczaju, aż spotkali wojsko. Oficer jeden się zatrzymał i zapytał, co im się stało. Kazał zaraz studnię otworzyć i na dobę mieli wodę i szli dalej” – pisała Janina Potocka⁸⁷.

W walce o resztki, często mętnej bagiennej, wody dochodzi do kłótni, szarpaniny. Kiedy w końcu po długiej suszy pada deszcz tułacze oddychają z ulgą, ale deszcz pada i pada, robi się zimno. Bezdomni ludzie chowają się na wozie pod daszkiem lub pod wozem ale to marne schronienia – po pewnym czasie wszyscy są przemoczeni do suchej nitki. Drogą płynię strumień, ziemia zmienia się w śliskie błoto, w którym brną po kolana wędrowcy i konie. Smród brudnych mokrych ciał i ubrań miesza się z odorem końskich odchodów. Przemoczone, zmarznięte dzieci płaczą, kaszlą i w końcu chorują. W rowach przy trakcie i na obrzeżach obozów pojawia się coraz więcej krzyży znaczących mogiły wykopane w pośpiechu. Zmarłym za trumny muszą wystarczyć koce, kołdry lub stare płaszcze. Część ciał zostaje niepogrzebana. Uciekinierzy gnani strachem zostawiają przy drodze swoich zmarłych.

Konstanty Paustowski służący w wojskowej ekipie sanitarnej: *„Dwa razy zatrzymaliśmy się, aby pogrzebać umarłych leżących koło drogi. Najpierw zobaczyliśmy dziecko. Leżało przy drodze na kraciastej chustce; najwidoczniej chustkę tę zdjęła z głowy matka. Na piersi dziecka ktoś położył rzepak wyrwany z korzeniem. Następnie zobaczyliśmy młodą wieśniaczkę z otwartymi jasnymi oczyma. Spokojnie patrzyła w niebo ... Była bez chustki, może to matka dziecka?”*

Ścisk ludzi na szosie otoczonej mokradłami doprowadził do rozprzestrzeniania się epidemii cholery i tyfusu. Wędrowcy nie mają czasu na rozpalenie ognisk, spieszą się aby jak najszybciej wydostać się z piekła tułaczki, a spragnieni piją wodę bez przegotowania z przydrożnych rowów. Umierają masowo. Widok leżących trupów potęguje strach. Jak wspomina Stanisław Wojciechowski: *„Za Kosowem dotknęła nas epidemia cholery. Pierwsze ofiary wywołały taki popłoch na szosie, że ludzie jak oszaleli rzucili się do ucieczki, tratując jedni drugich. Porzucone wozy ze zmarłymi bez koni zagradzały drogę następnym, potworzyły się zatory,*

⁸⁷ Janina Zofia z Potockich Potocka – *Dziennik 1914-1919. Peczara, Łomianki 2014.*

hamujące ruch wozów całymi godzinami. Najwięcej ofiar było wśród Rusinów i Białorusinów nie przestrzegających czystości w jedzeniu i piciu wody (pili bez przegotowania wodę z przydrożnych rowów). Polscy włościanie zjeżdżali na bok dalej od szosy, gdzie były suche miejsca i tam czekali aż panika minie i przerzedzi się sznur wozów na szosie. Przed zarazą chroniło unikanie ścisku zaniechanie picia zimnej wody, chronienie żywności od pyłu przydrożnego, płukanie ust, mycie rąk przed jedzeniem. Niemniej wędrówkę tułaczy znaczyły białe krzyże wzdłuż drogi⁸⁸.

Strach pchał bezradnych ludzi do bezlitosnych, nieludzkich zachowań. Rodzice porzucali, a czasami zabijali własne dzieci, ludność mijanych wsi zamykała domy i studnie przed wędrowcami. Wspomina o tym wielu pamiętnikarzy, np. Janina Zofia Potocka pisała:

„Do Szczary (rzeka na ob. Białorusi) tymi dniami biedna kobieta, której mąż był umarł w drodze na cholere prawdopodobnie, rzuciła swoich dwoje dzieci i te utonęły, a ona pędziła dalej, gnana rozpaczą i strachem. [...] Litości Boże, Litości Ręka się wzdraga pisząc te okropności. Wzdłuż szosy leżą trupy i konający. Trupy zakopują obok drogi i tworzy się szlak cmentarny, szlak śmierci⁸⁹.”

Podobną sytuację opisywał Wasilewski – *„Właśnie o tej porze obchodzą w Polsce Dzień Zaduszny [...] Opowiedziano mi wypadek, że mąż po drodze zakopał w ziemi żonę, zmarłą podczas połogu, wraz z dwojgiem żywych noworodków. Patrzyła na to gromada ludzi, nie mająca tragicznemu człowiekowi nic do zganienia, nic do powiedzenia. Pełne są grozy te Zaduszki, tym groźniejsze, że pełne milczenia. Zaduszki obchodzono nie w kontemplacji, ale w najwyższym wysiłku wędrowania, gdy fala płynie, gdy żywi są jak umarli, a gdyby zda się idą”*

Inną wstrząsającą historię pokazującą bezsilność człowieka w tej trudnej drodze zamieścił w swoim dzienniku Glinka: *„Opowiadał mi sanitariusz Czerwonego Krzyża, że widział chłopca wygnańca kapiącego dół dla pochowania trupa żony i żywego niemowlęcia. Gdy się na to oburzał, chłop rzekł – a co z nim zrobić, toć nie mam piersi, aby mu dać jeść”.*

Z czasem rozwój zarazy opanowano ogradzając organizowane wzdłuż przemarszu uchodźców punkty żywnościowe tak, aby nikt

⁸⁸ Stanisław Wojciechowski – *Moje wspomnienia*, Wyd. MHP, Warszawa 2017.

⁸⁹ Janina Zofia z Potockich Potocka – *Dziennik 1914-1919. Peczara, Łomianki* 2014.

poza obsługą nie miał do nich dostępu, a wędrowcom wydano podstawowe zalecenia higieniczne – częste mycie rąk i zgłaszanie się po gorący posiłek z czystymi garnkami, na co początkowo jak wspominają świadkowie wydarzeń, Rusini bardzo narzekali.

Tułacze szli, a wojna ich gonila – Niemcy szybko posuwali się na wschód, ich aeroplany bombardowały wycofujące się wojsko rosyjskie nie szczędząc przy tym uchodźców. Chłop ze wsi w powiecie bielskim, wtedy czternastoletni chłopak, tak wspomina sytuację na drodze za Prużanami:

„Nagle nadleciały dwa aeroplany niemieckie, poznałem je po krzyżach na skrzydłach, nie lecieli zbyt wysoko, znałem z Białegostoku jak klekocze spadająca bomba, właśnie usłyszałem podobny klekot – krzyknąłem bratu uciekaj na puste łąki, co było momentalnie wykonane. Obejrzałem się bomba spadła akurat na zakręcie szosy. Jedna, druga, piąta – aeroplany odlecieli. Lecę z bratem do ojca – widzę jeszcze z daleka, że stało się jakieś nieszczęście. Ludzie latają, krzyczą, płaczą podleciałem do fury – wóz zdruzgotany, ojciec opodal leży i jęczy, matka spazmuje. Przyglądam się, z ojca wylało się dużo krwi, zboczona krew spodnie, spora kałuża obok na piasku. Płakać nie mogłem, ojciec patrzy jakimś mętnym wzrokiem, zbiele usta coś szepczą. Matka co chwila nachyla się nad ojcem i sama mdleje. Mnie coś ścisnęło mocno za piersi, nic nie słyszę, nic nie widzę, zacząłem płakać, zrobiło się lżej”⁹⁰.

Mosty zostały zniszczone, więc rzeki przedzielające drogę trzeba było przekraczać w bród. Niezależnie od pogody przez wodę musiały przejechać wozy, przejść dzieci, zwierzęta. To było duże wyzwanie dla wygnańców. Sugestywnie sytuację opisuje Czesław Bągorski:

1.09.1915 r. Deszcz z gradem pada, tak tnie, że nie można oczu podnieść. Całe kolumny ludności pieszo i wozami prowadzą swój inwentarz, wleką dzieci, małe dzieciaki siedzą na wozie, lekko ubrane, bose. Matka także bosa niesie na plecach dwa niemowlęta obok mała dziewczynka trzyma się matki spódnicą, parę kroków w tyle siedmioletnie dziewczę niesie na plecach niemowlę, ach jak tu groźnie deszcz z gradem tnie na tych biedaków. Nie ma się gdzie schronić, płacz rozpaczliwy, przez rzekę nie ma mostu, cała ta kolumna przechodzi przez wodę, jakie się tu okropne rzeczy przedstawiają, nie tylko że sami muszą prze-

⁹⁰ *Pamiętniki chłopów*, pod red. Ludwika Krzywickiego, Wyd. IGS, Warszawa 1936.

chodzić w bród, ale gorzej jest z ich dobytkiem, kobiety podkasane brodzą w wodzie, uganiają za owcami, które nie chcą przechodzić przez wodę”⁹¹.

Stanisław Wojciechowski, (późniejszy prezydent RP) wspominając swoją działalność w CKO w 1915 r. pisał: *„Szosę na całej szerokości zajął nieprzerwany sznur wozów tak naładowanych, że nawet dzieci musiały iść piechotą. Miejscami tworzą się zatory nie do przebycia. [...] przy przeprawie przez Bug we Włodawie panowało istne piekło. Ludzie zamieniali się w zwierzęta, nie mające miłosierdzia*



Tak bywało też w drodze...[z blogu Kurpanika w wielkim świecie; dostęp 19 marca 2017 r.]

Podczas wędrówki dzieci gubiły rodziców, rodzice dzieci. W czerwcu 1915 r. w Płusach na Lubelszczyźnie M.S. Kossakowski opisał jak trudno było rodzicom, a częściej samym matkom zapanować nad gromadką dzieci. *„Zgarbiona, z twarzą zroszoną potem, idzie kobieta naprzód szybkim nerwowym krokiem i nagli do pośpiechu trzyletniego malca, a ten uniósł koszulkę, jakby go w ruchach krępowata i biegnie, biegnie, starając się jak najszybciej przebierać bosymi nóżkami, ale nożeta mu się plączą, upada raz i drugi a matka nie od razu to dostrzegając wlecze go czas jakiś po ziemi, więc dzieciak znów wyprostowuje się i spieszy się ostatkiem sił. Podjeżdżam konno do tej kobiety, chcąc jej rzucić słowo oburzenia, ale widok jej męczeńskiej twarzy i błędnego rozpaczą spojrzenia powstrzymuje mnie i tylko jakim głuchym i niepewnym głosem mówię: Matko, dzieciaka zabijecie! Ona zatrzymuje się bezradnie i szepce z rozpaczą: Tam mi trzeci pobiegł, beze mnie zginie na pewno, chcę go dogonić. Wzięliśmy ją na wóz, lecz choć przejechał kilkanaście wiorst nie znalazła swego synka”⁹².*

⁹¹ Czesław Bągorski – *Mój dzienniczek z wojny światowej*, rękopis.

⁹² M. St. Kossakowski – *Diariusz*, t. 1, Wyd. UMCS, Lublin 2016.



W 1915 r. zima przyszła wyjątkowo wcześnie – pierwszy śnieg spadł 28 października [źródło fot. Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu]

Dla dzieci zgubienie rodziców było prawdziwą tragedią. W „Kurierze Płockim” w artykule pt. *Z pamiętnika i wrażeń przeżytych*, napisano „*Garstka małych uciekinierów znad Bzury idzie i płacze głośno. Czego płacze-cie! Tam za Wisłą zgubiliśmy tatunia, a tu mamusię zgubili!*”

Takie zagubione dzieci starały się ratować organizacje pomocowe, a czasami i ekipy sanitarne wojska carskiego. Służący w takiej ekipie pisarz Konstanty Paustowski wspomina spotkanie z dwójką polskich sierot:

„Koło Brześcia przygarnęliśmy dwoje dzieci, które straciły matkę. Stały na skraju drogi, przytulone do siebie – mały chłopczyk w podartym gimnazjalnym szynelu i chuda dziewczynka, może dwunastoletnia. Chłopiec płakał i nasuwał na oczy daszek czapki, żeby ukryć łzy. Dziewczynka mocno trzymała chłopca obiema rękami za ramiona”⁹³.

Chłopca niestety nie udało się uratować- zginął stratowany przez zgłodniały tłum bieżenców. Pokonując trudy wędrówki dzieci szybko dorosły.

Zofia Nowosielska, późniejsza kobieta-żołnierz walcząca w wojnie polsko-bolszewickiej, musiała pochować w czasie ucieczki dwoje młodszego rodzeństwa. Po latach tak pisała o swoim doświadczeniu, jako czternastolatki – *„Po drodze umiera nam trzyletnia Stacha – chowamy ją na ukraińskim cmentarzu. Nie mogę płakać, bo wiem że mi nie wolno. Rozpacz matki okropna.”*

⁹³ Konstanty Paustowski – *Burzliwa młodość*, Warszawa 1956.

Dalej autorka wspomina, jak jej matka urodziła martwe dziecko – synka. *„Tego mego maleńkiego braciszka, któremu jeden oddech wystarczył, by zatruć go wyziewem nędzy zaniostałam daleko w las, owinęłam w swój fartuszek krakowski, wykopałam dół dużo liści narwałam i zasypałam. Robiłam to wszystko jak automat, a na drugi dzień nie mogłam trafić do mogiłki”*⁹⁴.

Zmuszeni do ucieczki ludzie z każdym dniem tracą nadzieję na rychły powrót. Wasilewski przytacza obserwacje Doroszewicza: *„Są tak zmęczeni, że koń uchem nie rusza, pies nie zaszczeka, dziecko nie zapłacze, nikt nie rozmawia. Idą jak szare cienie, jadą jak umarli. Istne widma. A w oczach beznadziejne znużenie i tęsknota.”* Droga dłuży się, wykończeni ludzie pragną odpoczynku ale na placach postoju tłumu, trudno znaleźć miejsce. Często brakuje przestrzeni do rozprężenia konia, do rozładowania wozu, rozpalenia ogniska, zresztą wcześniejsi wygnańcy wyrabali wszystkie okoliczne drzewa i nie ma drewna na opał.

Odstrasza smród odchodów końskich i ludzkich, śmieci pozostawione przez poprzednie obozowiska. Na miejscu postoju jest ciasno a wciąż nadjeżdżają nowi. Jedni szukają miejsca, a inni którym udało się już rozpalić ogień i coś zjeść próbują zasnąć. Ale krzyki, dalekie strzały, łuny pożarów, paniczny strach o przyszłość nie pozwalają spokojnie spać. W ścisku rośnie wzajemna złość, wystarczy iskra do rozpoczęcia awantury.

Konstanty Paustowski opisuje taką scenę z obozowiska w małym miasteczku: *„Było trwożnie, duszno, chaotycznie. Dziesiątki ognisk paliły się na rynku miejskim. Dokoła ognisk obok wyprzeżonych furmanek siedzieli i leżeli pokotem uciekinierzy – polscy wieśniacy. Na rękach zmęczonych jasnowłosych kobiet zanosily się aż siniejąc od płaczu niemowlęta. Szczekały psy, klęli żołnierze taborowi przeciskając się przez tę ludzką zbieraninę. Smagali ludzi nahajkami, zawadzali kołami o stopy zwałonego na ziemię chłopskiego dobytku i za ich furgonami wlokły się wyszywane ręczniki, chustki, koszule. Kobiety z płaczem wyrzywały je spod kół i odnosiły do ognisk. Ale rzeczy były już usmarowane dziegciem, podarte i wytarzane w kurzu”*⁹⁵.

⁹⁴ Zofia Nowosielska – *W huraganie wojny. Pamiętnik kobiety-żołnierza*, Warszawa 1929, za K. Sierakowska – *Śmierć wygnanie głód*.

⁹⁵ Konstanty Paustowski – *Burzliwa młodość*, Warszawa 1956.

Podczas wędrówki wygnańcy zatrzymywali się przy drogach lub w lasach.

„Wyptynie nagle z mgły ognisko – w sierpniu 1915 r. pisał Michał Kosakowski – i skupiona dookoła gromadka wygnańców, rasowy starzec stoi obok kobiety trzymającej dziecko u piersi wparł się między nich wychudły koń z zamkniętymi oczyma i spuszczoneym łbem, przy nim stoi krowa wpatrzona tępym wzrokiem w płomień ogniska i wreszcie blisko podsunięty pod sam płomień siedzi skulony pies drżąc z zimna. Skupiła się dookoła jednego ogniska wspólnota niedoli⁹⁶. [...] Naokoło Bobrujska łąki bez końca, przecinane szosą. Na łąkach obozy wygnańców, a na szosie łańcuch wozów uciekinierów, tysiące i tysiące. Czy to obłęd czy to mus. Mus był a teraz jest panika”. [...]

Oczekiwanie na pociągi, którymi tułacze mieli zostać rozwiezieni po całej Rosji, trwało bardzo długo gdyż w pierwszej kolejności były one wykorzystywane przez wojsko. Wokół stacji kolejowych tworzyły się więc prowizoryczne obozy. Uchodźcy koczowali tam na wozach i w skleconych naprędce szałasach. Rozmiary obozów były przytłaczające. Wokół Rosławia koczowało ok. osiemdziesiąt tysięcy bieżenców, a Bobrujska nawet sto tysięcy, koło Kobrynia dwieście tysięcy. Co prawda organizacje pomocowe tworzyły tam punkty żywienia, medyczne, łaźnie, ochronki dla dzieci ale przy tak ogromnej ilości ludzi była to kropla w morzu potrzeb. Przed kotłami, w których dymiła zupa gromadziły się tłumy, napierający nie baczyli na nic i niejednokrotnie dochodziło do traktowania dzieci.



Uchodźcy w drodze (ze zbiorów CGAKFFD SPb,P327 sn. 44.)
[M. Korzeniowski i in., – *Uchodźstwo polskie w Rosji w latach I wojny światowej*,
Wyd. UMCS Lublin 2016.]

⁹⁶ M. St. Kossakowski – *Diariusz*, t. 1, Wyd. UMCS, Lublin 2016.

Ludność mieszkająca na terenach przemarszu wygnańców patrzyła na nich niechętnie. Podążający na wschód, zmuszeni głodem, niszczyli uprawy, sady, ogrody a nawet budynki gospodarcze stojące przy drodze ich przemarszu. Sąsiadujące z gościńcem pola i łąki były zdeptane przez ludzi i zwierzęta, a na poboczach walały się, zatruwające powietrze ścierwa bydłce i końskie. Okoliczne dwory ogołoczone zupełnie ze wszystkich zapasów, ogrody ograbione z owoców i warzyw, drzewa połamane, płoty wyrwane, a oziminy doszczętnie zniszczone przez bydło i pędzonych ludzi. W miarę przesuwania się frontu na wschód, coraz więcej ludzi musiało opuszczać swoje siedziby. Fala uchodźców potężniała. Byli zagubieni, przestraszeni, zostawiali za sobą zgliszcza, ruiny i popioły, nie wiedzieli dokąd idą, gdzie będzie kres tej tułaczey wędrówki.

Bruno Rappaport pisał: *„Bieżeńcy idut, mówili ludzie, wyglądając z zacisznych domostw, których nie tknęła płonąca żagiew wojny - Jakie my bieżeńcy, psiakwie! – Usłyszałem kiedyś sierzysty chłopski głos. A bo to my bieżali – przygnaliście nas wy (Rosjanie) i wasze Kozunie (tj. kozacy). My wygnańce, nie żadne bieżeńce. Niedoczekanie wasze”*⁹⁷.

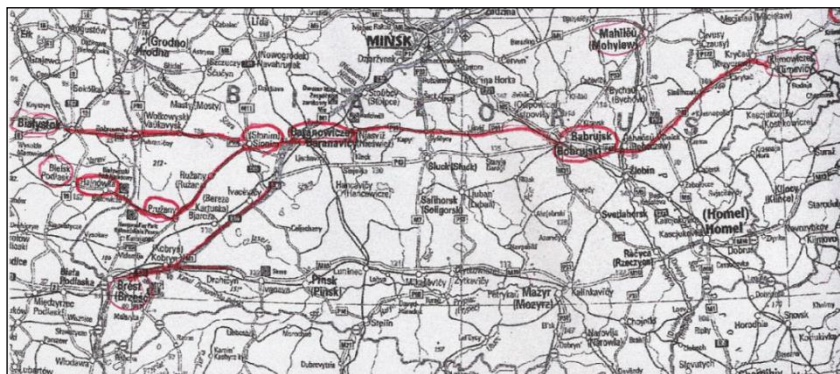
Wygnańcy żywili się tym co na wozie a dla koni chwyтали snopki owsa, wiązki koniczyny, kopy siana z przydrożnych pól. Z Pamiętników chłopów *„ Jechano dalej, żywiono się cudzemi kartoflami, sztuka po sztuce zabijano owce. Czasami ktoś z miejscowych gospodarzy narzekał, że kopujemy mu kartofla , odpowiadano mu drwinami zapewniając go, że tak czy inaczej pozostawi te kartofle Niemcom, po dłuższej rozmowie zgadzał się z nami – pozwalał kopać. Były to jednak wypadki wyjątkowe- zasadniczo nikt nic nie żałował”*.

Przejście uchodźców przez Mińszczyznę obserwowała Maria Czapka mieszkająca w Przyłukach: *„Po kontrofensywie niemieckiej 1915 roku odstępująca armia rosyjska zarządziła ewakuację ludności z za Buga i Narwi. Kozacy puszczali z dymem opustoszałe wioski i miasteczka. Gościńiec nasz wypełnił się tłumem wozów chłopskich, załadowanych jakąś resztką chudoby, wozów przykrytych budami z płótna lub dykty. Ciągnęli tak już od tygodni, noga za nogą, w cztery rzędy na wschód, bezradni i bezwolni wobec klęski wojny, ognia, głodu i zarazy. Ciągnęli w nieznanne, znacząc krzyżami drogę swego*

⁹⁷ Bruno Rappaport – Carat i Rewolucja. Trzy lata za frontem rosyjskim, Warszawa 1919.

wygnania. [...] Była już późna jesień. Dzieci i starcy umierali z głodu, zimna i chorób. [...] Przy naszym starym krzyżu na rozdrożu mnożyły się mogiłki opatrzone krzyżykami skleconymi z dwóch patyków, bezimienne prędko zapomniane, zapadłe. Umierały zwłaszcza dzieci nieletnie z głodu chłodu. Rąbano drzewa parkowe na ogniska. O zmierzchu łąka i pole przy gościńcu lśniły ogniskami, dym gryzący snuł się po ziemi. O świcie wszystkie wozy ruszały dalej i nie było widać końca tego pochodu; nocne przymrozki dopełniały klęski [...]⁹⁸.

Wędrówka tułaczy z Królestwa Polskiego przebiegała szlakami wiodącymi przez obecne ziemie białoruskie i ukraińskie. Trasy przemarszu były różne. Szosą brzesko-moskiewską w głąb Rosji, przemieszczali się przede wszystkim uciekinierzy z Lubelszczyzny i Chełmszczyzny. Mieszkańcy guberni łomżyńskiej, płockiej oraz zachodniej części grodzieńskiej (współczesnej Białostoczczyzny) dominowali na traktach Prużany – Słonim – Baranowicz oraz od Białegostoku przez Wołkowysk do Słonimia i Baranowicz. W kierunku Połocka wędrowali wygnańcy z guberni litewskich. Terenem wędrówki były również gubernie wołyńska, podolska i kijowska. Dalsza marszruta Kongresowiaków prowadziła w kierunku Mińska, Mohylewa, Rosławia i Smoleńska, gdzie starano się zahamować odpływ wygnańców do wschodnich części imperium. Prawosławni Rusini byli wywożeni pociągami dalej w głąb Rosji do Permu, Samary pod Uralem, na Syberię, do Kazachstanu, Uzbekistanu czy na Kaukaz i Krym.



Dominujące drogi uchodźców z guberni łomżyńskiej, zachodniej części grodzieńskiej i częściowo lubelskiej przez Mińszczyznę i Mohylewską (R- Rosław; ros. Rosław).

⁹⁸ Maria Czapska – *Europa w rodzinie, czas odmieniony*; Wyd. Zak. Kraków 2004.

Przeptyw zasadniczej fali wysiedleńców z Królestwa przemieszczającej się przez obecną Białoruś trwał od czerwca do początków listopada 1915 r., a polscy wędrowcy często byli w drodze około trzech miesięcy. W Baranowiczach, Bobrujsku ajenci rosyjskiego urzędu przesiedleńczego i Siewieropomoszczu namawiali uchodźców do sprzedaży wozów, koni i wsiadania do pociągów odchodzących na daleki wschód. Ale furmanek czy koni nie zawsze udawało się sprzedać, czy zdać odpowiedniej komisji, wtedy zostawały na stacji. Ci którzy po długim obozowaniu w koszmarnych warunkach wsiedli w końcu do wagonu dalej musieli czekać – nieraz kilka dni, aż kolejarze raczą podczepić lokomotywę. Jazda też nie była spokojna – pociągi nagle stały na bezdrożach i bez ostrzeżenia nagle ruszały. Część nie zdążył wsiąść. Rodziny rozdzielają się matka zostaje, a dzieci jadą same. Płacz i krzyk, głód choroby.

Janina Potocka relacjonowała z Baranowicz 23 sierpień 1915 r.: *„Wagony przepelnione samymi wygnańcami. Są w środku, są na dachach, na platformach, wszędzie. Wśród nich panuje cholera. Bardzo chorych zabierają sanitariusze na noszach. Wszędzie są te straszne nosze, a straszniejsze worki, w których trupy zabierają. Poszłam dalej ze Zdzistawem Zamojskim i widziałam trumny leżące między szynami. [...] 24 sierpnia 1915 Przejechaliśmy wśród prawdziwego tłumu wygnańców. Jedni już w pociągach. Ci krzyczeli, śpiewali-koncert dzikich zwierząt, składający się z pisku kobiet, płaczu dzieci, głosów męskich, z fujarek, harmonijek, skrzypiec. Itd. Między relsami biedacy palili ognie, około których siedzieli i leżeli pilnując gotowania swych kartofli 25 sierpnia, wtorek. Prawie cały dzień wczorajszy staliśmy na małej stacji w lesie. Chodziliśmy między relsami. Brak prowizji już daje się nam czuć, a zwłaszcza brak spirytusu. Nasza służba rozpałała ognisko obok naszego wagonu i ugotowała wodę do herbaty. Wszyscy się napili, to rzadki zaczyna być luksus. [...] Chcieliśmy kupić kartofle do pieczenia przy ognisku. Właściciela nie było więc nam odmówili żołnierze, którzy nie mają naszych skrupułów – sobie zabierają i uciekinierzy także, i im nic nie mówią. [...] 26 sierpnia 1915 – wczoraj przed wieczorem znowu nasi ludzie rozpalili ognisko obok naszego wagonu, aby wodę do herbaty zagotować i kartofle upiec. [...] Wtem świst, nasza lokomotywa rusza i wszyscy od ogniska w nogi do wagonu”⁹⁹.*

⁹⁹ Janina Zofia z Potockich Potocka – *Dziennik 1914-1919. Peczara, Łomianki* 2014.

Podobny obrazek ludzi w pociągu opisał też Walenty Miklaszewski, lekarz ewakuujący szpital z Warszawy do Smoleńska: „W wagonach towarowych i bydłych siedzą na węzłkach i skrzyniach kobiety, starcy i dzieci [...]. Matka z niemowlęciem przy piersi nie jadła parę dni. Dziecko krzyczy i rzuca się konwulsyjnie, szarpiąc pustą pierś. Obok leży paroletni chłopak, chory na biegunkę krwawą. W kącie na barłogu siedzi starzec zapatrzony przed siebie”¹⁰⁰.

Namowom ewakuacji na daleki wschód Rosji ulegali głównie Rusini nie mający własnych organizacji opiekuńczych. Z Polaków tylko nieliczne rodziny poddały się panice, pozbyły koni, wozów i wsiadły do pociągu, reszta szła dalej na wschód w stronę Rosławia, który CKO wyznaczyło, jako ostatni punkt wędrówki Polaków. W Dowsku CKO rozdzieliło wygnańców – na południe w kierunku Homla i Czernihowa skierowano 34 782 wygnańców prowadzących ze sobą 9834 koni i 1071 krów. W rejonie Mińska, Mohylewa, Bobrujska zatrzymało się 80 000 polskich wygnańców. Tysiące sztuk bydła pędzone drogą padało, większość była chora osłabiona długą wędrówką, słabym wyżywieniem i małą ilością wody. *Siewieropomoszcz* handlowała tymi krowami. Były one licytowane dla ludności sąsiednich wsi, która zbiegała się na szosę by je kupować.

Na traktach wędrownych powszechną uwagę zwracały tabory bogatych ziemian i arystokracji. Księstwo Mirscy z Woronia (k. Białej Podlaskiej) podróżowali z liczną rodziną i całą służbą domową. Pod gołym niebem rozwijali namioty, wyjmowali pościel i obozowali jak wykwintni Cyganie. Ich obóz przedstawiał malowniczy widok.

Dla bezpieczeństwa sąsiedzi starali się jechać w grupie. W ten sposób w taborze liczącym 60 zaprzęgów wędrowali na wschód ziemianie z guberni suwalskiej. Tabor zorganizowała i nim dowodziła Teresa Zanowa z Poniemunia (majątek n. Niemnem na zach. od Kowna, 50 km od granicy z Prusami), a jechali w nim jej sąsiedzi i przyjaciele: Kasperowiczowie, Zarembowie, Komarowie, Szemiotowie, Młynarscy, Dąbrowiczowie, Strumiłłowie i inni.

Były w nim wozy drabiniaste pełne dobytku, bryczki, powozy, a nawet karoce. Pędzili też 16 żrebaków – trakenów. Dziesięcioletnia

¹⁰⁰ Walenty Miklaszewski – *Memorabilia. Pamiętnik od 1 VII 1914–1 IX 1915*, Warszawa 1929.

wtedy Halina Zanówna wspominała karocę babci Ali Hryniewiczowej, czarną wysoką na miękkich resorach, wybitą błękitnym atlasem z kryształowymi szybami. W środku była trąbka, którą babcia dawała znak stangretowi, jeżeli chciała się zatrzymać lub jechać szybciej. Inicjatorzy wyjazdu Teresa z Dowgiałłów i Tomasz Zan uciekając z domu przed zbliżającym się frontem w sierpniu 1915 r. spakowali zapasy żywności, cenne rzeczy, ubrania, futra, dywany, obrazy. Zakopali porcelanę, beczki ze startką i winem. Ich córka Halina jechała bryczką z rodzicami, a jej dwa lata starszy brat Tomasz całą drogę spędził na zwiniełym dywanie przytroczonym do drabiniastego wozu.

Jechali do Dukaszt – ok. 200 km na wschód. Posuwali się wolno bocznymi gościńcami – na głównym trakcie pełno było wojska, bydła i uciekinierów. Na noc stawali w zaprzyjaźnionych dworach, a kiedy było to niemożliwe biwakowali w lesie lub na polach. Posiłki przyrządzali na ognisku. Między innymi gotowali zupę z przygotowanych wcześniej kostek bulionowych. Sposób ich sporządzania opisała ich córka, Helena z Zanów Stankiewiczowa:

„Ojciec urządził polowanie na gawrony. Zaprosił wszystkich sąsiadów. Pojechało ich trzydziestu i wrócili z dwoma załadowanymi wozami. Dziewczęta je skubały, patroszyły, a na koniec długo gotowały w kotłach z włoszczyzną przyprawami. Potem po wyjęciu wszystkich kosteczek gotowano tak długo aż zrobił się gęsty rosół. Po ostudzeniu wlewano go w duże brytfanny i suszono na słońcu. Wreszcie rąbano zastygłą masę w kostki, które można było przechowywać przez wiele miesięcy. Ten bardzo smaczny rosół był niezwykle pożywny i aromatyczny. Wystarczyło wrzucić taką kostkę na wrzątek i już zupa była gotowa”.

W nocy uzbrojeni w dubeltówki i sztucery mężczyźni trzymali wartę. Zmęczeni, zakurzeni dotarli do Dukaszt (obw. wschodniej Litwy, k. Ucian), majątku Anny Dowgiałło, matki Teresy Zanowej. W Dukasztach dla wszystkich znalazło się miejsce. Rozładowali wozy, powiesili obrazy, rozłożyli dywany. Znany wtedy skrzypek – Paweł Kochański i jego żona przywieźli nawet składaną dużą gumową wannę, którą umieścili na specjalnym metalowym stelażu. Codzienna kąpiel wymagała, przywożenia wody z jeziora i podgrzewania jej w kuchni.

Przez Dukaszt szła fala uciekinierów z objętych wojną terenów Kowieńszczyzny i przebywający w majątku ziemianie razem z miesz-

kańcami okolicznych dworów zorganizowali akcję pomocy dla bieżących, dla których największym skarbem była idąca za wozem krowa.

Wydawano gorącą kawę, zupę, chleb, mleko dla dzieci. Kiedy Dukszty przestały być bezpieczne, gdy Niemcy przekroczyli Niemen i doszli do Ucian, a w nocy niebo rozświetlały pociski, zdecydowano się uciekać dalej w głąb Rosji, do Kochaczyna, majątku, stryja Wiktora Zana (wcześniej majątek ten ofiarowano Tomaszowi Zanowi „Promienistemu” – jednemu z przyjaciół Adama Mickiewicza). Dobra te położone były w guberni mohylewskiej niedaleko Orszy, czyli znowu do pokonania było ok. 300 km. Część dobytku, krowy, meble obrazy, i inne pamiątki rodzinne wyeksponowano pociągiem pod opieką zaufanych ludzi. Niestety w panującym bałaganie wojennym wagony dotarły nie do Kochaczyna, a do Kozłowa pod Charkowem, tam złożone w cerkwi zostały rozkradzione i zginęły bezpowrotnie. Zorganizowany tym razem tabor był mniejszy, choć do sąsiadów z Poniemunia dołączyli sąsiedzi z Dukszt – Pizani z Puszek, Rozenowie z Kaczan, Domańscy z Dowilkij. Zrezygnowano z karoc, jechały tylko bryczki i wozy drabiniaste. Za nimi pędzono 11 trakenów (żrebaków) kupionych jeszcze w Poniemuniu od wracających z Prus żołnierzy rosyjskich.

Jak wspomina Tomasz Zan – jechali Traktem Jekataryńskim zwanym również Traktem Napoleońskim, gdyż tą drogą Napoleon kroczył na Moskwę. Trakt miał szerokość niemal 20 metrów i obsadzony był dwoma rzędami starych brzoź. Popasy robili w pobliskich folwarkach i zajazdach. Pogoda była cudowna, słoneczna ani kropli deszczu. Myślę, że była to wiosna lub lato 1916 r. W Kochaczynie przebywali krótko i ruszyli dalej do Mariampola w guberni Smoleńskiej, gdzie spędzili ponad dwa lata do października 1918 roku¹⁰¹.

Wspominany wcześniej Władysław Glinka zmuszony opuścić rodzinny majątek Susk Stary pod Ostrołęką 3 sierpnia 1915 r. jechał wśród palących się sąsiednich wsi i folwarków: Przytuły, Czarnów, Rzekuń – spowite były chmurami czarnego dymu. Z kłębow dymu wylaniały się jedynie, całe jeszcze wieże kościołów. Od strony Łomży huczały armaty, w dzień widać było dymy, w nocy łuny. Droga z Suska wiodła przez

¹⁰¹ Wojciech Wiśniewski – *Pani na Berzenikach. Rozmowy z Heleną z Zanów Stankiewiczową*,

Warszawa 2003.

Kleczków, Śniadów, Zambrów, Wysokie Mazowieckie, Brańsk, Bielsk Podlaski, Hajnówkę. W Bielsku i Hajnówce rodzina próbowała dostać się do pociągu. Nie udało się. W rezultacie musieli kontynuować jazdę zaprzęgami aż do Prużan. W międzyczasie Władysław zbaczał z drogi, chcąc w sztabie wojsk rosyjskich uzyskać zaświadczenie o straconych zbiorach. Jak wspomina od początku jechali wśród nieprzerwanego korowodu wozów, bryczek, powozów i karet. Do karawany dołączały wozy z mijanych wsi i majątków z guberni łomżyńskiej, a później z Grodzieńszczyzny. Tłum gęstniał. Rodzina Glinki nocowała zwykle pod dachem; czasami był to pokój w przeludnionym hotelu lub żydowskim zajeździe, czasami klub miejski, ale najczęściej plebania bądź dom miejscowego ziemianina. Nie zawsze mieli łóżko, czasami ich pościeleniem było siano czy wiązki tataraku.

Szczególnie dbali o konie, nie żałowali im obroku, owsa, siana. Nie położyli się spać dopóki nie ulokowali koni w jakiejś stajni czy komórce. Ich podróż trwała około półtora miesiąca, przebyli 689 wiorst (735 km). W końcu osiedli w Mińsku¹⁰². Jak pisał autor pamiętnika – jego droga wiodła od Narwi do Berezyny.

W Słonimiu, na parafii u księdza Glinka spotkał rodzinę Lutosławskich z Drozdowa pod Łomżą, która przez Białystok jechała rzemieńnym dyszlem do Mińska. Jak wspominała Wacława Lipnowska – panna do towarzystwa nestorki Pauliny Lutosławskiej, (babki Witolda – sławnego później kompozytora), podróżowali kareta, dwoma wozami pełnymi różnych rzeczy i z rodziną furmana na trzecim wozie. Posuwali się wolno gdyż drogą ciągnęły obciążone wozy z uwiązanyimi krowami i koźmi, a środkiem ciągnął tabor wojskowy. Postoje i noclegi były bardzo urozmaicone. Odbywały się w przydrożnych dworach, na plebaniach lub w lesie. Przyjmowano ich zwykle bardzo gościnnie. Najmilsze jednak były, według niej odpoczynki w lesie, szczególnie gdy trafiło się miejsce grzybne. Wtedy wszyscy rozbiegali się i w ciągu paru chwil znosili grzyby, rozpalali ognisko zgodnie z harcerskimi sposobami. Na nim często gotowali cały obiad. W miarę posuwania się

¹⁰². W Moskwie spotkali się oprócz Wacławy Lipnowskiej Paulina Lutosławska i jej synowie – ks. Kazimierz, Jan z żoną i synami, Józef z żoną i trójką synów, Marian z żoną i czwórką dzieci, synowa Sofityna z córkami zięciem i wnukami.

na wschód takie popasy przydrożne stawały się coraz mniej przyjemne gdyż natychmiast po zatrzymaniu otaczał ich tłum ludzi wędrujących pieszo, żebrzących, głodnych, próbujących zdobyć coś do jedzenia – trzeba było wszystkiego pilnować.

Na dłużej zatrzymali się w Słonimiu. Pogoda popsuała się a, oni byli śmiertelnie znużeni. Chcieli przeczekać i wrócić do domu nawet pod panowanie Niemców, ale pod wpływem wieści, o napadach band powstałych z rozproszonych po wsiach resztek armii carskiej ruszyli dalej do Mińska aby połączyć się z resztą rodziny. Stamtąd w dużej rodzinnej grupie¹⁰³ pociągiem pojechali do Moskwy.

Mieszkańcy zachodnich guberni Imperium Rosyjskiego z początku jedynie obserwowali przechodzącą przez ich tereny ogromną masę wozów z Kongresówki, między którymi oprócz fur chłopskich szły tabory z dworów, pędzono piękne bydło, dorodne konie, powozy. Później i oni zostali zmuszeni przez wycofującą się armię rosyjską do opuszczenia domów i dołączenia do tego strasznego pochodu. Brytyjski attaché Alfred Knox przejeżdżający przez okolice Bielska Podlaskiego obserwował na drodze nieprzerwaną karawanę załadowanych dobytkiem furmanek długości 20 mil (32 km).

Na Grodzieńszczyźnie nie pozostał prawie nikt ani we dworach ani na wsiach. Wszyscy wywędrowali na wschód. Wyjechała m. in. Maria Roth właścicielka majątku Wierzchowice w powiecie brzeskim, gub. grodzieńskiej. Władysław Glinka spotkał ją w Przyłukach pod Mińskiem, w majątku hr. Jerzego Czapskiego. We wspomnieniach zauważył z żalem, że przyprowadzone przez nią stado kilkudziesięciu sztuk zwierząt jest „zmarowane”- krowy i konie chorowały i padały. Z Wierzchowic wyjechała też Helena z Jaczynowskich Roth synowa Marii Roth. Starła się dostać do Charkowa gdzie mieszkał jej wuj Karol Bortnowski. Droga była daleka, pierwszy etap do Sielca k. Prużan, jednego majątków teściów to około 110 wiorst (117 km). Nie miały ze sobą żadnej pokojowej, nad czym Helena bardzo bolała, na szczęście znalazła się jakaś dziewczyna, która do Sielca im towarzyszyła. Za nimi jechał wóz z rzeczami i w małym powoziku ojciec Heleny.

¹⁰³ Alfred Knox - *With the Russian Army 1914-17* za Włodzimierz Bartodziej, *Nasza Wojna* t. 1.

Jechali na Kamieniec Litewski i dalej szosą Brześć–Prużana. Droga była zapchana wojskiem. Żołnierze szli spoceni, źli, zmordowani. Rubaszki (bluzy mundurowe) na plecach były aż czarne od potu. Gdzie stawali, padali od razu na ziemię. Czepiali się powozu stawali na stopniach, resorach. Jechały „powózki” wojskowe, jaszcz¹⁰⁴, armaty.

Helena Roth zapamiętała taki obrazek – *„w powozie siedziała dostojna staruszka, powoziła śliczna kilkunastoletnia panienka i więcej przy tych kobietach, pewnie babce i wnuczce nie było nikogo”*¹⁰⁵.

Do Charkowa na czterdziestu fornalkach, dotarły również co cenniejsze rzeczy z Wierzchowic – meble, wełna z ostatniej strzyży, miedź i instrumenty. Wspólnym taborem z Marią Rothową podążał na wygnanie Romuald Jaczynowski z Jancewicz (pow. brzeski), stryj Heleny Rothowej. Wędrowali na wschód aż dotarli pod Bobrujsk na Mohylewsczyźnie. Znaleźli schronienie w olbrzymim dworze Grudzinówka hrabiny Tołstoj, (z rodziny Lwa Tołstoja). W drodze zatrzymywali się, o ile tylko dało się, w pałacach i dworach, wywodząc parantele z ich właścicielami, imponując zamożnością i obyczajem oraz „parlez francais”. Wprost bezcenne okazały się talenty towarzyskie i francuszczyzna Hanny z domu Wysickiej, żony Romualda. W Grudinowce Jaczynowscy przetrwali całą wojnę wracając do Jancewicz w 1918 r. wraz z całym ewakuowanym dobytkiem i inwentarzem.

7 września Władysław Glinka z Jerzym Czapskim i jego córkami przenieśli się z Przyłuk do Mińska. Czapscy zdecydowali się wynająć mieszkanie i przewieźć tam najcenniejsze rzeczy chcąc poczekać w mieście na zajęcie przez Niemców. Zebrało się tam tysiące Koroniarzy, zjechało wielu wysiedlonych krewnych Czapskich; m.in.: rodzina Jakubowskich z Piotrowszczyzny¹⁰⁶, Miła Koziół-Poklewska z trójką dzieci, kuzynka Elżbieta Rostworowska z Plater-Zyberków z Liksny¹⁰⁷.

¹⁰⁴ jaszcz – dwukołowy wojskowy wóz z okuwaną skrzynią do przewożenia amunicji używany w artylerii konnej

¹⁰⁵ Helena z Jaczynowskich Roth – *Czasy miejsca ludzie, Wspomnienia z kresów wschodnich*. Wyd. Literackie, Kraków 2009.

¹⁰⁶ Piotrowszczyzna wieś i folwark w obwodzie mińskim, obecnie Białoruś.

¹⁰⁷ Liksna – wieś i dobra w powiecie dyneburskim gub. witebskiej w Inflantach Polskich (obecnie Łotwa); własność hr. Plater-Zyberków; tam u wuja i ciotki Izabeli Zyberk-Plater mieszkała jakiś czas bohaterka powstania listopadowego – Emilia Plater.

W szpitalu przebywała, spowinowacona z Czapskimi przez Plate-rów, chora na dyzenterię Kazimiera Hłakiewiczówna¹⁰⁸. W Stańkowie w majątku Czapskich znalazła schronienie rodzina ks. Seweryna Czetwertyńskiego i jego szwagra Andrzeja hr. Żółtowskiego. Tam też swoje bydło i konie umieścił Władysław Glinka. Do guberni mińskiej, dotarł również hrabia Józef Jezierski¹⁰⁹ zmuszony przez Rosjan do wy-jazdu z majątku Pobikry (gub. grodzieńska, gm. Skórzec par. Ciecha-nowiec) Tam poznał pannę Marią Gabriellą Horwatt, córkę właścicieli dużego majątku Barbarowo n. Prypecią k. Mozyrza. Ich ślub odbył się w 1917 r. w Kijowie. Przed wyjazdem długo jeździł wzdłuż frontu szu-kając oddziału, który jako ostatni wycofał się z Pobikier. Starał się uzy-skać zaświadczenie, o pozostawieniu niezebranego zboża i ziemni-aków. „Bumaga” ta była wymagana przy staraniu się o rekompensatę za poniesione straty.

Antoni Jastrzębski, wtedy osiemnastoletni student Kursów Przemys-łowo-Rolniczych w Warszawie, w wakacje 1915 r. odbywał praktykę rolną w Pobikrach u hr. Jezierskiego. Kiedy¹¹⁰ wypędzano ludzi z Gro-dzieńszczyzny i Józef Jezierski wyjeżdżał, ojciec zobowiązał się zaopie-kować stadem jego owiec. Próbował ukryć się nimi w lesie ale kozacy go wypatrzyli i nahajkami wygonili na drogę prowadzącą na wschód. Gdzieś na trasie spotkał hrabiego i oddał powierzone owce. Ten zdał je *Siewieropomoszcz* (Pomoc Północna), rosyjskiej organizacji pomocowej kierowanej przez Zubczaninowa, która między innymi przyjmowała zwierzęta i wypłacała odszkodowania.

Tymczasem Antoni spotkał się z rodziną. Zastał swojego ojca – mo-jego dziadka Kazimierza, siedzącego na krawężniku przy ulicy i płą-czącego. Okazało się, że nie chcieli mu wypłacić rekompensat za wszystko, co zostawił gdyż nie miał wymaganej „bumagi”, a bydło i konie rozdał służbie, jeszcze w Wiktorowie.

¹⁰⁸ Kazimiera Hłakiewiczówna, poetka, sekretarka J. Piłsudskiego – nieślubna córka Barbary Hłakiewiczówny i Klemensa Zana. Wychowywała ją Zofia Buyno z Zyberk-Platerów; była wnuczką Tomasza Zana – filarety.

¹⁰⁹ Powrócił do Polski w 1918 r., gospodarzył na pobikrowskim majątku – 1269 ha i na połączo-nym z nim folwarku Malec – 760 ha, przez cały okres międzywojenny.

¹¹⁰ w lipcu wg kalendarza juliańskiego lub w sierpniu wg kalendarza gregoriańskiego.

W ten sposób byli właściwie bez pieniędzy. W tej sytuacji osiemnastoletni Antoni musiał zostać głową rodziny.

Z Wiktorowa wyjechali bryczką i dwoma wozami ciągnionymi przez dwie pary koni. Dziadek, Kazimierz Flawian najął w Brańsku furmana - młodego chłopaka, Piotrka. Babcia Zofia z domu Gostkowska z młodszymi braćmi Antoniego - Kazikiem (15 lat), Tadeuszem (11 lat) i Stefanem (8 lat) jechała bryczką, dziadek z guwernantką Janiną Wallową¹¹¹ oraz z siostrą babci Aleksandrą Gostkowską na jednym wozie, Piotrek na drugim, później do rodziny dołączył Antoni. Na wozach była kasza i mąka więc mieli co jeść.

I tak przez Puszcę Białowieską, Hajnówkę jechali na wschód, na wschód, na wschód... Kraj zrazu piaszczysty i ubogi zamienił się wkrótce w jedną olbrzymią przestrzeń mokrych łąk i pastwisk, jak okiem sięgnąć trawy i moczary. Na drodze wraz z nimi ciągnął się nieprzebrany potok ludzi, furmanek, wozów, bydła. Jak wybuchła epidemia cholery Antoni po kubelek wody na herbatę musiał jeździć konno pięć kilometrów od szosy do studni gdzie nie było zarazy. Tam miejscowa ludność nie pozwalała brać wody tylko należało postawić kubelek na ziemi, a oni swoim kubelkiem wlewali wodę i uciekali. I ten kubelek wiózł konno z powrotem. Raz podczas pojenia koni w stawie konie zaczęły się topić. Poszły w zaprzęgu bo nie przypuszczano, że było tak głęboko; ledwie je wyciągnięto z tej topieli.

Po drodze Antoni chcąc coś zarobić zgłosił się do Siewieropomoszczi do pracy jako licytant. Jak opowiadał: *„Tysiące sztuk bydła pędzone drogą padało, bo szosa, krew z nóg, mało wody. I ja zostałem tym który licytował te krowy dla sąsiednich wsi, które zbiegały się na szosę aby je kupować. dochodziło do tego, że krowę sprzedawano za rubla, a takie które już nie wstawały nawet za pół rubla. Miejscowa ludność później przestała je kupować bo było ich za dużo. To były miliony sztuk. Z całej Polski bydło, owce były wyganiane w głąb Rosji”*. Zarabiał niedużo, ale rodzina miała parę groszy i trochę mięsa do gotowania.

Rodzina Potockich mająca majątki ziemskie rozsiane na wschodzie, w Rudce na Podlasiu niedaleko Wiktorowa, Rzepichowie k. Barano-

¹¹¹ Janina Wallowa z domu Stanisławska - nauczycielka zaangażowana do młodszych braci Antoniego.

wicz, w gub. mińskiej (obecnie Białoruś) i w Peczarze w gub. podolskiej na terenie obecnej Ukrainy uciekając przed działaniami wojennymi przemieszczała się między tymi dobrami, a jednocześnie majątki te były ostoją dla wielu ziemiańskich uchodźców.

17 sierpnia Janina Zofia Potocka pisała [...] *„Pani Trębacka z córkami i z synem, z matką – ks. Puzyną i bratem przyjeżdżają. Trzy pokoiki im się oddało we dworku.[...] Nasi goście podróżują tak od dwóch tygodni, z matką chorą. Czekają tu na przybycie swego rządcy, z krowami, ludźmi i końmi. Prawdziwa wędrówka narodów. „Krasicki przyjechał z Bytynia (pow. włodawski). Sprzedał bydło, niektóre powozy, siano itd. Grabież na jego oczach się rozpoczęła. Kozacy sterty palą i łąki podpalają. Wioski okoliczne wyludnione, chaty stoją czarne opustoszałe, z oknami i drzwiami zabitymi deskami, a mieszkańcy już wywiezieni pociągami do Syberii. W kilka dni dzieło zniszczenia dokonane...”¹¹².*

Eugeniusz i Zofia Romerowie z Cytowian na Kowieńszczyźnie zmuszeni rozkazem Generała-Gubernatora do ewakuacji, wyruszyli z domu 15 kwietnia 1915 r. Mimo, że wyjazd był starannie przygotowany, problemy zaczęły się od początku. W obliczu plotek i docierających wiadomości o zbliżaniu się wroga wszyscy potracili głowy i większość furmanek z ich rzeczami pogubiła się. Szybko nacierający Niemcy rozdzielili rodzinę. Powozy z matką Romera i dziećmi pojechały przodem, a oni z żoną odcięci przez Niemców musieli jechać okrężną drogą przez lasy i bagna. Byli bardzo serdecznie przyjmowani przez właścicieli mijanych dworów, ale całą drogę drżeli z niepokoju o najbliższych. Przez kilka następnych dni szukali ich, wysyłając posłańców czy też dopytując napotkanych podróżnych.

Jak wspominali: *„Obudziła mnie Zosia która już koło siódmej wstawać zaczęła i ubierając się głośno zaszlochota. Chciałem ją pocieszać ale sam też powstrzymać nie mogłem, więc splotaliśmy się razem i znowu pociechy w modlitwie szukaliśmy”*.

Nie mogli posuwać się szybko, często musieli czekać na furmanki które, na złych drogach nie mogły nadążyć za nimi. Gdy wreszcie spotkali się 19 kwietnia w Poniemuńku u Świąteckich, trudno było *„radość*

¹¹² Janina Zofia z Potockich Potocka – *Dziennik 1914–1919. Peczara, Łomianki 2014.*, właścicielka m.in. Rudek na Podlasiu

i serdeczność powitania opisują". Dzieci dzielnie zniosły trudy podróży, nawet najmłodsza Eugenia, której mleko kupowano z rozmaitych źródeł. W końcu, po blisko miesiącu wędrówki, dotarli do Antonosza, do kuzyna Bronka Romera. W domu tym szybko zadomowili się, gdyż często w nim bywali. Niestety już w czerwcu w myśl rozkazu gubernatora Griazowa musieli myśleć o dalszej wędrówce.

Wyjechali 15 lipca z dwoma taborami rzeczy i licznym inwentarzem żywym. Planowali jechać na wschód na Mohylewsczyznę. *„Pierwszy nocleg w obcym domu*", Imbrody pana Mohla jak wspomina Eugeniusz *„był dobry i ludzie sympatyczni i uprzejmi, ale co będzie dalej, nie wiadomo, a jadąc w kilkadziesiąt koni nie ma sposobu zatrzymać się gdzie indziej prócz dworów.*"

Dalej były Kimborciszki państwa Kwintów: *„Dom zastaliśmy pełen gości, co nie przeszkodziło, że jak starych znajomych natychmiast przyjęto nas, nakarmiono, napojono i wygodny nocleg przygotowano. Znowu doświadczyliśmy tego, że dla przyjęcia gości w dworach szlacheckich ściany się rozszerzają i następuje cudowne rozmnożenie wszelkich zapasów spiżarnianych, żeby głodnych nakarmić, a wszystko robi się tak naturalnie, tak szczerym sercem, że nie czuje się człowiek skrępowany tą uprzejmością.*"

Ze względu na chorobę dzieci w tym gościnnym domu spędzili 2 dni, a właściciele odmówili przyjęcia jakiegokolwiek opłaty za pastwisko i utrzymanie ludzi mimo, że tabor składał się z siedemnastu zaprzęgów, pięćdziesięciu koni. Rozpytując o dalszą drogę, mijając leżące wzdłuż niej dwory dotarli do Kowalewa doktora Józefa Kozieli.

Gdy zaczęła napływać fala uciekinierów Kozieliowie postawili stróża na gościńcu by każdego przejeżdżającego do dworu kierować i każdemu w jakiś sposób pomoc – nakarmić, dać nocleg, konie popaść. Dom był pełen różnych uciekinierów, a właściciele oddając swoje pokoje poszli spać do spichrza i czworaków. Szukając przystani do przeczekania zawieruchy – 21 lipca dojechali do Podkrusza, gdzie wynajęli skromny dom i stodołę dla koni. Furmani kaprysili narzekając na warunki, zagrozili że odejdą. Wiedząc, że są od nich zależni, aby zachęcić ich do pracy sami Romerowie zaczęli kosić łąkę dla koni co wzbudzało podziw przechodzących, mówili ze współczuciem: *„a do czego to doszło, co ten Prus narobił, że panowie sami kosić i grabić muszą*".

Złe warunki domowe a przede wszystkim kłopoty ze zdobyciem siana dla koni zmusiły ich do przeprowadzki. W połowie sierpnia wynajęli folwark Zamosz. Mieli nadzieję przetrwać tam zimę ale front zbliżył się do nich i znowu przyszedł rozkaz ewakuacji. Romerowie planowali posuwać się dalej na wschód do guberni mohylewskiej, gdzie liczyli na pomoc znajomych.

„Marian Koziół wskazał mi odpowiednią drogę na Jody–Annodwór– Czerwony Dwór do Sebastianowa Jerzego Zdrojewskiego na noc, stamtąd przez Łużki Wiktora Zyberka do Bohuszewicz starego Jana Nornickiego na drugi nocleg, dalej przez stację Ziabki Bałagoje – Siedleckiej drogi do Korowajna Jana Lotta. Potem przez lepelski powiat przez Kublicze-Kamień gdzie moglibyśmy popasać u kolegi mego Józefa Zabięły w Białej – ożenionego z dobrą znajomą Zosi, panną Rytą Raue, aż do Czerei Bładziewiczów”.

Planując musieli manewrować, aby nie spotkać się na nocleg z Tomaszem Zanem, który jechał wtedy tą samą trasą z taborem liczącym kilkadziesiąt koni. W żadnym majątku nie da się zmieścić i utrzymać dwóch tak dużych taborów. 7 września, po przejechaniu około 70 km dotarli do Bohuszewicz – a tam zastali nastrój grozy. *„[...] gdy poprosiłem gospodarza p. Jana Nornickiego o nocleg usłyszałem odpowiedź wystraszonego starca. „Owszem proszę, ale radzę panu jak najprędzej uciekać, bo u nas co noc dwory się palą i my niepewni jesteśmy ani dachu nad głową, ani nawet życia”. Od kilku dni kładą się nie rozbierając; dobytek cały na wozach żeby w razie pożaru lub napadu kozaków wywieźć do lasu, czeladź cała stróżuje i co chwila oczekują alarmującego sygnału trąby, który ma zwiastować pożar. Pomimo tak groźnych zapowiedzi musieliśmy rozłokować się na noc, gdyż niepodobieństwem było w nocy jechać dalej, nie wiadomo dokąd, w deszcz i zimno, z małymi dziećmi i zmęczonymi końmi.”*

Po nieprzespanej nocy Romerowie postanowili zmienić kierunek ucieczki ze wschodu na północ. Zdecydowali się na jazdę wielkim traktem „ekaterinińskim”, gdyż jak pisał: *„miałem dosyć już tych małych prostszych drózek, gdzie co chwila groziło nam jakieś potłamanie powozu lub temu podobna przygoda”.*

Na trzy tygodnie zatrzymali się w Borkowiczach u państwa Hłasków. Tam chodząc po wiadomości na stację obserwowali uciekinierów czekających na pociąg. Zrobiło to na nich przygnębiające wrażenie *„widok tej masy kobiet i malutkich dzieci, marznących pod gołym niebem*

na deszczu, a potem wagonów napakowanych ludźmi, z napisem „tyle to dusz do Kurska”, albo „do Woroneża” itp. Jak towar ekspediowany”.

Zauważając, że są ciężarem dla gospodarzy postanowili ruszyć dalej. Szukając spokojnej przystani pisał – „myślą wciąż byłem z Zosią i biednymi dzieciakami naszymi, tak, że już nawet rozmawiać mi się nie chciało; trudno mówić o rzeczach obojętnych, gdy frasunek o dach dla rodziny całą myśl absorbuje [...]” Udało się im wynająć trzy pokoje w odległym o ok. 50 km dworze w Stanisławowie. Musieli zabezpieczyć również swoich pracowników z końmi – umieścił ich na folwarku i w wynajętym domu w Rasowie. W Stanisławowie mieszkali całą zimę 1915/16, a w połowie marca 1916 r. przeprowadzili się jeszcze dalej na północ do Anińska, gdzie warunki były o wiele lepsze – wynajęli tam oficynę złożoną z sześciu pokoi i dwóch kuchen. Tam wreszcie osiedli na dłużej – do 1918 r.

Drogi wygnańców z guberni łomżyńskiej, chełmskiej, lubelskiej, a także grodzieńskiej schodziły się w Prużanach – niewielkim miasteczku zamieszkałym głównie przez żydów. Wędrowców z poszczególnych guberni można było rozpoznać po wyglądzie.

Opisał to Włas Doroszewicz w jednym z felietonów: „Oto idzie gubernia chełmska. Poznać ją można po uczesaniu kobiet. Tu zaś biłgorajki. Oto dalej z godnością sunie gubernia grodzieńska: poznać ją można po wozach, obciążonych samodziiałami w kraty lub w pasy. Zniszczyli ich już wygnańcy, którzy szli przez ich okolice, a w rezultacie i im samym wypadło ruszyć. Oto w długich kozuchach z szerokimi kołnierzami baraniami, pięknie wyszytych czerwonym sznurem, w czapkach rogatywkach z pomponami, ciągną włościanie z guberni łomżyńskiej. Wąsy z podwąsiem, a podbródki zarośnięte jak szczecina. Cichy lud, grzeczny i miły. Zwłaszcza kobiety ich mają szaty wspaniałe. Rękawy, kieszenie, kibić – wszystko wyszyte kolorowo. Teraz jest to zakurzone, zabłocone, poobrywane, podarte, ale widać, że było to niegdyś wystawne, piękne, bogate. Trzeci już miesiąc w drodze. Ktoś zapytany jak dawno są w drodze, odpowiedział – już sam nie wiem. Nie wiem, czy to był sen, że miałem kiedyś dom, czym teraz zwariował? Dom spalony, żona w drodze umarła i dzieci dwoje z nią poszło; leżą pod krzyżami. Ja tylko i ten koń samotny na świecie”.

Karawany tych włościan a także drobnej szlachty, służby folwarcznej i Żydów napływały coraz liczniej do Prużan. Nocowali na wozach i pod gołym niebem. Opiekę nad nimi sprawował oddział Polskiego Towa-

rzystwa Ofiarom Wojny i Wszechrosyjski Związek Ziemstw, który prowadził punkt żywnościowy i sanitarny bezpłatnie rozdający chłopom herbatę, chleb, zupę i udzielający pomocy lekarskiej. Niebawem przy punkcie, pod miastem utworzyło się ogromne obozowisko wygnańców, jedzenia nie starczało dla wszystkich, trudno było wywalczyć sobie kawałek chleba. Jedynym ratunkiem były własne zapasy, a te często skończyły się.

W mieście zebrała się też duża grupa ziemian i arystokracji z Królestwa. Przyjechali znani społecznicy działający w CKO¹¹³: Władysław Grabski, Seweryn Świętopelk-Czetwertyński, Stanisław Wojciechowski, Władysław Glinka, a także: hr. Zdzisław Zamojski z Łochowa z córką, Władysław Sobański z Przeździatki, państwo Wężykowie z dziećmi, hr. Zygmuntostwo Jezierscy, (kuzynostwo Józefa z Pobikr), Jan Brudziński z Trynos, Andlauer z Grodziska, Feliks Lubiejewski z Ciemierniowa, Henryk Apoznański z Rusi, Semplascy z Uśnika, Rzeczkowski z Osównego, Kuczyński z Pęczratki i jak wynika ze wspomnień ojca autorki Jastrzębscy z Wiktorowa. Większość rodzin ziemiańskich rozmieściła się w okolicy, po dworach, w Naczy u państwa Czarnockich, w Mohyłowiczach u Dziekońskich, czy u Oraczewskich itp. Niektórym udało się zdobyć łóżko w zapchanych hotelikach. Jak pisał Glinka – na ulicy co chwila spotykało się znajomych. Punktem zbornym wszystkich był gościnny dom miejscowego księdza kanonika Białożora. Zebrani w Prużanach polscy ziemianie zdecydowali o założeniu w mieście oddziału Komitetu Obywatelskiego.

Do komitetu powołano kilka osób między innymi: familiantów autorki: Stanisława Tomasza Włodka¹¹⁴ z Bybytk (później okazało się, że został w swoim majątku) i Józefa Hipolita Godlewskiego, właściciela majątku Brulino-Koski.

¹¹³ Centralny Komitet Obywatelski powołany w Królestwie zaraz po wybuchu wojny, aby pomagać poszkodowanym.

¹¹⁴ Matka Stanisława Włodka, Ludwika – siostra mojej prababci Sabiny Gostkowskiej



Prużana 1916 r.; fragment rynku [źródło stare zdjęcia foto.polska.eu]

Zastanawiano się nad napisem na pieczęciach – czy umieścić na nich używane już wyrażenie – zbiegowie (ros. bieżęncy), czy też wygnańcy. W końcu zdecydowano się na nazwę Komitet Obywatelski Opieki nad Wygnańcami z Królestwa Polskiego. Organizacja ta zajmowała się opieką nad Polakami starając się nie dopuścić do wywiezienia ich na daleki wschód razem z Rusinami.

Komitet wydawał zapomogę pieniężną, tak zwane strawne jedynie Polakom. Znacznie gorzej miały ogromne rzesze chłopów prawosławnych uznawanych za Rusinów, nazywanych bieżęciami. Nimi zajmowały się mniej prężne organizacje rosyjskie – Komitet Wielkiej Księżny Tatiany i Siewieropomoszcz.

W wielu wspomnieniach bieżęncy skarżyli się, że mają gorzej niż Polacy, którzy mogli korzystać z pomocy Sewieropomoszcz i organizacji Tatjanowskiej, ale również mieli polskie organizacje, które troszczyły się o nich, wyszukując w tłumie i udzielając wsparcia.

O niechęci Rusinów względem Polaków wspominał Glinka: „*Prawosławna ludność chełmska wyróżniata się rozpacziwą dzikością. Zdarzało się często, że napadali na naszych ludzi, odbierali im zapasy i pieniądze, przy każdym punkcie żywnościowym wszczynali bójki, rozpychali katolików krzycząc głośno, iż są prawosławni i powinni mieć pierwszeństwo, urągali często przedstawicielom Komitetu Obywatelskiego. Stąd nasza ludność unikała „koszulków” jak przezywano Rusinów z racji koszuli, którą mężczyźni nosili na wierzchu spodni*”.



Dopiero wyjechali więc wóz zasobny
[fot: Biblioteka Narodowa Polona, Album ze zdjęciami Pułku Salińskiego]



Pruzana 1916 r.; rynek [źródło: stare zdjęcia foto.polska.eu]

Niektórzy polscy tułacze z Królestwa samorzutnie organizowali się w grupy migracyjne. Kilka bądź, kilkanaście wozów jechało razem pomagając sobie wzajemnie. Pomysł ten wykorzystał Władysław Grabski, organizując w ramach CKO tzw. partie. Zgodnie z jego zarządzeniem na wszystkich drogach prowadzących na wschód ustanowiono punkty, w których działali instruktorzy. Obowiązkiem instruktora było stać na drodze i przechodzących przez ten punkt polskich wygnańców organizować w partie czyli grupy od 30 do 200 osób pochodzących z tej samej wsi lub okolicy. Dzięki takiej organizacji mogli wspierać się w drodze.

Wysłannik Rady Zjazdów POPOW – Jerzy de Moldendehower pisał: „Na szosie Bobrujsk–Rosławł widziałem naszych wygnańców i Rusinów z Chełmszczyzny, guberni grodzieńskiej i mińskiej. Wśród naszych widać było organizację i poza niewielką ilością wypadków kradzieży i niszczenia umyślnego wprost, nie można było się na nich skarżyć, przy tym mały względnie procent zachorowań i śmierci i nie widać było zbyt wielkiej nędzy, za to wśród Rusinów dezorganizacja, kradzieże, gdzie przeszli to jak szarańcza-nęcza straszna, śmiertelność wielka”¹¹⁵.

Tymczasem Niemcy posuwali się na wschód, zajmując Białystok, Brześć Litewski, Bielsk Podlaski i zagrozili Prużanom. Przyszło rozporządzenie władz do opuszczenia miasta. Gdy już znaczna część wygnańców była w drodze do Słucka nadszedł nowy rozkaz zatrzymania ich z powodu fali 300–400 tysięcy ludności polskiej, ruskiej i żydowskiej płynącej z południa. Zrobiło się ogromne zamieszanie. Aby nie dopuścić połączenia się mas uchodźczych z południa i zachodu wojsko i policja zwracały ludzi z drogi i kierowały przez Różanę do Słonima. W grupie tej znaleźli się najpewniej Jastrzębscy aczkolwiek Antoni wspominał tylko pobyt w Prużanie. Nie wiadomo też gdzie dziadkowie tam spali. Wiadomo jedynie, że spotkali tam Żyda, który przed wojną brał od nich wełnę i ten z własnej, nieprzymuszonej woli, nie proszony dał im trochę pieniędzy. Być może mieli więc możliwość wynajęcia noclegu w jakiejś kwaterze.

Z Prużany jechali do Różany – 40 wiorst (43 km), a dalej do Słonimia dalsze 37 (40 km). W Słonimiu, dużym, ładnie położonym na wzgórzach miście mogli zaopatrzyć się w punkcie CKO w obrok dla koni, podkowy i hufnale¹¹⁶. Na drodze łańcuch wozów nie był już ciągły, niemniej dziadkowie mijali setki fur. Od czasu do czasu stawali w lasku, rozpalali ognisko, gotowali i pewnie piekli ziemniaki. Jak większość wygnańców ze Słonimia podążali dalej do, Siniawki, Słucka, Bobrujska, Rochaczowa, a po około dwumiesięcznej wędrówce 1 października dotarli na rozstajne drogi. Prosto droga prowadziła do Rosławia

¹¹⁵ AAN CKO syg.94 – Lustracja okręgów CKO, Raport z objazdu starszego instruktora CKO Jerzego de Moldendehowera, str. 76.

¹¹⁶ hufnale – gwoździe do przybijania podkowy do końskiego kopyta

(ros. Rosławla) w smoleńskiej guberni, a na prawo (10 km) do miasta Klimowicze w mohylewskiej guberni.

Dziadkowie Jastrzębscy i podróżująca z nimi rodzina Wnorowskich spod Łomży zdecydowali nie jechać dalej. Antoni założył parę koni do bryczki i sam pojechał do Klimowicz, zostawiając resztę przy wozach na rozstaju. Szosa była pełna, ale wszyscy pojechali naprzód w kierunku Rosławia. Ojciec wspomina – *„Pojechałem sam zobaczyć jak te Klimowicze wyglądają. Zajechałem tam, mała miścina, rynek nie brukowany, tylko zwykły piach, ludzi mało, trochę żydów. Wynająłem cały domek od jakiejś byłej Polki Wistkowskiej. Pół wynajętego domu zajęli Wnorowscy, a pół my. Wynająłem też stajnie dla koni. Wróciłem na rozstaje do oczekujących na wozach i osiedliliśmy w tych Klimowiczach”* Później dojechali do nich kuzyni Amelia i Jan Jastrzębscy z Udrzyna. Tam zmarł ich jedenastoletni syn Edward. Nie wiadomo dokładnie jak długo jechali, ale zaprzęgami konnymi przejechali co najmniej 730 km – przez całą obecną Białoruś do jej wschodniej granicy, gdzie leżą Klimowicze.

Glinkowie w Słoniuiu zoczyli z ogólnej trasy wygnańców, która dalej prowadziła do Słucka i podążali w kierunku Mińska. Efektowne przejście jego karawany złożonej z dużej grupy służby, koni i bydła przez gubernię grodzieńską i mińską było zapamiętane przez innych tułaczy. Po drodze nie mogli zjeżdżać z traktu ani zatrzymywać się, musieli jechać bez końca na wschód i to jak najprędzej, aby nie przeszkadzać armii, która nieprzerwanie. cofała się. W rezultacie dojechali za Mińsk do Borysowa, gdzie spotkali się z jednym z synów, po czym całą rodziną wrócili do Mińska. Tam, jak wspomniano wcześniej, zatrzymali się na dłużej. Bydłem zarodowym z Królestwa, najcenniejszymi resztkami pracy hodowlanej kilku pokoleń, zaopiekowało się Mińskie Towarzystwo Rolnicze, ale jak zaznaczył pamiętnikarz koszt utrzymania tego dobytku był ogromny.

Tułacza droga ziemian, a szczególnie arystokracji, z pewnością, nie była tak dramatyczna jak chłopska. Byli bardziej obcy, mieli pieniądze, znajomości, teoretycznie mogli nocować w hotelach, żywić się w restauracjach. Ale hotele były zwykle przepełnione, a jedzenia nie było nawet za pieniądze. Bardzo często – jak żebracy, ze ściśniętym sercem musieli narzucać się nieznanym, prosić o nocleg i posiłek.

W Imperium

Wielotygodniowa mordercza wędrówka wreszcie dobiegła końca. Większość polskich bieżenców pochodzenia chłopskiego nie miała wpływu na to gdzie dotarła. Nawet nie dopytywali się, gdyż i tak nazwy miejscowości nic im nie mówiły. Dzięki świadomej akcji Centralnego Komitetu Obywatelskiego w Rosji i innych organizacji pomocowych największa liczba polskich uchodźców znalazła się w europejskiej części Rosji, głównie w guberniach: mińskiej, mohylewskiej, czernichowskiej, smoleńskiej i orłowskiej. Działacze CKO zdawali sobie sprawę, że rozproszenie ludzi na ogromnym terenie imperium uniemożliwiłoby organizację pomocy, a po zakończeniu wojny trudniej byłoby przeprowadzić powrót. *„Wszyscy zgadzaliśmy się na to, że należy możliwie zapobiegać wysiedleniu ludzi za Ural, gdzie otrzymaliby grunta i wynarodowiliby się”* – pisze Władysław Glinka¹¹⁷. Zatrzymanie uchodźców na zachodzie Rosji niejednokrotnie wymagało sprzeciwu wobec władz rosyjskich.

Władysław Grabski wspominał: *„Gdy w Rosławiu utworzył się istny zator z wielotyśięcznych tłumów wygnańczych i gdy masy ich zmuszano tam do wsiadania do pociągów, które setki tysięcy Białorusinów powiozły wtedy nad Wołgę i na Syberię, CKO wbrew rozporządzeniom i rozkazom władz, sam się rozporządził, by pięć tysięcy wozów z czterdziestoma pięcioma tysiącami polskich wygnańców zwrócono z szosy moskiewskiej w bok na południe do zamkniętej zupełnie dla wygnańców południowej części gub. mohylowskiej, czy czernichowskiej i stamtąd z górą 18 tys. osób przeprowadził następnie w powrotnym kierunku ze wschodu na zachód, z lewego brzegu Dniepru na prawy i w ten sposób znaczną ilość rodzin zagrożonych wywiezieniem za Wołgę, rozmieścił w gub. kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej”*¹¹⁸.

Komisje CKO interweniowały również u dowódców wojskowych, gdy ci wypędzali wygnańców z zorganizowanych już siedlisk i pędzili

¹¹⁷ Władysław Glinka – *Pamiętnik wielkiej wojny. Na wygnaniu*. t. 3 i 4, Skł. Gł. Gebethner i Wolff, Warszawa 1927–1928.

¹¹⁸ W. Grabski, A. Żabko-Potapowicz – *Ratownictwo społeczne w czasie wielkiej wojny Polska w czasie wielkiej wojny 1914-1918*, t. 2, str. 63, Warszawa 1932.

dalej na wschód, a jej urzędnicy nieraz wyciągali z wagonów ludzi już załadowanych do pociągów jadących za Ural. Niestety, w atmosferze wiecznego zagrożenia i chaosu nie udało się objąć opieką wszystkich Polaków. Spora ich część nie trafiła na swojej drodze na przedstawicieli organizacji pomocowych. Zostali wsadzeni do pociągów i rozwiezieni po całym imperium - do tysięcy miast, miasteczek i zapadłych wsi - nad Donem, Wołgą, w okolicach Uralu, czy na Syberię.

W początkowej fazie, kiedy nie działały jeszcze organizacje pomocowe, uchodźcy żyją niejednokrotnie w wielkiej nędzy, brakuje mieszkań, pracy, panuje głód, wychodźcy wegetują w nieludzkich warunkach. Roman Dyboski pisał: „[...] pod jesień pierwsze fale uchodźców ze wschodniego Królestwa jeły napływać w głąb Rosji i tłumy w Moskwie garnęły się instynktownie do kościoła katolickiego przy załutku Milutyńskim. Dziedziniec przed kościołem przedstawiał wtedy jedno z wielu prawdziwie dantejskich widowisk. [...] koczowały tam wpółdziczale od strachu i bied przeróżnych, gromady ludu, tam leżąc na tłumokach ludzie marli, tam pod gołym niebem lub na scenie teatralnej Domu Polskiego rodziły się dzieci. [...] Nigdy nie zapomnę jak jakiś chłop wziął mnie na bok do kąta sali i rozglądając się na wpół obłądnym wzrokiem wokół czy mu gdzie nad głową nie pęknie jeszcze jaki pocisk niemiecki z aeroplanu, zaczął opowiadać przyciszonym głosem, jak pogubił w drodze wśród paniki całą swą rodzinę”¹¹⁹.

Dopiero później CKO i inne organizacje opiekuńcze opanowały trochę sytuację. W instytucjach tych działali ziemianie i przedstawiciele inteligencji, którzy znaleźli się w Rosji, jako wysiedleńcy lub zostali wysłani z Królestwa Polskiego dla zorganizowania opieki nad ogromną rzeszą bezradnych polskich chłopów i robotników. Działacze ci pracowali w strukturach Centralnego Komitetu Obywatelskiego (CKO), Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny (PTPOW), Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej (PKPS), Sekcji Sanitarно-Żywnościowej (SSŻ). Najbardziej znani to Władysław Grabski, Stanisław Wojciechowski, Seweryn Światopełk-Czetwertyński, Józef Dangel, Marian Lutosławski, Adolf Świda, Joachim Gallera, Władysław Glinka i wielu,

¹¹⁹ Roman Dyboski - *Siedem lat w Rosji i na Syberii (1915-1921)*, opr. Tomasz Bohun, Warszawa 2007.

wielu innych. Niektórzy z nich stracili w Rosji najbliższych, inni zginęli zabici przez Bolszewików w 1917 r.

Struktura organizacyjna CKO zmieniała się w trakcie jej działalności, początkowo terytorium Rosji zostało podzielone na 7 rejonów. Rejon Północny z siedzibą w Piotrogradzie, Północno-Zachodni z siedzibą w Mohylewie, Południowo-Zachodni z Kijowem, Środkowy z siedzibą w Moskwie, Południowy z siedzibą w Charkowie, Wschodni w Samarze i Zachodni, który ze względu na historię rodzinną najbardziej mnie interesuje. Miał on siedzibę w Rosławiu, a obejmował gubernię mińską, smoleńską, orłowską, czernihowską i południowe powiaty guberni mohylewskiej: czerykowski, homelski, klimowicki, rohaczewski. Działalnością CKO w rejonie kierował Zarząd Rejonowy.

Z czasem, ze względu na rozległość terytorialną Rosji, rejon podzielono na okręgi. Działalnością CKO w danym okręgu kierował pełnomocnik okręgowy. Odpowiadał on za pracę starszych instruktorów, instruktorów i przewodników partii. Najważniejszą powinnością instruktorów CKO było rejestrowanie wygnańców, formowanie ich w gromady zwane partiami, przeprowadzenie wyboru przewodników i ławników każdej partii. Funkcję przewodnika pełnił zwykle człowiek legitymujący się pewnym wykształceniem, np. nauczyciel ludowy, urzędnik czy piśmienny i zamożny włościanin.

Urzednicy CKO docierali do rozrzuconych po lasach skupisk ludzkich i obejmowali je opieką. Jan Glinka działający w Komisji Zachodniej sprowadził do Rosławia ks. Suchcickiego, którego znalazł w lesie pod miastem gdzie mieszkał razem z partią z Łomżyńskiego. Ten wikariusz z Myszyńca w pow. ostrołęckim, cały tydzień pracował jako drwal, a w niedziele odprowadzał w lesie nabożeństwo.

Przy ważnych szlakach komunikacyjnych oraz w rejonach, w których występowała niewielka liczba uchodźców CKO zakładało skupiska wygnańców zwane koloniami. W koloniach instruktorzy organizowali ochronkę (przedszkole), polską szkołę, czytelnice, sprowadzali polskie książki, gazety, tak aby wygnańcy mogli nie tylko mieszkać, pracować, ale i modlić się po polsku.



Ochronka w Homlu (gub. mohylewska); AAN, CKO, 597; w mundurze pracownik CKO. Pracownicy wszystkich organizacji społecznych w tym czasie mieli prawo nosić mundury wojskowe, co ułatwiało załatwianie spraw urzędowych.

To instruktorzy współpracując z przewodnikami przekazywali wygnańcom pomoc pieniężną i odzieżową, wyszukiwali mieszkania, pracę, służyli radą, pomagali w chorobie. To oni organizowali opiekę nad sierotami, dbali o paszę dla koni, bydła, o przewóz kolejami, pomoc sanitarną, kulturalną czy duchową. Jednym słowem mieli pieczę nad wygnańcami na powierzonym im terenie. Między innymi objeżdżali zapadłe kąty bezkresów rosyjskich i „wylawiali” w zapadłych wioskach, przytułkach zabłąkane polskie dzieci, sieroty.



Ochronka CKO dla młodszych dzieci w Platonowie (gub. smoleńska); AAN, CKO, 592.

Znalezienie odpowiedniego miejsca do zgromadzenia uchodźców nie było sprawą łatwą. Niektórzy Polacy mieszkający na kresach byli obojętni na los uchodźców, a nawet im niechętni – widzieli w nich jedynie bandę złodziei. Na szczęście byli i tacy, którzy nieśli im pomoc – dawali mieszkanie i pracę. Życiem codziennym kolonii kierowała tzw. Rada Opiekuńcza, złożona zazwyczaj z personelu szkół, ochron i innych pracowników CKO oraz przewodników partii.

Struktura ta była bardzo rozbudowana i zatrudniała na stałe znaczną liczbę pracowników biurowych. Według „Głosu Polskiego” z grudnia 1916 r. w organizacji było 53 pełnomocników okręgowych i ich zastępców, 455 instruktorów, 2205 przewodników oraz 368 pracowników biur Komitetu. Społecznie tj. bez pobierania pensji pracowało 125 osób. Sprawna machina organizacyjna CKO wzbudzała wśród wygnańców poczucie bezpieczeństwa. Ujemną jej stroną była nadmierna biurokratyza. Uchodźcy, głównie rolnicy, chłopci, drobna szlachta, służba folwarczna byli słabo wykształceni stąd znajdowali pracę przede wszystkim w rolnictwie oraz przy robotach leśnych. Robotników zatrudniały cukrownie, fabryki. Dużo ludzi pracowało na kolei. Pośrednikami w znalezieniu pracy były najczęściej organizacje pomocowe. Zarobek umożliwiało posiadanie wozu z koniem. Ci, którzy posłuchali rady pracowników organizacji pomocowych i nie sprzedali koni i wozów mogli wynająć się u rolników, pracować jako wozacy w mieście, a w końcu wrócić do kraju własnym transportem. Tak m.in. zrobiła służba Władysława Glinki, dziadkowie Jastrzębscy czy też Stanisław Wojciechowski.



Komisja Zachodnia wydzierzała pod Rosławiem majątek Platonowo (gub. smoleńska) z kilkoma budynkami; urządzono szpital, szkołę, przytułek dla starców, ochronkę, zbudowano drewniane baraki mieszkalne; na fot. uchodźcy przed tymi barakami [AAN, CKO, 592]

Jak wspominał instruktor Wójtowicz: „Po zakończeniu pracy w Rosławlu, po przeprowadzeniu szczegółowej rejestracji, wizytacji szkółek i ochron, zrobiłem plan rozmieszczenia uchodźców w powiecie. Wkrótce udałem się na objazd instruktorski szosą moskiewską, tu bowiem osiedliła się duża ilość wygnańców. Praca przy tartakach, zwózka drzewa do robót budowlanych w Rosławlu i dostawa tegoż drzewa do kolei dawały duże zarobki wygnańcom, którzy nie tylko mogli żyć dostatnio, lecz jeszcze trochę grosza schować na drogę powrotną do kraju. Kto miał konie zarabiał od 10–12 rubli dziennie, a przy ładowaniu drzewa od 3–7 rubli”¹²⁰.

CKO tworzyło również własne przedsiębiorstwa dające miejsca pracy – szwalnie, pracownie krawieckie, warsztaty tkackie i szewskie. Na jesieni 1916 r. komitet ten prowadził 4 sklepy spożywcze, 22 składy z towarami oraz wiele jadalni i herbaciarni. SSŻ z kolei miała 15 punktów żywnościowych, 6 jadalni i tanich kuchni, 7 składów żywnościowych, 12 sklepów spożywczych, 2 piekarnie, 6 ochronek z wyżywieniem. Instytucje te nie tylko zaspakajały potrzeby uchodźców w odzież obuwie i bieliznę, ale również zmniejszały wśród nich bezrobocie.

Dzięki CKO zatrudnienie i stały zarobek znajdowała również inteligencja. Nauczyciele pracowali w szkołach – zezwolenie na tymczasowe zakładanie polskich szkół elementarnych w Rosji wydał minister oświaty hr. Ignatjew¹²¹ – ochronkach, a inni w zależności od wykształcenia w redakcjach polskich gazet, księgarniach i różnych innych przedsiębiorstwach. Ewakuowani lekarze, felczerzy, pielęgniarki, akuszerki i tzw. wiejskie babki (niewykwalifikowane położne) byli zatrudniani w placówkach medycznych. Jesienią 1916 r. CKO dysponowało na terenie Rosji 33 szpitalami z 1023 łózkami, 84 ambulatoriami i izbami felczer-skimi, w których zatrudniano 245 osób personelu medycznego.

Problemem uchodźców było znalezienie mieszkania. Dostępnych mieszkań było mało, a miejscowi właściciele uchylali się przed ich wynajmowaniem obawiając się spowodowania epidemii, czy zniszczenia domów przez wygnańców. Czasami to pracodawca zapewniał miesz-

¹²⁰ Ryszard Marian Wójtowicz – *Spółeczna praca ludowa w czasie wojny*; pamiętnik instruktora opieki nad wygnańcami CKO, pisany na tułaczce w Rosji w latach 1915–1918; Warszawa 1938.

¹²¹ Do szkół tych nie wolno było przyjmować miejscowych dzieci, by nie zaszczepić w nich „polonizmu”; w Finlandii, gdzie również trafili wygnańcy, dzieci musiały uczyć się po fińsku.

kanie pracownikowi i jego rodzinie, choć zdarzało się, że było ono bardzo prymitywne.

Ks. A. Łukasiewicz pisał w listopadzie 1915 r. [...] „niektórzy wygnańcy mieszkają w okropnych warunkach. Są wypadki, że mieszkają w chlewie w towarzystwie krowy i dość dużo za tę ubicację płacą. [...] niektórzy znowu mieszkają w piwnicach i do tego nie mają łóżek i czym na noc siebie i dzieci okryć.”¹²².

Aby zapobiec demoralizacji, zachować życie rodzinne, organizacje starały się nie rozmieszczać ludzi w barakach. Dążyły do przydzielania jednej izby jednej a najgorszym przypadku dwóm rodzinom. W okolicach Witebska założyli osadę dla uchodźców wydzierżawiając 28 domów dla 230 osób.



Punkt obrokowy CKO w Homlu (gub. mohylewska) [AAN, CKO, 597]. Utrzymanie koni wygnańców było kosztowne; większą część zarobków przeznaczano na ich wyżywienie; pomagało w tym CKO; sprowadzano owoce, otręby, sprzedawano siano po zaniżonych cenach.

¹²² AAN, CKO, 46, k. 51, Pismo ks. A. Łukasiewicza do W. Grabskiego 17 XI 1915



Skład Materiałów CKO w Homlu (gub. mohylewska) AAN, CKO, 597

Osobistą opieką objął wysiedleńców, Witold Wańkowicz, starszy brat Melchiora – kilkadziesiąt polskich rodzin osiedlił w Kałużcach koło Borysowa (obecnie Białoruś) i w pozostałych swoich folwarkach, a także w sąsiednich zaprzyjaźnionych majątkach. Dawał im pracę rozdział zapomogi, często wręcz utrzymywał.

Duże znaczenie dla uchodźców miały udzielane im bezzwrotne zapomogi pieniężne i pożyczki. Zapomogi początkowo wypłacano wszystkim uchodźcom, a później tylko osobom niezdolnym do pracy. Wysokość tych zasiłków z czasem malała. Nieoprocentowane pożyczki były udzielane osobom poszkodowanym przez działanie militarne, które posiadały w Królestwie Polskim majątek lub środki gwarantujące ich zwrot i nie uzyskały odszkodowania za poniesione straty.

Centralny Komitet Obywatelski wspierał ich w staraniach o uzyskanie odszkodowań za straty wojenne – jego urzędnicy pomagali pisać podania, sporządzać akta o stratach w zasiewach i w innym mieniu. Niechęć władz i ogromna biurokracja powodowała, że proces uzyskiwania odszkodowań przebiegał bardzo opieszale. Do 1.10.1917 r. udało się uzyskać wynagrodzenie za zniszczone zasiewy jedynie dla 3 190 osób na dziesiątki tysięcy przedstawionych akt. Za straty w ruchomościach rząd rosyjski nie płacił, za zasiewy i zapasy zwracał 25% szacowanej straty, więc jak pisał Władysław Glinka niektórzy gospodarze i ziemianie zawyżali ich wielkość nawet o 100%, tłumacząc to tym,

że płacą tylko za zasiewy, a odebranie reszty jest wielce problematyczne.

Обязательство.	Zobowiązanie.
Руб. 250	Rb. 250
<p>Я, нижеподписавшийся, получил с сего числа отъ Центрального Обязательскаго Комитета губерній Царства Польскаго въ видѣ безпроцентной ссуды изъ суммъ, отпускаемыхъ Казною, наличными <i>Много десятков</i> рублей. Занятую сумму обязуюсь возвратить тому же Комитету, или его правопреемнику, безъ предварительнаго приглашенія и повеленія въ просрочкѣ, не позже пяти лѣтъ, считая со дня заключенія мира по окончаніи настоящей войны. — Въ случаѣ получения мною отъ Казны ранѣе сказаннаго срока либо ссуды, либо полнаго возмещенія или части такового за понесенные мною по поводу военныхъ дѣйствій вредъ и убытки я обязуюсь пополнять настоящую долговую сумму немедленно по полученіи мною упомянутыхъ ссуды или возмещенія.</p>	<p>Rubli <i>dwieście pięćdziesiąt</i> tytułem pożyczki bezprocentowej otrzymałem w dniu dzisiejszym gotówziną od Centralnego Komitetu Obywatelskiego Królestwa Polskiego z funduszu rządowego. Powyższą sumę zobowiązuję się spłacić temuż Komitetowi lub instytucji, reprezentującej prawa jego bez wezwania i stawiania w zwłocę, najpóźniej za pięć lat od daty zawarcia pokoju po ukończeniu obecnie toczącej się wojny. W razie wcześniejszego otrzymania przeze mnie bądź pożyczki rządowej, bądź też całkowitej lub częściowej indemnizacji za szkody i straty, zrządzone mi przez wojnę, zobowiązuję się dług niniejszy pokryć niezwłocznie po otrzymaniu tej pożyczki lub indemnizacji. —</p>
<p>Постоянное мое местожительство и юридическое по сему обязательству въ <i>Варшавѣ</i></p>	<p>Stale zamieszkanie moje w <i>Warszawie</i></p>
<p>Временно проживаю въ <i>П. Петрограда</i></p>	<p>gdzie również obieram sobie zamieszkanie prawne.</p>
	<p>Adres mój obecny: <i>Pietrograd</i></p>
<p><i>Pietrograd 21 Maja 1916.</i></p>	

Zobowiązanie biorącego bezprocentową pożyczkę

Z kolei Wójtowicz sporządzający takie akty zauważał: „Gospodarz, dając zeznania starał się być nadzwyczaj skrupulatny i sumienny aż do przesady. Więc na przykład przy ocenie ruchomości i sprzętów w izbie określa ceny za przedmioty bardzo nisko, zaznacza co było nadpsute, co częściowo zniszczone - Niech pan rejent zapisze, że dzbanek był bez ucha, że z 5 ławek jedna była bez nogi. Albo taki fakt: chłop z Lubelszczyzny rozdał dezertantom, wygnańcom z sąsiednich wiosek, którzy wcześniej zakosztowali tułaczki 10 miar kartofli i 12 korcy żyta mówi -nie warto zapisywać datem to biednym ludziom, Bóg mi już za to zapłaci. W innym wypadku żołnierze spalili parkan, gotując wieczerzę. Nie pisać miłościwoy rejencie, bo trzy dni nie mieli strawy w pysku. Takich przykładów setki. Nadzwyczajna skrupulatność przy podawaniu zniszczonych zapasów zboża. Chłop swojej krzywdy nie daruje, o zniszczoną chudobę upomina się, ale cudzego nie potrzebuje.”

Na porządku dziennym były również machinacje urzędników rosyjskich zajmujących się odszkodowaniami - brali łapówki, odszkodowania na fikcyjne majątki ziemskie, pobierali lichwiarskie procenty od dokonywanych wypłat.

Zanim CKO dostało uprawnienia do spisywania strat, wielu ziemian zwodzonych przez urzędników starało się uzyskać jakieś odszkodowanie jeżdżąc od miasta do miasta. Szukali różnych podpisów czy też zaświadczeń. Hrabia Józef Jezierski przejechał konno 900 wiorst, aby znaleźć oddział, który podpalił Pobikry i wydostać od nich akt zniszczenia zbiorów. Również ks. Czetwertyński w lutym 1916 r. musiał przejechać 130 wiorst wzdłuż linii frontu aby zdobyć zaświadczenie o zniszczeniach. Władysław Glinka odebrał przyznane mu odszkodowanie za 25% zniszczonej krescencji i za narzędzia 27 tys. rubli.

Wydaje się, że odszkodowania udało się zdobyć głównie zamożnym ziemianom, którzy mieli znajomości u wyższych wojskowych lub wśród urzędników w Petersburgu. Większość wygnańców nie mogła sobie pozwolić na częste wyjazdy w celu załatwiania odpowiednich papierów i przez dłuższy czas żyła z pożyczek, czy też z zapomóg komitetów.

Ważnym problemem było umożliwienie uchodźcom wykonywania praktyk religijnych. W dawnych guberniach polskich zwykle były kościoły katolickie, ale w dużej części imperium pracowali jedynie kapelani objazdowi. Uchodźcy niejednokrotnie przez wiele miesięcy wyczekiwali na księdza chcąc w obrządku rzymskokatolickim ochrzcić dzieci, zawrzeć ślub czy też przystąpić do innych sakramentów.

	№	Imię i nazwisko	Wiek		№	Miejsc. zamieszkania	Miejsc. pobytu
81	18	Serbika Marya	60	3	2	Pryga	Roßtau
82	-	-	60	3	-	-	-
83	15	Krzypiec Leopold	55	1	1	Spiczka par. Kucarski	Przejacim par. Mogor
87	80	Karzynski Aleksander po Karolowym	80	4	4	w Karzyn par. Opatowski	Klimonice
85		Sobota Piotr		-	4	gub. Siedlecka	Ułedziemię par. Roßtau
86	20	Somińska Feliksa po Karolowej	20	1	1	w Somincyn par. Młodawski	w Porosbin par. Czerniowa
87		Hrelecki Karol po Wacławskim				Krasnopol	Roßtau
88	75	Strande Anna po Anthoni	75	3	4	Rybno par. Pochanowski	Smoleńsk
89	10	Sulenski Apollinary	10	1	7	Skoczyn	Bobrujsk
90	40	Szymborska Antonina	40	1	4		Krasnoj. gub. Smoleńska

Lista osób otrzymujących zapomogi bezzwrotne. Z tak małego fragmentu widać, że wygnańcy pochodzili z różnych stron Kongresówki i nie tylko; kolumna przedostatnia to miejsce stałego zamieszkania, a ostatnia miejsce pobytu w Rosji.

Działacze organizacji ratowniczych podkreślali, że skupienie ludności wokół kościoła powstrzymuje procesy asymilacyjne i wzmacnia poczucie odrębności narodowej zapobiegając wynarodowieniu. Wygnancy po znalezieniu się w obcym dla siebie środowisku nie tylko mogli zapomnieć języka polskiego, ale podobnie jak miejscowa ludność ulec demoralizacji przejawiającej się w złodziejstwie, prostytutce i alkoholizmie. W pamiętnikach można znaleźć opisy scen wywołujących zgrozę.

Stanisław Wojciechowski, który z ramienia CKO objeżdżał gubernię smoleńską pisał: *„Zdumiony byłem panującą tutaj ciemnotą i lenistwem. W ziemstwie dowiedziałem się, że przestali urządzać po wsiach odczyty o uprawie ziemi i hodowli, bo nieliczni słuchacze, którzy przychodzili żądali żeby płacono im za to po 50 kopiejek – inaczej słuchać nie warto. Po zamknięciu sklepów monopolowych na czas wojny przestali przychodzić na roboty leśne, bo po co pracować, kiedy nie można przepić zarobionych pieniędzy. Wódka była tutaj bodaj jedynym bodźcem do pracy. Krowy wałęsały się po wsi, jak psy wygłodzone szukając na śniegu słomy i siana pozostawionych przez przejeżdżających. W zimie nie dawały mleka”*¹²³.

Podobną sytuację opisuje Andrzej Rostworowski – uciekinier z Leśnej k. Druskiennik, przebywający w Rudakowie u Heleny z Oskierków Wańkowiczowej na Polesiu: *„Już była jesień, na horyzoncie zaczęły się ukazywać łuny. Po paru dniach stało się wiadome, że w związku z niewyraźną sytuacją na froncie przyszło zarządzenie opróżnienia magazynów spirytusu. [...] Zarządzono kopanie dołu dwadzieścia na dziesięć metrów, na trzy głębokiego. Tymczasem wieść lotem błyskawicy rozeszła się po okolicy. Zaczął się najazd i koczowisko. Zjeżdżały całe wsie z odległości kilkunastu kilometrów. Mimo, że w dzień spuszczenia spirytusu było na miejscu 8 strażników nic to nie znaczyło wobec kilku tysięcy ludzi zgromadzonych wokół. Spirytus puszczono o świcie. Teoretycznie miał on wsiąkać w dno dołu. Oczywiście nie szło to tak szybko jak sobie założono. Po paru godzinach spirytus zapełnił już trzy czwarte dołu. I wtedy zaczęła się zabawa. Gdy z jednej strony strażnicy bohatercko odpierają ataki, z drugiej strony setki ludzi, uzbrojonych w wiadra i czajniki na sznurkach czerpią kochany płyn. Większość, nie czekając wypijała ogromne ilości na miejscu i legła potem wokół po polach i krzakach. Stąd wzięto się paręset nieprzytomnych osób, którym bardziej trzeźwi pozabierali naturalnie nie tylko naczynia i zapasy trunku, ale i wszystko z kieszeni.*

¹²³ Stanisław Wojciechowski – *Moje wspomnienia*, Wyd. MHP, Warszawa 2017.

Od czasu do czasu ktoś potrącony wpadał do dołu wśród śmiechu pozostałych, a wyciągnięty nie patrząc na nic, zdejmował przy wszystkich przyodziewek i wyciskał do wiadra. Zabawa taka trwała dzień i noc. [...] Na drugi dzień rano zaczęto dół zasypywać, a tłumy ruszyły w kierunku następnej gorzelni”¹²⁴.

Wielość różnorodnych organizacji ratowniczych spowodowała niestety, że niektórzy wygnańcy przyjęli postawę żebracza i próżniacką. *„Woleli żyć mizernie po przytuliskach z nędznego zasiłku pieniężnego niż daleko dostatniej z pracy. Sprzedawali na targach wyżebraną odzież, bieliznę czy obuwie i spekulowali który to Komitet lepsze daje zapomogi”¹²⁵.*

Stosunki między miejscowymi a wygnańcami początkowo były dobre, chłopci dzielili się z przybyszami tym, co mieli. W miarę pogarszania się warunków życia, a szczególnie w 1917 r. relacje te uległy znacznemu ochłodzeniu.

Ziemiaństwo, a szczególnie arystokracja dzięki rozlicznym powiązaniom rodzinnym i towarzyskim znajdowała bezpieczną przystań w kresowych majątkach rozsianych na terenie dawnej Polski. Tak było między innymi w Rudakowie Heleny z Oskierków Wańkowiczowej na Polesiu. A. Rostworowski zauważa: *„Rudaków powoli zmieniał swoje oblicze. Przebywała tam już ciocia Maniusia Mineykowa z dziećmi: Tomem, Lechem, Hanią i Broniem i dość dużym taborem. Przyjechały: pani Czachórska, żona malarza i pani Węgleńska z dwoma córkami. [...] Jakoś wszyscy się mieścili, do stołu siadało ponad 30 osób. Inni uciekinierzy bawili dwa-trzy dni i jechali dalej w poszukiwaniu azylu. Powodowało to, że spokojny i godny dwór kipiał gwarem i życiem.”*

Domy arystokracji na wschodzie gościły nie tylko krewnych, powinowatych czy znajomych gospodarzy ale także były otwarte dla pracowników z majątków, sierot czy rannych, dla których urządzano izby szpitalne. Janina Zofia Potocka z Potockich wspomina *„Rzepichów z 30 lipca (12 sierpnia – starego stylu) 1915 r. [...] W poniedziałek przed południem przyjechał Adzio Wielopolski, Adaś i Tomaszowie Zamojscy z Frydą. Adaś (zięć autorki) znalazł ich na dworcu w Baranowiczach, każdy z torebką*

¹²⁴ Andrzej Rostworowski – *Ziemia której już nie zobaczysz, wspomnienia kresowe*, Czytelnik, Warszawa 2015.

¹²⁵ Roman Dyboski – *Siedem lat w Rosji i na Syberii 1915-1921*, opr. Tomasz Bohun, Warszawa 2007.

w ręku – wszystko co zdążyli zabrać z Jabłonia¹²⁶ – i przywiózł ich tutaj gdzie w Krzywoszynie¹²⁷, w zarządzie schroniła się była Wojtkowa Wielopolska z czworgiem dzieci, najmłodsze miało zaledwie cztery tygodnie. [...] Uciekinierów z Welin¹²⁸, z Podzamcza¹²⁹, z Rudki każdego dnia więcej. Formalnie nie ma już gdzie ich umieścić. Przez parę dni kilka rodzin chroniło się w kurniakach. Ochronkę – dwie ochraniarki i dwadzieścioro dzieci – rozlokowano trochę wszędzie, siedmiu większych malców wzięto do dworu, niektóre kobiety też. [...] Mińkowicze¹³⁰ zniszczone zupełnie. Zdziś Zamojski nie może się pocieszyć, że tam nie został. Wciąż o tym mówi z rosnącą rozpaczą.”

Również w Nieświeżu dom był przepełniony gośćmi – tułaczami z bliższej i dalszej rodziny będącymi w potrzebie. W olbrzymim zamku było już tak ciasno, że dużą salę przedzielono kotarami na cztery spore pokoje. Jedna część skrzydła zamku z osobnym wejściem były oddana na szpital. W zamku przebywali: Różia Czetwiertyńska z pięciorgiem dzieci, Dolly Stasiowa Radziwiłłowa z córką, Dorota Abowa, Dominikowie Radziwiłłowie, Konstanty Radziwiłł (brat Dominika), Wanda Dzieduszycka z mężem i czworgiem dzieci, Franciszkowie Potoccy z czworgiem dzieci, czwórka synów Macieja Radziwiłła z guwernerem i drugim wychowawcą i inni. Stół jadalny dzieci z bonami i nauczycielami mieścił czterdzieści kilka osób – dorośli jadal przy osobnym stole w galerii obrazów. „Nieśwież przez kilka początkowych miesięcy wojny stał się tym, czym właściwie każda ordynacja w myśl fundatora być powinna dla całej rodziny: ostoją i pomocą. Gorące serce Bichetty owiało ten przytułek tak miłą i wesołą gościnnością, że nikt nie czuł się de trop (nieproszony) – każdy gość oczywiście płacił za swoje utrzymanie, lecz to były śmieszne sumy i jeszcze Bichetta nas przeproszała mówiąc, że to konieczne, ale tak bardzo dla niej nieprzyjemne.”¹³¹.

Rodzina Heleny z Zanów Stankiewiczowej – właścicieli Poniemunia na Litwie dostała się do Marimpola w gub. smoleńskiej. Tam spędzili

¹²⁶ Jabłoń – pow. parczewski, woj. lubelskie; własność Zamojskich, z wybuchem wojny zostali wysiedleni, wrócili dopiero w 1921 r.

¹²⁷ Krzywoszyn – pow. Baranowski, woj. nowogródzkie

¹²⁸ Weliny – właściwie Wyliny Ruś, pow. Wysokomazowiecki, woj. podlaskie

¹²⁹ Podzamcze – pow. Garwoliński, woj. mazowieckie

¹³⁰ Mińkowicze – pow. brzeski, rejon kamieniecki daw. gub. grodzieńska

¹³¹ Maria Małgorzata z Radziwiłłów Franciszkowa Potocka – *Z moich wspomnień*, Wyd. LTW, Łomianki 2010.

trzy lata. Ojciec pracował jako buchalter, a matka z towarzyszymi podróży zawiązała spółkę. Kupili dwupiętrowy drewniany dom i wiedząc, że miejscowi po zabiciu świni nie wykorzystują flaków; nie robią kielbas, a mięso tylko solą, założyli wytwórnię wędlin litewskich i wędzarnię. Wszystkie kobiety pracowały – ćwiartowały świnię, mięso przerabiała na wędliny. Spółdzielnia ta przynosiła spore dochody i działała dopóki była możliwość zdobycia mięsa.

Spokrewnione rodziny Jaczynowskich z Jancewicz i Rothów z Wierzchowic w guberni grodzieńskiej wspólnym taborem wędrowały na wschód, dotarły pod Bobrujsk na Mohylewsczyźnie. Tam znaleźli schronienie w olbrzymim dworze Grudinówka hrabiny Tołstoj (z rodziny Lwa Tołstoja). Przetrwali całą wojnę wracając 1918 r. wraz z całym ewakuowanym dobytkiem i inwentarzem. Maria Roth i Romuald Jaczynowski często stamtąd wyjeżdżali na dłuższe pobyty w Petersburgu w sprawie odszkodowań. Dzięki tym wyjazdom i znajomościom załatwili sobie duże sumy za zarodowe bydło, konie, trzodę, owce, za zniszczone urządzenia gorzelnii, krescencję (plony rolne z jednego roku), sady, młockarnie itp. – w sumie kilkaset tysięcy rubli. Wzięli też pożyczkę z CKO. Było z czego czerpać na przetrwanie wojny i odbudowanie zniszczonych majątków. Część z tych pieniędzy przepadła w czasie rewolucji, kiedy banki przestały wypłacać wkłady.

Helena z Jaczynowskich Roth, synowa Marii i bratanica Romualda, po wyjeździe z Jaczynowa przez pewien czas przebywała w Charkowie u wuja Karola Bortnowskiego, zamożnego dyrektora syndykatu górniczego, po czym aż do kwietnia 1918 r. mieszkała w Krasnowodzku nad Morzem Kaspijskim przy mężu, praporszczyku powołanym do armii rosyjskiej. Rzeczy zabrane z domu (meble, fortepian, futra, strzelby, kufry, kandelabry, dywany, wyprawę ślubną) umieściła w wynajętym składzie w spółdzielni tragarzy. Rzeczy te były ubezpieczone, strzeżone i w nienaruszonym stanie przeleżały do jesieni 1918 r. aby podczas przewożenia ich z powrotem do domu spłonąć doszczętnie.

Władysław Glinka z synami Janem i Stefanem oraz córką Madlenką, osiadł w Mińsku. W mieście usadowiło się dużo ziemiaństwa, arystokracji między innymi hr. Józef Jezierski z Pobikrów, księstwo Mirscy i wielu innych zwłaszcza z Łomżyńskiego – liczyli, że szybko dostaną się pod panowanie niemieckie i będą mogli wrócić do domu. Nagro-

madzenie ludzi i stacjonujące wojsko wywołało braki w zaopatrzeniu. Bardzo trudno było o niezbędne produkty, zwłaszcza o chleb, cukier, kartofle, drewno, mąkę, kasze, świece. Z tego powodu zamykane były cukiernie i restauracje.

Nr kijew- skimi kto	Data wpłace- nia w wielkości	Imię i nazwisko Adres		Miejsce zamieszkania	Suma rub kop	
		Miejsc.	Przebieżenie		rub	kop
107	24	Bronisław	Pruchowski	m. Pongraczy g. komienicka	165	-
108	30	Jadwiga	Chmielecka	Warszawa	180	-
185		Romuald	Jacynowski	Łuceniec p. Biebrze	105	-
186		Marya	Rothowa	Łuceniec p. Biebrze	200	-
150		Antoni	Suszkowski	gub. wołkiewska	100	-
					160	-
					<u>2810</u>	-

Pełnomocnik Specjalny
C. K. P. na rejon Północno-Zachodni

Fragment listy osób pobierających pożyczkę wydaną przez [Zarząd Rejonu Północno Zachodniego w kwietniu 1916 r.]. Na liście m. in. Maria Roth i Romuald Jacynowski.

Szesnastoletnia Madlenka Glinkówna zaangażowała się w akcję pomocową. Początkowo z bratem Stefanem rozdawała obiady wygnańcom, a później uczyła w szkołach CKO. Najstarszy 25-letni Jan nie tylko zajmował się służbą i inwentarzem z Suska, ale również był we władzach CKO. W wyniku jego działania dla siedmiu rodzin służby i 8 koni pod przewodnictwem fornała znalazło się miejsce w Birczy w majątku Bronisława Wańkowicza w pow. Bobrujskim. Reszta została wyprawiona do Białej Cerkwi do majątku hr. Branickiej. Wszyscy mieli zapewniony dach, zarobek i utrzymanie dla koni.

Glinkowie listownie rozstrzygali zdarzające się spory. 7 marca 1916. Władysław Glinka wspomina: „Złe mam wiadomości z Białej cerkwi, gdzie umieszczona jest, prócz kilku rodzin pozostałych w Mińszczyźnie, cała nasza służba. W rejonie kijowskim CKO mało jest wygnańców, a dużo pieniędzy. Komitet więc obdarza ludzi tak sownie, że ci nic sobie nie robią ze swych

chlebodawców.[...] Ludzie nasi z początku zgodni, kłócą się teraz między sobą, widocznie wygnaniem zdemoralizowani. Kilka koni w drodze padło, temi które zostały wszyscy nasi ludzie wrócić do kraju nie mogliby, a że im się zdaje, że lada dzień wypadnie im siadać na fury i do Suska jechać, wydzierają sobie literalnie jeden drugiemu konie i wozy. Zасыpują mnie listami i skargami w tej sprawie”¹³².

Do Białej Cerkwi hr. Branickiej dotarła również uboga rodzina Klementyny i Ludwika Adamiaków z Siedlisk pod Fajslawicami. Mężczyźni z tej rodziny pracowali zimą w lesie, a latem w polu. Kobiety w domu, we dworze lub u sąsiadów. Miejscowi traktowali ich życzliwie, ze współczuciem. Pomagali, a czasem dyskretnie podrzucali coś do jedzenia. Do Rosji wyruszyło trzynastu członków rodziny. Dwa miesiące jechali jednym wozem z uwiązaną z tyłu krową. Trudy tułaczki i epidemie sprawiły, że siódemka z nich zmarła. Już na początku drogi ubyło dwoje dzieci Ludwika - 4-letni Antoś i 6-letni Stefan. Na miejscu zmarła, urodzona w Rosji dwutygodniowa Stefania. Śmierć zabrała również czwórkę rodzeństwa Ludwika - Grzegorza, Kasię, Józefa i Zofię. Dwudziestosześcioletnia Zofia zostawiła męża Kazimierza Stykę i synka Michałka. Synek ten cudem przeżył, mimo, że ssał pierś chorej na tyfus matki nawet po jej śmierci. Pozwolono na to w atmosferze rozpaczki i bezradności co zrobić z oseskiem, czym go karmić gdy zabrakło matczynego mleka. Ignacy, senior rodziny, ojciec Ludwika odszedł w drodze powrotnej. Wszyscy oni chorowali i zmarli na choroby zakaźne: tyfus, czerwonkę, ospę, hiszpankę i inne ¹³³.

Władysława Glinkę pochłaniały sprawy społeczne. Zajął się opieką nad oborami zarodowymi ewakuowanymi z Królestwa. Założył na terenie Rosji Komisję Hodowlaną, której zadaniem było nadzorowanie hodowli bydła zarodowego z Królestwa rozproszonego po Rosji. Spisywali ocalony materiał, ustalali pochodzenie, licencjonowali, wydawali świadectwa i zapisywali przychówek. Siedzibą Komisji Hodowlanej został Rosław i w związku z tym tam przenieśli się Władysław z Janem. Komisja zapewniała utrzymanie inwentarza, na koszt właści-

¹³² Władysław Glinka - *Pamiętnik wielkiej wojny. Na wygnaniu*, t. 3 i 4, Skł. Gł. Gebethner i Wolff, Warszawa 1927-1928.

¹³³ Dzieje rodziny Ludwika i Klementyny Adamiaków od ucieczki na wschód do końca II wojny światowej spisane przez ich wnuczkę Anielę Matraszek; Fajslawice 24.pl

ciela – ci mogli płacić gotówką lub zobowiązaniami płatnymi po wojnie. Organizatorzy starali się uzyskać kredyty w różnych instytucjach rosyjskich. Kiedy udało się pozyskać pożyczkę 400 tys. z rosyjskiego Ministerstwa Rolnictwa, zaczęto skupywać bydło rasowe dla Królestwa.

Jak wspominał Glinka: *„Nie mam żadnych ambicji politycznych natomiast marzę o tem, aby po wojnie powrócić do Polski, wyniszczonej ze wszystkiego prowadząc za sobą wielotysięczną gromadę tak potrzebnego tam inwentarza. Będę mógł sobie wówczas naprawdę powiedzieć, że się na końcu życia przysłużył Ojczyźnie.”*[...].

W styczniu 1917 r. pisał – Komisja nabyła 28 obór (1006 szt.) i 2 owczarnie (871 szt.) ewakuowane z Królestwa (z prawem odkupienia ich przez właścicieli) oraz 883 sztuk bydła z Rosji. Pod opieką Komisji było jeszcze 6 obór liczących 314 sztuk bydła. Zwierzęta te rozmieszczone zostały po różnych majątkach ziemskich. W początkach działalności wszystko układało się pomyślnie, natomiast po wybuchu rewolucji zaczęły się kłopoty – bydło trzeba było ciągle przenosić gdyż właściciele ziemscy nie mieli dla nich paszy – chłopci zgarnęli dla siebie łąki, pastwiska, a w wielu miejscach i pola orne. Początkowo bydła nie ruszali, ale w listopadzie 1917 r. zaczął się rabunek.

Swoją oborę (56 szt.) Glinka zdążył sprzedać w marcu 1917 r. za 50 000 rubli. Wcześniej narzekał, że utrzymanie kosztuje go bardzo drogo. We wrześniu 1916 r. dostał nominację na członka Komitetu Pożyczkowego na gubernię Warszawską i Łomżyńską, który mieścił się w Moskwie. Tam też przeniósł Komisję Hodowlaną i tam zamieszkał; przeżył rewolucje lutową, październikową i równorzędnie z pracą społeczną zajął się polityką. Utrzymywał kontakty z najwyższymi sferami polskiej emigracji. Córka Magdalena początkowo poświęciła się organizacji szkoły ochraniarek w Kozłówkę, polskiej kolonii, pod Rosławiem, a po jej zlikwidowaniu uczyła przedmiotów ogólnokształcących w pobliskich Nowosiólkach. Tam bratanica późniejszego prezydenta – Zofia Narutowiczówna prowadziła Szkołę Rzemiosł CKO. Uczęszczało do niej około 120 uczennic; oprócz przedmiotów ogólnokształcących dziewczęta uczyły się szycia, tkactwa artystycznego, pończosznictwa, koronkarstwa, hafciarstwa, a nawet kwiaciarnictwa i intrologatorstwa.

W kwietniu 1917 r. Magdalena wyszła za mąż za Stefana Skarżyńskiego, a w parę miesięcy później 29 lipca 1917 r. zmarła podczas rekonwalescencji po operacji ślepej kiszki.

Bracia Lutosławscy przebywając w Rosji nie zaprzestali działalności społecznej i politycznej, w której szczególnie wyróżniali się Marian, Kazimierz i Józef, członkowie CKO; Józef był jej szefem w Riazaniu. W 1917 r. weszli w skład Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego. Prezesem Rady był późniejszy prezydent Stanisław Wojciechowski.

Głośnym osiągnięciem Mariana było zdobycie i upublicznienie treści traktatu brzeskiego – porozumienia pokojowego między Niemcami, a bolszewicką Rosją, zawartego w marcu 1918 r. Traktat ten oburzył Polaków m.in. przez przyznanie Chełmszczyzny Ukrainskiej Republice Ludowej. W kwietniu 1918 r. czekiści dokonali rewizji w moskiewskim mieszkaniu Lutosławskich. Znaleźli odpis tego tajnego traktatu, co było wystarczającym powodem, by aresztować braci Mariana i Józefa. Sprawy wojskowe w Radzie Polskiej przejął po nich trzeci brat ks. Kazimierz, który musiał się ukrywać. Bracia widywali się dzięki przekupywaniu strażników. Zorganizowano plan ucieczki. Ostatecznie jednak zrezygnowano z niego, uznając go za ryzykowny, a także wierząc, że po procesie bracia wyjdą na wolność. Pomylili się. 4 września Marian i Józef Lutosławscy wraz z grupą kilkudziesięciu więźniów zostali przetransportowani do jednej z podmoskiewskich wsi i tam 5 września 1918 r. rozstrzelani.

„Przywiezieni pod konwojem, ustawieni na specjalnie ogrodzonym placu, oczekują wobec nielicznie zgromadzonej publiczności swojej kolejki” – relacjonował na podstawie doniesień moskiewskiej prasy Jerzy Osmałowski. *„Czekista wywołuje kolejno skazańców, prezentując publicznie byłych dostojników z charakterystyką działalności, z tłumy padają okrzyki nienawiści, połajanki – wywołany przechodzi kilka kroków dalej i pada zastrzelony nad wykopanym dołem”*. Ciała rozstrzelanych nie zostały wydane rodzinie. Miejsca pochówków także nie są znane.

W chwili śmierci Józef osierocił trzech synów (w tym 5-letniego Witolda), a Marian czwórkę dzieci. W moskiewskim więzieniu na Butyrkach na kilka miesięcy przed rozstrzelaniem Józef napisał obszerny esej *Chleb i Ojczyzna*, wydany w Warszawie w 1919 roku.

W zimie 1915/16 przebywającą w Mińsku dwudziestodwuletnią Marię Czapską i jej siostrę pochłaniały prace Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. Dzięki znacznym funduszom państwowym otworzono darmowe kuchnie, żłobki, szkoły warsztaty, szwalnie, zorganizowano pomoc odzieżową. Siostry Czapskie prowadziły rejestrację i kartotekę. W dużej sali Towarzystwa Rolniczego zbierał się tłum potrzebujących, przeważnie uchodźców, należało każdego wysłuchać spisać personalia, skład rodziny, najpilniejsze potrzeby, a następnie sprawdzić osobiście te dane. Do dyspozycji dostały jednokonne sanie oraz furmana.

Maria pisała: „*Ileż było tych bezimiennych pierieutków (ros. zaułków) do odszukania na dalekich przedmieściach, zarosłych sadami, w głębokim śniegu, aby obejrzyć podobne w swoim opustoszeniu izby i legowiska na słomie, sprawdzić stan liczebności rodziny, braki w odzieży, obuwiu, okryciu.*”

W 1917 r. przebywając już w rodzinnym majątku Przyłuki, mając nadzieję na koniec wojny z radością powitała rewolucję lutową i obalenie caratu. Opiekowała się uciekinierami – znajomymi i rodziną; między innymi miała pieczę nad Kazimierą Iłakiewiczówną¹³⁴ spowinowacaną z nią przez Platerów. Iła poszła na wojnę jako siostra miłosierdzia polskiej czołówki Wszechrosyjskiego Związku Ziemskiego, spała w ziemiankach, w zapchlonych chałupach, a w końcu ledwo żywa, chora na dyzenterię wylądowała w mińskim szpitalu wojskowym. Była ostrzyżona na zero, bardzo wymizerowana, wyglądała na młodego żołnierzyka. „*Wśród tych pochodów, klęsk i trupów zupełnie zgubiłam siebie*” – pisała po latach. Umieszczono ją w cholerycznym baraku i Maria zabiegała aby ją stamtąd wyciągnąć. Udało się to w przeddzień ewakuacji szpitala do Kazania. Umieszczono ją w Piotrowszczyźnie¹³⁵ pod opieką Eli Rostworowskiej z Plater-Zyberków. Rekonwalescencję odbywała między innymi w Petersburgu. Mieszkała tam w mieszkaniu sławnego skrzypka Pawła Kochańskiego.

Po latach, po jego śmierci w 1934 r. napisała wiersz – *Prosty wiersz o Pawle Kochańskim*:

¹³⁴ Kazimiera Iłakiewiczówna, wnuczka Tomasza Zana, poetka, w czasie I wojny światowej od stycznia 1915 do stycznia 1917 r. była siostrą miłosierdzia.

¹³⁵ Piotrowszczyzna – wieś w obwodzie mińskim w rejonie mołodeczkańskim. Elżbieta Rostworowska – żona Wojciecha, polskiego ziemianina, prawnika, pisarza, senatora, członka Rady Stanu w 1918 r.

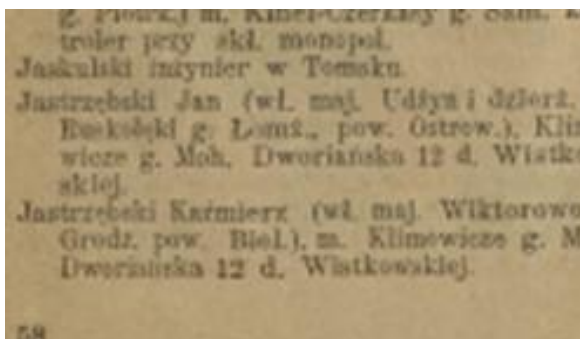
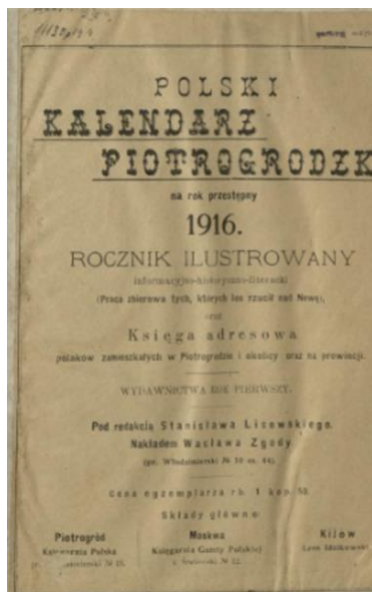
*„Czy pamiętasz jak całą zimę trwał mróz trzydzieści stopni,
a ja miałam tylko palto gumowe, dokąd śnieg – aż w czerwcu stopniał.
Kto chodził po miejscowych bogaczach? Ty chodziłeś, a z tobą Zosia,
żeby dla mnie z zimna ginącej przynajmniej palto wyprosić.
Pod kurtką od odznaczeń brzęczącą nosiłam gruźlicę z ziemianek.
Co dzień przywalał mnie grozą bezlitośnie wstający ranek:
jadało się fusy z kminem, zbierało się z kartofli obierki...
Od Pawła przylatywały kartki na wszystkie koncerty.
Łachman się ze mnie sypał przy każdym niebacznym ruchu,
mile całe peźtło się z wolna, trzymając się tylko duchem...”*

Rodzina Zofii i Kazimierza Jastrzębskich (dla przypomnienia dziadków autorki) dojechała na rozstaje dróg Klimowicze-Rosław w guberni mohylewskiej i po radzie z Wnorowskimi zdecydowała, że dalej w głąb Rosji nie jadą.

Antoni pojechał sam, zobaczyć jak wyglądają Klimowicze¹³⁶.
*„Zajechałem tam, mała miścina, rynek nie brukowany, tylko zwykły piach,
ludzi mało, trochę Żydów. Wynająłem cały domek od jakiejś byłej Polki Wistkowskiej. Pół wynajętego domu zajęli Wnorowscy, a pół my. Wynająłem też stajnie dla koni. Wróciłem na rozstaje do oczekujących na wozach i osiedliliśmy w tych Klimowiczach. Zaraz na drugi dzień poszedłem do tzw. przedwoditiela dworanstwa (Marszałka Szlachty) o nazwisku Buhman”¹³⁷.*

¹³⁶ Klimowicze – miasteczko powiatowe nad rzeką Kalinicą, 124 km na zachód od Mohylewa, wg Słownika Królestwa Polskiego [t. IV, str. 152] dość ubogie, ok. 2800 mieszkańców, stację pocztową, 81 sklepów, 438 domów, 2 cerkwie, 2 synagogi. Parafia katolicka w Łozowscy, powiat słabo zaludniony, biedny – grunty błotniste lub żwirowate, rozległe lasy. W 1910 r. było tam prywatne progimnazjum 4-klasowe (przełożona Olga Kisielowa). Rejon Klimowicz bardzo ucierpiał podczas katastrofy w Czarnobyliu.

¹³⁷ Marszałkowie powiatowi przewodniczyli sejmikom powiatowym, prowadzili księgi genealogiczne, czuwali nad trybem życia osób stanu szlacheckiego, aby nie odbiegał od przyjętych norm; w praktyce ograniczało się to do wydawania stosownych oświadczeń dla urzędów wojсковych i gubernialnych.



Fragment Księgi adresowej z Kalendarza Piotrogrodzkiego

Mówiłem po rosyjsku bardzo kiepsko, tyle co ze szkoły, a miałem ze sobą tylko legitymację szkolną z fotografią. To nie była legitymacja ze szkoły Rontalera ale z kursów Przemysłowo-Rolniczych Pomorskiego (SGGW), na której byłem w mundurze, gdzie były guziki rolnicze z sierpem i kosą. W legitymacji było napisane, po polsku i po rosyjsku, że jestem studentem drugiego półrocza tych kursów. Gdy on to zobaczył kazał mi się zameldować na drugi dzień u siebie. Przeszedłem do niego i on zaproponował mi pracę pomocnika powiatowego agronoma. Bardzo ucieszyłem się, bo pensja była około 50 rubli na miesiąc. I od razu objąłem to stanowisko, zacząłem naprawdę uczyć się języka rosyjskiego. Agronomem powiatowym był pan Jaskolt, który był, jak sam mówił, iz polaków (z polaków).

Siostra babci Aleksandra Gostkowska dnia 21 marca 1916 r. dostała zapomogę bezzwrotną w wysokości 100 rubli. Dla porównania – wynajęcie pięciopokojowego mieszkania w Mińsku kosztowało 35 rubli. miesięcznie, funt (0,5 kg) masła 1,5 rubli, para butów z cholewami 40- 60 rubli, a inspektor Komisji Hodowlanej w Rosławie zarabiał miesięcznie ok. 125 rubli; pensja pisarza gminnego w Kongresówce 75 rubli.

21	Gonciarz Łojcy	określenie konia	8 1/2	160	—	4	Smiaż Pasiecki pow. Tomaszowski guc. chełmski	Postaw
22	Gotkowska Aleksandra	100	3 1/2	160	3.	1.	Lemna	Klimowice
23	Grochowski Wincenty	100	3 1/2	160	3.	4.	Cyżowski panich	
24	Grabowska Blanche po Janie.	120	2 1/2	170	3.	4.	Warsawa	Serecewice

Fragment listy osób, które otrzymały zapomogę bezzwrotną

65	23	Jankowska Lenosja	160	80	80	
66	127	Jankowski Bolesław	150	50	50	50
67	244	Janowski Marjan	300	300		
68	24	Jastrzębski Kazimierz				
69	131	Jastrzębski Kazimierz	300	120	120	120

Fragment listy osób, które otrzymały pożyczki żywnościowe
w ZG CKO od stycznia 1916 r. do lipca 1917 r.;
.; widnieje na niej Kazimierz Jastrzębski - dziadek autorki

Ciąg dalszy wspomnień ojca: „Pracowałem z nim miesiąc, bo zabrali go do wojska. I tak po miesiącu, w wieku 19 lat zostałem powiatowym agronome¹³⁸. Miałem pod sobą dwie stacje wdzierżawiania maszyn rolniczych. Jedna była w miasteczku Kościuszkowice, a gdzie druga, nie pamiętam. Tam z maszyn były żniwiarki, kosiarki, grabiarki, pługi dwuskbowe, kultywatory. To wynajmowało się chłopom za pewną określoną sumę pieniędzy. Oprócz tego miałem pod sobą dwa punkty ogierów. Na każdym punkcie było sześć ogierów. Dwa ciężkie, ale na tyle lekkie, że mogły kryć małe chłopskie koniki. Dwa ciężkie ogiery gruzowiki-ciężarowe do ciężkich towarów i dwa półtrycaki, tzn. coś w rodzaju bryczkowych koni – lekkie. Oprócz tego do moich obowiązków należał skup owsa i mąki żytniej na dostawy dla wojska. Z tej mąki od razu piekli chleb, a owies był dla koni.

¹³⁸ W czasie pobytu w Rosji – Kazimierz i Tadeusz uczyli się w gimnazjum. Tadeusz w latach 1915–1917. Stefan również chodził do szkoły i jak wspomina miał kłopoty z rosyjską ortografią.

Wtenczas tzw. stawka wierchowo gołowno komandiryszczewo Nikołaja Nikołajewicza, tj. główne dowództwo armii carskiej było w Mohylowie, bo to już był prawie przygraniczny front. I tak pracowałem jako ten agronom chyba nie dłużej jak pół roku. Później przyjechali do Klimowicz Jastrzębscy z Udrzyna. Była tam ciotka Amelia, tam umarł ich syn Edek. Piotrek trochę zarabiał naszą bryczką. W Klimowiczach z jednym wysiedleńcem, który nazywał się chyba Piotrowski otworzyliśmy sklepik skupu zboża od miejscowych chłopów. W Klimowiczach było już paru Żydów, którzy handlowali zbożem. Wagi u nich to były wielkie szalki, na których mógł być położony worek i były wielkie wyważone kamienie, na których było napisane 1 pud, 2 pudy itd. Każdy chłop miał swojego żyda i swój kamień, bo wierzył że ten kamień tyle waży ile jest napisane. A my mieliśmy wagę dziesiętną i początkowo nikt nie chciał nam sprzedać zboża. Mówił jak to taki mały odważnik i on tyle waży? Także nie szło to dobrze, ale zawsze coś się zarobiło. Jakem poszedł do wojska to Piotrowski sam to prowadził”.

Z polskiej kolonii był tam lekarz weterynarii pan Bzura, który miał dwie czy trzy córki, Wnorowscy. Tadeusz i Stefan chodzili trochę do szkoły, a Kazik do gimnazjum¹³⁹. Najbliższy kościół był 52 km od Klimowicz w Łozowicy. Do tego kościoła jechaliśmy w sobotę po południu i nocowaliśmy u księdza na plebanii lub na podwórzu. Cała polska kolonia z okolicy tam się spotykała i tam mieliśmy życie polskie. Miejscowi chłopci, często nie mówili po polsku, ale byli katolikami. Niektórzy z nich pokazywali szlacheckie papiery nadawcze od starych polskich królów. Byli już zruszczeni, nie mówili po polsku ale w kufrach mieli te polskie dokumenty. Mohylewszczyzna to przecież była kiedyś Polska. Tam na organach zawsze grał i śpiewał późniejszy adwokat z Białegostoku – Łazuka. Pięknie grał i śpiewał. W okolicy było dużo Polaków. Do kościoła nie jeździło się w każdą niedzielę, tylko w co drugą. Wymienialiśmy się raz jeden nas wiozł a raz drugi, aby nie zawsze te same konie chodziły. Bo to jednak tam i z powrotem było ponad 100 km.

Jakem mówił do moich obowiązków, jako agronoma powiatowego był skup mąki i owsa dla wojska. Zimą to się jeździło na rozstajnych saniach, tzn. droga od wsi do wsi była zaznaczona gdzieniegdzie powsadzonymi ścietymi sosnami. Były straszne śniegi i trudno było trafić. Jeździłem jako urzędnik saniami

¹³⁹ Stefan wspomina, że miał kłopoty z ortografią rosyjską i źle mu szła nauka, a Tadeusz był zadowolony z poziomu szkoły. Wspomina, że chodzili w mundurkach i że występował tam w szkolnym teatrze.

z dzwonkiem, takie sanki z dzwonkiem oznaczały, że jedzie urzędowa osoba i wtedy chłopci którzy jechali naprzeciwko musieli zjechać na bok i stać. Drogi były bardzo wąskie, więc aby opuścić drogę chłop musiał wleźć w śnieg a było to bardzo trudne. Były jednak takie szersze miejsca, na których ten chłop czekał aż urzędnik przejedzie.

Stacja od stacji była oddalona o 30 km i jak się dojeżdżało do stacji, to często wypito się tylko szklanek herbaty i przeprzęgano konie i nawet z sań się nie wysiadało. Ja miałem wtedy stare ojca futro z szopów i w nim jeździłem. Nogi okręcało się kozuchem naturalnie w walonkach. Chcąc, aby furman lepiej jechał od czasu do czasu dawało mu się kieliszek czy szklanek wódki, którą zawsze miałem ze sobą. Były wyznaczone punkty, gdzie chłopci czekali, czasem po dwa dni, aby przyjąć od nich owies czy mąkę. I ja to przyjmowałem. Furmanami przeważnie były dziewczyny, bo chłopci byli na froncie albo w domu. Taka dziewczyna miała pod sobą pięć albo sześć sań, każde zaprzęgnięte w jednego konia i na każdych saniach maksimum 4 worki. Konie nie były wiązane jedno do drugich. Dziewczyna jechała tylko na pierwszych saniach, a następne konie jechały za nią, jak psy. Nie dały się odgonić od poprzednich sani i tak jechały jeden za drugim. Mowoy nie było żeby skrócić w prawo lub lewo, jak sanie z dziewczyną skręcały w prawo to one też. Każdy chłop dostawał kwit ile worków zdał a po zwiezieniu składało się to w magazynach. Armia brała to potem do magazynów wojskowych.

Ojciec w tym czasie wziął w dzierżawę mały folwark pod Klimowiczami – Żydowa Buda. Ojciec dał 2 pary koni i Piotrek z kimś innym to uprawiali."



Resztki kościoła w Łozowscy

Jak wynika z dokumentów w AAN – w Klimowiczach, oprócz dziadków autorki i ich kuzynostwa Amelii i Jana Jastrzębskich z Udrzyna znaleźli się m. in.:

- Aleksander Skarzyński po Wincentym; Skarzyn pow. ostrowski – 8 osób,
- Ignacy Bzura; Sochaczew gub. warszawska – 4 osoby,
- Jan Gutowski syn Franciszka; Pstrągi gub. łomżyńska – 10 osób,
- Konstanty Turowski syn Mateusza; Muchówek pow. przasnyski – 6 osób,
- Józef Wnorowski; Józefin gub. grodzieńska – 9 osób,
- Ewa Piotrowska siostra obywatela ziemskiego z Chmielowa gub. łomżyńska,
- Konstancja Bogucka z Ostrołęki,
- Maria Godzińska po Stanisławie, szwaczka z Horodyszcz pow. włodawski.

Wygnańców obejmował obowiązek wojskowy, ale zwykle starano się uniknąć służby wojskowej. O przedsięwziętych sposobach pisał Ryszard Wójtowicz:

„W powiecie Rostawskim powołanie do wojska mężczyzn zdolnych do pracy, grozi im i ich rodzinom ruiną. Pomoc ze strony Komitetu zmniejsza się ciągle z powodu znacznego uszczuplenia funduszy dawanych przez rząd. [...] Chłop polski rozumie, iż nie może zostawić najbliższych na pastwę losu, broni się więc rozpaczliwie. Władze orientują się w sytuacji i urządzają obławy nocne. Strażnicy wpadają do pierwszej z brzegu izby, aresztują obecnych mężczyzn; lecz natychmiast zawiadamia się sąsiadów o tem, co się dzieje, wieść o rewizji rozchodzi się lotem błyskawicy- wnet wszyscy kryją się w lesie. Na zapytanie gdzie są mężczyźni, kobiety odpowiadają, iż udali się na parotygodniową robotę przy naprawianiu szos, lub zajęci są rąbaniem drzewa. Kilka tygodni jest spokój, a potem jakoś tam będzie. Bywają wypadki, iż wygnańcy opłacali miejscowych strażników. [...]

Opowiadano mi w Kurhaniu „ja panie – mówił gospodarz, wygnaniec przodownik urządzam się w sposób następujący: noszę w paszporcie dziesięciuroblówkę, spotykam naszego strażnika – „pora wam gotowit sia na służbu” – powiada. Niechno naczelnik zobaczy, mówię wyjmując paszport, otwierając w miejscu, gdzie leży papierek 10-rublowy, podsuwam go do ręki naczelnika. „Da jeszcze pora, wproczem posmotrim” – znów spokój zapewniony na tydzień lub więcej”¹⁴⁰.

Sposobem ziemian na uniknięcie grożącej im służby było wstępowanie do rozlicznych organizacji pomocniczych, czyli tak zwanych Ziemgusarów (ziemskich huzarów), tzn. przedsiębiorstw paramilitar-

¹⁴⁰ Ryszard Marian Wójtowicz – *Spółeczna praca ludowa w czasie wojny; pamiętnik instruktora opieki nad wygnańcami CKO, pisany na tułaczce w Rosji w latach 1915–1918; Warszawa 1938.*

nych pomagających armii i zwalnających ze służby wojskowej. Pracownicy CKO i studenci mieli przez pewien czas odroczoną służbę wojskową, ale na wiosnę 1916 r. wyszedł dekret o powołaniu studentów do wojska¹⁴¹ i wielu z wtedy dostało się „w kamasze”. Wszyscy starali się odwlec ten moment różnymi sposobami. Konstanty Roth z Wierzchowic powołany, nie chcąc służyć jako zwykły żołnierz zgłosił się do szkoły oficerskiej w Petersburgu. Szkołę ukończył po pół roku, jako praporszczyk, radiotelegrafista. Antoni Żabko-Potapowicz¹⁴² – syn właścicieli majątku na Mohylewuszczyźnie, początkowo by nie być wcielonym do wojska, wstąpił do Siewieropomoszczi, która między innymi dostarczała produkty dla aprowizacji armii. Później w jesieni 1916 r. pracował organizując stada bydła, które miały być skierowane do Królestwa Polskiego po jego odzyskaniu. Praca ta nie zwalniała jednak ze służby wojskowej wobec czego, aby uniknąć wcielenia do armii zapisał się do szkoły oficerskiej – Konstantynowskiej Szkoły Artylerii w Piotrogradzie. Półroczny przyspieszony kurs ukończył latem 1917 r. i został przydzielony do zapasowego dywizjonu artylerii.

Podobnie poradził sobie Antoni Jastrzębski, gdy dnia 25 kwietnia 1916 r. objął go pobór. Jak wspominał:

„Pewnego dnia pan Kopejko – sekretarz wojskowo naczelnika, bywszy, polak, doniósł mi, że żandarmi chcą mnie wziąć do wojska i poradził mi abym objął w więzieniu punkt reperacji butów dla armii, bo to chroni przed pójściem do wojska. I ja zgłosiłem się do naczelnika więzienia, on przyjął mnie [...]. Moim obowiązkiem było wydać towar, wydać surowce i przyjąć gotowe buty. Ale okazało się, że to jednak nie chroni przed wojskiem, a ja nie mogłem iść do wojska, bo na mojej głowie była cała rodzina. [...] Kiedyś wieczorem Kopejko daje mi znać, że jutro przyjdą żandarmi wziąć mnie do wojska. I ja niewiele myśląc tej samej nocy pojechałem do Moskwy, gdzie w szkole oficerskiej, tzw. Moskiewskiej Wojennej Uczeliszczce im. Aleksieja Romanowa Naslednika (Moskiewskiej Szkole Oficerskiej im. Aleksandra Romanowa Następcy), pułkownik Juszkiewicz, nasz wuj, mąż ciotki Władzi Gostkowskiej był naczelnikiem

¹⁴¹ Wiązało się to prawdopodobnie z przygotowaniem do nowej ofensywy rosyjskiej, tzw. Brusilowa, rozpoczętej 4 czerwca 1916 r.

¹⁴² Antoni Żabko-Potopowicz (1895–1980) – polski ekonomista rolnictwa, historyk gospodarczy, pionier historii leśnictwa.

kom klasow – naczelnikiem klas szkolnych.¹⁴³ Miałem tylko legitymację studenta drugiego półrocza Warszawskiej Szkoły i na jej podstawie od razu przyjęto mnie do tej szkoły. Jak dostałem papier, że jestem przyjęty od razu na drugi dzień wróciłem do Klimowicz, żeby zdać państwowe mienie, które było mi powierzone. Mienie to przyjął sekretarz, ale na krótko, bo po pewnym czasie posadę agronoma powiatowego oddali memu ojcu. Na drugi dzień przyszli żandarmi aresztować mnie i wziąć do wojska, ale jak pokazałem im papier ze szkoły oficerskiej, to zaszalutowali i odeszli.”

Aliksiejewska Moskiewska Szkoła Wojskowa powstała w 1864 r. jako junkierska szkoła piechoty. W 1897 r. przemianowano ją w Moskiewską Szkołę Wojenną. Jej siedzibą były tzw. Czerwone Koszary, dawny pałac Katarzyny.

Antoni stawiał się w tym gmachu 1 maja 1916 r. razem z gromadą podobnych mu ochotników. Słuchacze rosyjskich szkół oficerskich nosili wywodzący się z niemieckiej tradycji militarnej stopień junkra. Jak wspomina:

„Jakem wrócił do Moskwy poprosili nas do wielkiej ujeżdżalni, która kiedyś była do trenowania koni i tam nas wszystkich przyszłych oficerów zgrupowali. Naturalnie nikogo nie znałem. W pewnym momencie widzę z daleka siwą maciejówkę, taką jakęśmy mieli w Warszawie na Kursach Rolniczych Pomorskiego, czyli z kłosem pszenicy. Przepycham się i patrzę, a to Jan Lipiński, z którym w Warszawie wyjątkowo pokłóciłem się. Na chemii miał on sąsiednie stanowisko i kiedyś myję probówkę, gdy nagle ktoś mnie odsuwa i podstawia swoją. Od tego incydentu zaczęło się, później nie rozmawialiśmy ze sobą.

¹⁴³ Drogę życiową Franciszka Juszkiewicza (1859–1926) – prześledzić można dzięki dokumentom znajdującym się w Centralnym Archiwum Wojskowym. Jak z nich wynika, ukończył 6 klas Piotrkowskiego Gimnazjum Klasycznego, a potem roczny kurs w Warszawskiej Szkole Junkierskiej. Jako oficer uczestniczył w wojnie japońskiej w 1904 r. Służył w różnych pułkach piechoty m.in. w 15 Szlisselburskim, 243 Złotousteckim, 79 Kuryńskim, 365 i 121 Pienzeńskim. Stopniowo awansował i w 1914 r. został podpułkownikiem. W 1917 r. był przedstawiony na pułkownika, ale nie dostał awansu wskutek rewolucji wybuchłej w Rosji. W listopadzie 1917 r. zaciągnął się do formowanego I Korpusu Dowbora-Muśnickiego Po demobilizacji wrócił z nim do Warszawy w czerwcu 1918 r.

Tu w Moskwie popatrzeliśmy na siebie i stwierdziliśmy, że chyba zapomnimy, co było w Warszawie i podaliśmy sobie ręce. On był dużo wyższy ode mnie, a chcieliśmy dostać się razem do jednej kompanii, więc on ze swoich butów obciął obcasy i te jego obcasy przybiliśmy do moich butów tak, że różnica się poważnie zmniejszyła i faktycznie dostaliśmy się do jednej kompanii, było nas tylko dwóch Polaków. Potem okazało się, że szefem naszej kompanii jest Stanisław Kosacki, który po rosyjsku mówił do nas – ja sybirak, ja tożę iz polakow. Bardzo ucieszyliśmy się, bo zawsze to ktoś, kto będzie nam sprzyjał. Stosunki były dosyć ciężkie, bo bardzo słabo znaliśmy język rosyjski.

Pamiętam taki moment, że na nauce fortyfikacji wykładowca pyta mnie czto jest takoje toczka wycelowania więc ja mu odpowiadam, że toczka wycelowania gdzie a on mi mówi kak gdzie – należało powiedzieć po rosyjsku kuda... Z innych przedmiotów było lepiej bo wykładowcami byli Rosjanie, którzy kiedyś byli wykładowcami w gimnazjach rosyjskich w Warszawie i trochę rozumieli po polsku.



Czerwone Koszary, siedziba Korpusu Kadetów; dawniej Pałac Katarzyny

Był taki wypadek, że jeden z tych moskali pokłócił się o coś z Jankiem Lipińskim i powiedział do niego ty polskaja swinia, a Janek dał mu w mordę i krew mu poleciała. Oparto się to o dowódcę kompanii kpt. Bielawa, który postawił tego moskala pod karabin na 4 godziny i powiedział, że nie ma prawa ubliżać nacjonalności innych narodów. Jankowi nic się nie stało.

Jeżeli chodzi o życie to trafiliśmy na Wielki Post, w Rosji był bardzo surowo obchodzony. Pierwsze ćwiczenia to były treningi na 200 km. Od razu pierwszy dzień 15 km, na drugi 20 i tak do 40 km dziennie. Uczyli nas chodzić. Jakeśmy przyszli na obiad po 25 km marszu przeważnie była zupa grzybowa i pełno białych robaków, początkowo nie jedliśmy ale na drugi dzień to robaki odkładało się na brzeg talerza, a zupę jedliśmy bo trzeba coś jeść. Niektórzy

zamykali oczy i jedli wszystko. Na drugie danie była przeważnie kasza czyczilica (soczewica) z rybą wędzoną. Kasza była bardzo smaczna i jej dużo zjadaliśmy. Potem i to się znudziło, bo zmian było mało – jedzenie postne. Naturalnie rano i wieczorem wspólna modlitwa i odśpiewanie hymnu Boże Cara Chrani” (hymn Rosji w latach 1833–1917).

Intensywna musztrówka, czyli, nauka musztry trwała przez pierwsze dwa tygodnie kursu. Junkrzy uczyli się nie tylko chodzenia na długie dystanse, ale również dość skomplikowanej w rosyjskiej armii sztuki oddawania honorów wojskowych. W ten sposób przygotowywali się do złożenia przysięgi wojskowej na wierność carowi. Antoni miał ją 22 maja 1916 r. Ceremonię żołnierskiego ślubowania poprzedzało prawosławne nabożeństwo w szkolnej cerkwi. Junkrzy innych wyznań uczestniczyli w nim w bierny sposób. Uroczystość kończyła defilada junkierskich rot przed komendą szkoły.

Życie codzienne junkrów w szkołach wojskowych toczyło się według ścisłego regulaminu. Rytm dnia wyznaczały dźwięki trąbki sygnałowej. O godzinie 6.30 pobudka, 7.15 poranna herbata, 7.45 trąbka wzywała na naukę. Do 11.15 odbywały się cztery wykłady rozdzielane dziesięciominutowymi przerwami. O godzinie 11.50 dwudziestopięciominutowa przerwa, po niej do 13.00 junkrzy jedli śniadanie w szkolnej kantynie. Od 13.15 trwały wojskowe zajęcia praktyczne, czyli ćwiczenie kroku w marszowych kolumnach, rozwijanie roty w tyralierę, szturm, posługiwanie się szablą, atak na bagnety, strzelanie itp. O 16.45 roty maszerowały na obiad. Po tym wracano do zajęć polowych lub do nauki własnej. O godzinie 20.30 podawano wieczorną herbatę a o 21 był wieczorny apel kończący pracowity dzień.

Ścisłe przestrzegano dyscypliny. Najdrobniejsze wykroczenia były surowo karane, katalog kar był bogaty. Najłagodniejsza to pozbawienie przepustki, najsurowsza zaś – umieszczenie w karcercze. Najczęściej jednak dyscyplinowano junkrów postawieniem na karnym posterunku. Kilka godzin stania na baczność z trzymanym pionowo przed sobą karabinem było nie lada wyzwaniem, ale jak pisał ojciec bardziej dokuczliwe było co innego:

„Na lato szkoła nasza została przeniesiona pod Moskwę na Chodyнку¹⁴⁴. To były drewniane koszary w lesie, w którym było bardzo dużo domków miejscowych chłopów i oni wieczorami grali i śpiewali na kryteczkach (ganeczkach). Tam nie pamiętam za jakie przestępstwo, ale dostałem 4 godziny stania na warcie. To był czas komarów i po chwili całą twarz obsiadły mi komary i pomatu ssą, a nie można się ruszyć, człowiek od zmysłów odchodził. Stałem pod oknem dowódcy kompanii, a jak on zobaczy, że się ruszysz, to na drugi dzień stanie od początku. My bardziej baliśmy się tych komarów niż samego stania”.

Odrębny cykl szkoleniowy stanowiła nauka śpiewania. Junkrowie musieli umieć śpiewać, nie tylko hymn Rosji „Boże cara chrań”, ale również wybrane pieśni marszowe. Ćwiczone je obowiązkowo podczas zajęć na placu oraz wyjść na strzelanie. Jedną z popularnych wtedy pieśni był skomponowany w 1912 r. przez Wasilija Agapkina marsz – Pożegnanie Słowianki. Jego melodia przyszła do Polski podczas II wojny światowej w postaci partyzanckiej piosenki – Rozszumiały się wierzby płaczące. Inne znane pieśni z tego okresu to Wołga, Wołga, Gori, gori moja gwiazda, czy też Czornyje oczy da bielają grud (na jej melodię jest polska pieśń pt. Piechota). Śpiewać musieli wszyscy, a popisami junkrów dowodził zwykle dowódca roty lub któryś z młodszych oficerów.

W czasie kursu elewi przystępowali do egzaminów teoretycznych. Wynik ich decydował o ich dalszej przyszłości. Ci którzy zaliczyli je z wynikiem bardzo dobrym lub dobrym otrzymywali awans i w zasadzie mogli być już pewni, że po ukończeniu kursu trafią do korpusu oficerskiego jako praporszczyki. Ci, którym na egzaminach, poszło gorzej opuszczali kurs jako podoficerowie

Stopień praporszczyka – odpowiednik polskiego chorążego miał w armii rosyjskiej utrwaloną tradycję. W tabelach rang umieszczony był w korpusie oficerów, jako najniższy stopień oficerski czasu wojny. Ze względu na ogromne straty w wśród oficerów liniowych i koniecz-

¹⁴⁴ Chodynka to pole ćwiczeń moskiewskiego garnizonu znajdujące się 8 km od centrum Moskwy. Obecnie jest tam lotnisko. Na polu tym 18 maja 1896 r. miał się odbyć festyn ludowy z okazji koronacji Mikołaja II. Zebrało się tam około pół miliona poddanych, którym obiecano podarki żywnościowe. Tłum czekał całą noc, a rankiem ruszył na stragany. Na skutek stratomowania zginęło wtedy ok. 1 390 osób. Wydarzenie to znane jest jako Panika na Chodynce.

ność ich uzupełnienia utworzono w Rosji ponad 100 szkół praporszczyków o różnym profilu i wymaganiach. Podstawowe szkolenie prowadziły szkoły praporszczyków piechoty, do których przyjmowano słuchaczy ze średnim wykształceniem i nauczano ich wojskowego fachu w cyklu pięciomiesięcznym.

Drugi typ tworzyły szkoły przyjmujące podchorążych z wykształceniem wyższym. Tych szkolono trzy miesiące. Wkrótce straty wojskowe na froncie stały się tak dotkliwe, że różnice w cyklach szkoleniowych praktycznie zatarły się. Dla wszystkich praporszczyków szkolenie skrócono do trzech miesięcy. Wśród słuchaczy pierwszego trzymiesięcznego kursu krążyło powiedzenie, że podczas kursu otrzymuje się tak znakomite przeszkolenie, że na froncie powinien przeżyć cały miesiąc. Po wojnie zweryfikowano ten osąd i pisano, że żyli oni średnio nie dłużej niż dwanaście dni.

Wraz z patentem oficerskim nowi praporszczycy otrzymywali przydział służbowy do jednostek. Najlepsi absolwenci mogli liczyć na skierowanie do lejbgwardii¹⁴⁵, na pozostałych czekały zwykle armijne pułki. Lejbgwardzista musiał być majątny gdyż oficerowie gwardii prowadzili wystawny tryb życia, z własnych składek finansowali pułkowe bankiety wydawane z wielkim przepychem.

W lejbgwardii, służył Stanisław Ignacy Witkiewicz-Witkacy. W 1915 r. w Petersburgu skończył on pięciomiesięczny kurs praporszczyków w Pawłowskiej Szkole Wojskowej. Do armii rosyjskiej zgłosił się na ochotnika, gdyż jako jedynak pochodzący z rodziny szlacheckiej był od obowiązku służby wojskowej ustawowo zwolniony. Chcąc brać udział w wojnie zastanawiał się nawet, po której stronie walczyć – od piątego roku życia mieszkał w Zakopanem, na terenie zaboru austriackiego.

Antoni nie chciał służyć w gwardii. Jak wspominał: *„Ja i Janek uczyliśmy się bardzo dobrze. Ja skończyłem z oceną otliczno, tzn. bardzo dobrze. Pod koniec szkoły przyjechali do nas oficerowie gwardii, ubrani pułkowo i zapraszali nas do kasyna i patrzyli, jak kto umie zachować się, bo wybierali do gwardii, naturalnie mieli srebrne papierośnice z doskonałymi papierosami. Szczególnie brali tych najlepszych. Ja nie chciałem tam iść. Myślałem lepiej być pierwszym*

¹⁴⁵ Lejbgwardia wydzielona elitarna formacja

w jakiejś zapadłej dziurze niż ostatnim w gwardii. Nie miałem pieniędzy, a bez nich nie będę miał ani autorytetu, ani szacunku. To była szkoła piechoty, ale dla najlepszych było parę miejsc w artylerii. Uczyłem się bardzo dobrze, w I kategorii¹⁴⁶ miałem przeciętnie 10,96 punktów na 12 możliwych, ale zajęłem dopiero 13 potucziliszcze – miejsce, a do artylerii było tylko 10 miejsc. Nie udało się, ale wybrałem sobie pułk jak najdalej od zachodniego frontu, bo tego się bałem. Wybrałem Mariupol na Azowskim Morze. Był to front turecki, a myśmy go lekceważyli. Wtedy dowiedziałem się o zarządzeniu, że można wybrać taki pułk, aby służyć razem z rodziną. Wiedziałem, że pułkownik Juszkiewicz jest w 24 pułku piechoty. Był to przyfrontowy pułk, ale wolałem być z rodziną. Niestety było już za późno, aby to załatwić. Dostałem siedmiodniowy urlop po skończeniu szkoły i pojechałem do domu. Wraciałem do Moskwy jak na wygnanie. Po przyjeździe okazało się, że nie ma skierowania do płk. Juszkiewicza i siłą faktu musiałem jechać do tego Mariupola. Starłem się jechać jak najdłużej, na każdej trzeciej stacji wysiadałem i jechałem następnym pociągiem tak, aby mieć papiery w porządku, ale by jechać dłużej. Na front nie spieszyło mi się, ale w końcu dojechałem i byłem tam wszystkiego tydzień, a po tygodniu przyszła depesza, że praporszczyka Jastriebrowskiego odprawić w dwadzieścia cztery pułk – porucznika Jastrzębskiego odprawić do 24 zapasowego pułku.

W książeczce wojskowej Antoniego Jastrzębskiego – noszącej nazwę Posłużnyj spisok¹⁴⁷ widnieje wpis „Po ukończeniu kursu na uczelni z I kategorią Najwyższym Rozkazem został dnia 1 października 1916 roku promowany na praporszczyka ze starszeństwem z przydziałem do 24 pułku piechoty”

Natomiast jak wynika z jego opisu przebiegu służby od 26 października 1916 r. służył w 121 marszowym pułku piechoty. Początkowo był młodszym oficerem 5 rot, a czasowo w marcu i czerwcu 1917 r. dowo-

¹⁴⁶ Absolwentów uczelni wojskowych dzielono na trzy kategorie i w zależności od uzyskanych ocen końcowych awansowano na pierwsze stopnie oficerskie. Uzyskanie odpowiednio wysokiej lokaty umożliwiało wybór miejsca swej późniejszej służby.

¹⁴⁷ Posłużnyj spisok Antoniego Jastrzębskiego znajduje się w Centralnym Archiwum Wojskowym. Jest to wielostronicowy formularz kadrowy szczegółowo dokumentujący służbę oficerów. Opatrzony stosownymi pieczęciami i zarejestrowany w pułkowym dzienniku ewidencyjnym, wręczony był oficerowi zwalnianemu ze służby. Dokument ten ojciec przedłożył zaciągając się na ochotnika do Wojska Polskiego w 1920 r., daty w tym dokumencie podano wg kalendarza juliańskiego.

dził 5 i 13 rotą. Osobiście wyszkolił rotę 250 żołnierzy jak pisał – „surowy” materiał z osiemnastoletniego poboru. Parę razy odwoził eszelony żołnierz na front pod Baranowicze. W międzyczasie był odkomenderowany do Rżewa w guberni tawerskiej na uzupełniający miesięczny kurs oficerski. Tak wspominał ten czas:

„Byłem tam młodszym oficerem kompanii. Był to pułk zapasowy, przeszkolone kompanie z całej Rosji tu przesyłali. Przechodziły tu one szkolenie bojowe, z ostrą amunicją z umundurowaniem frontowym i w zależności w jakim stanie przyjechały; po tygodniu, dwóch lub po miesiącu kompanie te były wysyłane na front.

Zostałem takim specjalistą od odprawienia eszelonów czyli wożenia tych kompanii na front. Eszelon składał się z pięciu kompanii, tzw. rot po 300 żołnierzy każda, czyli każdy eszelon miał 1500 żołnierzy i ja odprowadzałem je na linię frontu. Linia frontu była za Mińskiem, za Orszą. Moim obowiązkiem było odprowadzić ich do samych przednich okopów zdać i otrzymać pokwitowanie. Żołnierze byli przeszkoleni bojowo, mieli w plecakach ciepłe ubrania tzw. warniki, tj. spodnie i potszubki, ale ubrać je mogli dopiero na linii frontu. Do Mińska jechali pociągiem, a dalej piechotą.

Zima, mróz, co 30 km były wykopane ziemianki, w których mieściło się jednorazowo 300 ludzi. Marsz był tylko nocą i cały dzień siedzieliśmy w tych ziemiankach przykrytych śniegiem. Żołnierze odmrażali sobie uszy, nosy a nawet członki, a ciepłego ubrania nie mogli włożyć. Ja wtenczas obciąłem sobie nożem kołnierz od swetra i nałożyłem na uszy aby je chronić. W zasadzie moim obowiązkiem było iść z tyłu i pilnować, aby nikt nie odstawał, ale to nie było potrzebne, gdyż przy tak dużych mrozach żołnierze biegiem szli te 30 km, aby szybciej schować się do ziemianki. Z tyłu były dwa, trzy wozy dla słabszych. Po dojściu na front nikt nic nie sprawdzał bo nie było czasu. Podpisywali to, co im dałem i przyjmowali ich według rodzaju do okopów.

Z każdej takiej drogi zostawała mi pewna ilość cukru i herbaty, gdyż nie było czasu rozdać tego żołnierzom. Pensja moja wynosiła wtedy 96 rubli miesięcznie z czego 90 rubli wysyłałem rodzicom, a 6 zostawiałem sobie. I te sześć rubli plus to, co mój ordynans Miszka sprzedał (parę kg cukru i trochę herbaty) musiało wystarczyć mi na wyżywienie, gdyż koniecznie musiałem wysłać do Klimowicz te 90 rubli”.

31 marca 1917 r. przedstawiony do promowania na podporucznika wyjechał na front do dyspozycji generała sztabu 10 armii. W tym czasie

w wojsku i na tyłach frontu dało się już wyczuć apatię, zmęczenie wojną i brak wiary w jej zwycięski koniec. Stosunki między oficerami a żołnierzami stawały się coraz bardziej naprężone. Często dochodziło do dezercji.

Antoni wspomina: „Okopy moje były odległe od okopów niemieckich o pięćdziesiąt parę metrów, tak że wprawni żołnierze granatami dorzucali do nieprzyjacielskich okopów. Patrzyło się tylko przez peryskopy, gdyż po wystawieniu palca ponad okop był on przestrzelony nie jedną a dziesięcioma kulami. Sporo żołnierzy to robiło, aby iść do tyłu do szpitali. W okopach była wilgoć i chociaż mieliśmy buty tzw. Wycieszki, tzn. cholewy były z jednego kawałka skóry, nie przyszywane to onucki były stale mokre. Tak w tych okopach byłem ponad miesiąc.

Miałem wtenczas w Klimowiczach sympatię, koleżankę Haliny Juszkiewicz (mojej kuzynki), która nazywała się Tatiana Wasilewna Kartoszowa. Akurat tego roku dostała maturę razem z Haliną i zdawała egzamin na medycynę w Moskwie. Gdy przyszła na mnie kolej, że ja mam jechać na front i już zostać na tym froncie ze swoją kompanią jako dowódca kompanii, Tanika powiedziała ty się nie bój, ja przeniosę cię do artylerii przez swojego wuja generała Mikołaja Szyllinga¹⁴⁸. Odprowadziła mnie do pierwszych okopów na froncie i wróciła. Naturalnie nie wierzyłem temu, co mówi, że mogę być wyciągnięty z tych okopów. Po miesiącu przez dowódcę dywizjonu byłem wystany do sztabu pułku z jakimś meldunkiem. Gdy tymi okopami doszedłem do sztabu, który stał w folwarku Miedienica (za Mińskiem pod Orszą) i po złożeniu tam meldunku, żołnierz, który go odbierał przypomniał sobie, że na moje nazwisko – trudne do wymówienia po rosyjsku – był telegram – na szczer was była kajaka to depesza. Poprosiłem, aby ją odszukał, ale akurat był straszny ruch w sztabie bo była ofensywa niemiecka i on nie miał czasu zająć się tym. Musiałem go przekupić.

Dałem mu kilka rubli i udało się ją znaleźć. W depeszy było napisane Armiejskij Korpus podpisane gen. Szylling¹⁴⁹. Tak jak Tanika obiecała – praporzczyka Jastriembskowo odprawił w tritietuju artileryjsku brigadu 17”.

¹⁴⁸ Mikołaj Szyling (1870–1946) – generał rosyjski, od 1920 r. na emigracji w Czechosłowacji; aresztowany w Pradze przez Sowietów w 1945 r., potem rozstrzelany.

¹⁴⁹ 17 Korpus Armijny Imperium Rosyjskiego został sformowany w 1888 r. w Moskiewskim Okręgu Wojskowym. Rozformowany na początku 1918 r. Od lipca 1917 r. dowódcą Korpusu był gen. Lejtnant N.N. Szyling. Korpus wchodził wtedy w skład 11, a potem 5 Armii.

W Posłuznym Spisku zapisano, że dostał przydział do 3 parkowego¹⁵⁰ artyleryjskiego dywizjonu, 17 korpusu, stojącego wówczas w Galicji, na froncie południowo-zachodnim, mianowano go młodszym oficerem I parku dywizjonu, ale pełnił tam też funkcję starszego oficera zarządzając gospodarstwem parku.



W okopie – żołnierz obserwuje nieprzyjaciela przez peryskop

„Jakem dostał tę depeszę to od razu z tą depeszą poszedłem do pułku i od razu dostałem skierowanie, tzw. bilet przejazdowy dla mnie i dla mojego ordynansa. Ordynansem był Miszka, starszy 45-letni człowiek, który dbał o mnie jak o syna. Kasę moją trzymał u siebie i zawsze dawał ile chciałem, ale zawsze się ze mną targował aby jak najmniej wydać. To był bogaty człowiek, w Moskwie miał Perewodocznyj Kantor, tzn. miał 6 ciężkich koni do przewożenia towarów. Z każdego urlopu w Moskwie przywoził tyle żywności, żeśmy mieli jedzenia na 2 miesiące. Na podstawie tej drogówki zawróciliśmy do Mińska i Miszka pierwszą rzecz, którą zrobił, to kupił sobie ostrogi jako artylerzysta, a ja zadepeszerwałem do domu, że jadę na południowy front. Bo już nie miałem czasu pojechać do domu.

¹⁵⁰ Parki artyleryjskie – liniowe jednostki, dostarczające na pole bitwy amunicję, pociski i naboje. Rozlokowane były między działającymi wojskami a czołowym składem amunicji ogniowej. W skład Parku wchodziło 4 oficerów, 1 urzędnik, 257 żołnierzy liniowych i 24 żołnierzy nielinowych razem 286 ludzi oraz 333 konie, 27 wozów taborowych, 34 wozy dla amunicji artyleryjskiej i 24 z amunicją do broni strzeleckiej.

Jakem dojechał na południowy front trafiłem na odwrót wojsk rosyjskich. Austriacy pędzili Rosjan, którzy prawie w popłochu uciekali. Trudno mi było znaleźć ten mój 3 artyleryjski pułk. Zanim się dowiedziałem, gdzie jest – on już był gdzie indziej. Przypadkowo spotkałem Dembskiego – starszego kolegę ze szkoły Rontalera, on skończył dwa lata przede mną. On był już inwalidą z wojny i miał pod sobą pocztę polową i razem z nim, jego powozem jeździłem i szukałem tego 3 artyleryjskiego pułku i w końcu go znalazłem (front był wtedy pod Tarnopolem).

Przyjął mnie pułkownik Wielikanow i młodszy oficer kapitan Strelkowski. W mojej obecności kapitan wezwał ogniomistrza, żeby z koni które są luźne, tzn. nie mają przydziału pozwolił mi wybrać sobie wierzchowca. Ustawili wówczas 14–15 koni i ja sobie wybrałem bardzo ładnego karego ogiera. Zauważyłem, po minach żołnierzy, że jak wybrałem tego konia to oni spieszyli się. Wiedzieli, że jest on wariatem, ale ja tego nie wiedziałem.

Konie te stały w środku między jaszczami artyleryjskimi. Dwóch ludzi trzymało konia przy mordzie, ja lewą nogą wsiadłem, prawej nie zdążyłem włożyć do strzemienia, gdy ten koń stanął dęba i przeskoczył przez te jaszcze; że ja się wtedy utrzymałem to był cud boski. Jakem się utrzymał to wtenczas skierowałem go w zaorane pole. Miałem nahaj i tym nahajem zacząłem go kropic do galopu zmuszałem go do jak największego wysiłku i po pół godzinie jak zaczęła pojawiać się piana, zacząłem go uspokajać. I on faktycznie miał dosyć. Opanowałem go i spokojnie wróciłem do miejsca, gdzie wszyscy żołnierze stali i patrzyli. Tutaj zdałem egzamin jako oficer i jako jeździec, bo widziałem w minach żołnierzy szacunek dla siebie. Ale to był przypadek, że się utrzymałem. Więcej tego konia już nie zasiadałem, wziąłem sobie spokojniejszego”.



Wyjazd baterii na pozycje

Trafił na front południowo-wschodni już po ostatniej, wielkiej ofensywie wojsk rosyjskich przeciw Niemcom i Austro-Węgrom mającej miejsce od 1 do 19 lipca 1917 r.. Operacja nazwana ofensywą Kiereńskiego początkowo rozwijała się podobnie jak ofensywa Brusilowa sprzed roku. Świetnie wyposażona przez aliantów armia rosyjska po dwudniowej miażdżącej nawale artyleryjskiej ruszyła do szturm i zdobyła Halicz, Stanisławów i Kałusz. W walkach uczestniczył XVII Korpus wchodzący w skład 11 Armii. Po początkowych zwycięstwach Rosjan nastąpiło kontruderzenie wojsk niemiecko-austriackich w wyniku którego Rosjanie rozpoczęli bezładny odwrót zmuszeni się cofnąć o ok. 250 km. Straty wyniosły 400 tys. zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Wspomnienia Antoniego pochodzą z tego okresu:

„Pewnego razu jak Austriacy gonili nas, byłem wysłany przez płk. Wieliknowa do zdobycia (kupna) owsa i siana dla koni. Jechałem przez wielką wieś Słoboda Kupielewieckaja (Słbudka Kupielska pod Kupielem Wołoczyskiem; Ukraina), gdzie w środku był duży rynek porośnięty trawą, w dzień jakem jechał pełnym kłusem, a za mną trzech tzw. ordinarców (pomocników) rynek był równiutki. Jak wszystko kupiłem i na drugi dzień miałem wystać wozy, aby to zwieźć, wracałem nocą jadąc pierwszy i wpakowałem się razem z koniem w wielki okop, który w międzyczasie był wykopany w środku wsi. Na mnie zważyło się tych trzech z końmi. Wtenczas złamałem lewą nogę. Pojechałem do pułku, ale do szpitala nie poszedłem. Jakiś żołnierz zrobił mi tylko oklaski z wierzby i bardzo silnym szpagatem okręcił i tak jeździłem nie konno tylko bryczką. I zrosło mi się bez lekarzy. Złamana była tylko ta cienka kość. No i po jakiś 2–3 miesiącach te oklaski mi zdjęli, jeszcze nie mogłem chodzić, ale mogłem jeździć bryczką i pomału doszedłem do władzy w tej nodze. Ten żołnierz, który mi pomógł był prawdopodobnie owczarzem i wiedział, co ma robić. To było prawie na granicy rosyjskiej, pod Wołoczyskiem, a myśmy wówczas mocno uciekali¹⁵¹. I tak w tym pułku przeżyłem do rewolucji”.

¹⁵¹ 17 Korpus armijny, w którym służył ojciec był przez pewien czas rezerwą głównodowodzącego na froncie rumuńskim pod miasteczkiem Radauc (Besarabia). Wspominał w żadnej akcji na tym froncie nie brali udziału, ale jak pisał Wędziagolski – musieli tam pacyfikować dwie rozpite i zdemoralizowane dywizje piechoty 8 Armii.



Jedyné zdjęcie Antoniego Jastrzębskiego z Rosji z jego własnym opisem
(wieś Słoboda Kupieriewieckaja Wołyńska gub.; 12 września starego stylu 1917 r.
ppor. A. Jastrzębski ze złamaną kością nożną)
[Wszystkie inne zdjęcia ojca w mundurze zostały dla bezpieczeństwa
zniszczone w 1939 r., gdy Sowieci weszli na teren Podlasia]

REWOLUCJA

Po wybuchu rewolucji lutowej i październikowej sytuacja uchodźców diametralnie zmieniła się. Nastąpiło załamanie systemu władzy carskiej, a co za tym idzie systemu pomocowego. Organizacje pomocowe traciły dotacje, a bieżący zapomogi. Ci, którzy je jeszcze dostawali, narażeni byli na zawiść głodujących miejscowych. Po dojściu bolszewików do władzy dwory i zamożni gospodarze zostali rozkułaczeni, a uchodźcy stracili dotychczasowe miejsca pracy i źródła utrzymania. W wyniku inflacji wypłaty, dotychczas zapewniające rodzinie utrzymanie, starczały na litr mleka. Zaczął się głód, strach, aresztowania, złodziejstwo. Zdarzało się, że chłopcy polscy dzięki lepszym środkom lokomocji i większej pracowitości byli konkurentami w pracy dla miejscowych. Stąd ci o wszystko obwiniali przybyszów – uważali, że to oni są winni wzrastającej drożyznie i zmniejszaniu się zarobków.

W marcu 1918 r. Władysław Glinka pisał: *„Tragiczne jest położenie naszych wygnańców. Rząd bolszewicki nie daje już nic na nich, fabryki stanęły, rolnictwo także, pracy znaleźć niepodobna. Ludzie wprost umierają z głodu, ochronki i przytułki trzeba zamykać. Przy tem ludność miejscowa odnosi się wrogo do Polaków, wyrzuca ich w zimie z mieszkań. W Moskwie zamyka się wszystkie polskie internaty i uczniowie znajdują się na ulicy. [...] Kto może przytuła tych biedaków”.*

Na represje ze strony bolszewików szczególnie byli narażeni działacze CKO i innych organizacji. Na porządku dziennym były rewizje i aresztowania. Wielu z nich ponosiło śmierć. Glinka wspomina m. in. o Feliksie Wojciechowskim, swoim sąsiedzie spod Ostrołęki, który 5 lutego 1918 r. w Rohaczewie na Mohylewsczyźnie został zakuty bagnetami przez chłopów, gdy bronił bydło CKO. Do najbardziej znanych tragedii należało uwięzienie i rozstrzelanie we wrześniu 1918 r. – wspomnianych już, braci Mariana i Józefa Lutosławskich.

W armii sytuacja pogorszyła się już po rewolucji lutowej, którego skutkiem był tzw. Prikaz nr 1 wydany 1/14 marca 1917 r. i ogłoszony równocześnie z instrukcją o powołaniu wojskowych komitetów rewolucyjnych. To one zatwierdzały obieralnych dowódców i doprowadziły

do zaprzepaszczenia dyscypliny wojskowej. Wszystkie jednostki poczynając od kompanii, szwadronu i baterii idąc w górę do pułków, dywizji i korpusów wybierały w powszechnym głosowaniu swoje własne komitety z szerokimi uprawnieniami administracyjnymi politycznymi i dyscyplinarnymi.

Podczas dość bezładnych zgromadzeń żołnierskich wybierano członków batalionowych komitetów żołnierskich. Pierwszy punkt rozkazu nr 1 stanowił, że do komitetów żołnierskich mogą być wybierani wyłącznie przedstawiciele *niżnych czynów*, czyli podoficerowie i zwykli żołnierze, ale w rzeczywistości wybierano również młodych praporszczyków. Rozkaz oficera stracił wszelką wartość, przekreślał zależność żołnierzy od oficerów.

Wyszedł zakaz oddawania honorów wojskowych. Wojskowe komitety rewolucyjne stawiały na głowie strukturę wojska i spowodowały zbiorowe bestialstwo mas żołnierskich nad oficerami. Oficerowie skazani byli na codzienne szykany i poniżenia, nigdy nie byli pewni swego życia. Dochodziło do samosądów rozstrzeliwań i mordów. Żołnierze żądni krwawego odwetu zabijali przełożonych, którzy wyróżniali się bezdusnością w egzekwowaniu rygorów służby oraz okrucieństwem i pogardą wobec żołdackiej masy. Niektórych zakłuto bagnetami.

Prikaz nr 1 miał regulować stosunki między żołnierzami i oficerami. W rzeczywistości stał się urzędowym usprawiedliwieniem wszelkich zbrodniczych wyczynów zdziczałego żołdactwa w stosunku do oficerów. Żołnierze mogli sami wybierać dowódców, których darzyli uznaniem i szacunkiem. Stopień wojskowy nie miał znaczenia.

Antoni wspomina: „*W czasie rewolucji¹⁵² nam młodszym oficerom zdjęli pagony, pułkownik Wielikanow uciekł, kapitan Strelkowski uciekł. Zostało nas trzech młodszych oficerów, ja, praporszczyk Żaworonkow i praporszczyk Maj-Worodenko. Ten ostatni miał cztery krzyże Georgia¹⁵³ za odwagę.*

¹⁵² Rewolucja w Rosji rozpoczęła się w lutym 1917 r., był to przewrót, który doprowadził do obalenia caratu. Rewolucję rozpoczęli robotnicy w Piotrogradzie. Do demonstrantów przyłączyli się żołnierze. Rewolucjoniści opanowali miasto, doszło do abdykacji cara i powstał Rząd Tymczasowy, równocześnie z Radą Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Paraliż decyzyjny spowodowany dwuwładzą otworzył drogę bolszewikom do przewrotu październikowego nazwanego Rewolucją Październikową.

¹⁵³ Odznaczenie ustanowione w 1807 r. dla szeregowych żołnierzy i podoficerów armii rosyjskiej za męstwo i odwagę w trakcie bezpośredniej walki z nieprzyjacielem; zniesione w 1917 r.

Był bez szkoty ale bardzo odważny. Żołnierze zrobili wybory i mnie, nie wiem dlaczego wybrali komandirum Trietiewo Strelijskowo Dywizjona. Wtenczas sformowałem komitet. Do komitetu wzięłem Łotyzy, Estoncow i Polakow, nie wzięłem żadnego Rosjanina wychodząc z założenia, że my razem będziemy się mocniej trzymać”.

Jak wynika z dokumentu *Postużnyj spisok* – 18 listopada 1917 r. Antoni został wybrany do sądu dyscyplinarnego dywizjonu (typu pułkowego), 28 listopada został dowódcą I parku artyleryjskiego, a 31 grudnia wybrany adiutantem komendanta dywizjonu. Wybór ten był wyrazem żołnierskiego uznania dla jego postawy wobec podwładnych. W armii rosyjskiej stosunek zwierzchników do podwładnych był surowy, a często wręcz nieludzki. Niejednokrotnie oficerowie brutalnie znęcali się nad podkomendnymi i dla utrzymania karności wyżywali się w ich karaniu.

Witkacy uzasadniając swoją pozytywną weryfikację do czwartej rotы zapasowego batalionu stwierdził: *nie biłem w mordę, nie kłąłem - po maturskie, karałem słabo i byłem względnie grzeczny”.*

Również Karol Wędziogolski swój wybór do korpusowego komitetu uzasadniał życzliwością, ludzkością i uczynnością jaką miał wobec żołnierzy.

We wrześniu 1917 r. po nieudanej próbie obalenia Rządu Tymczasowego przez gen. Ławra Kornułowa, wśród niektórych generałów i oficerów frontu południowego – jak pisał Wędziogolski, pojawiła się inicjatywa zgrupowania zaufanych pułków wojskowych pod stolicą aby rozbroić zbolszewiczały garnizon petersburski. Tymi wybranymi oddziałami był XVII Korpus piechoty, oficjalnie przygotowywany jako grupa uderzeniowa w wypadku przerwania frontu przez nieprzyjaciela, a nieoficjalnie dla zastąpienia garnizonu petersburskiego. W pierwszych dniach października na Front Północny zaczęły przybywać eszelony XVII Korpusu dowodzonego przez gen. Szyllinga, składającego się z trzech dywizji piechoty, brygad artylerii i wszystkimi pomocniczymi formacjami. Niestety akcja nie udała się, wojska nie dotarły pod stolicę nie tylko z obojętności i bezczynności generałów północnego frontu ale głównie w wyniku działania kolejarzy, którzy rozmyślnie przetrzymywali je w wagonach i wciąż przesuwali z jednego miejsca w inne rozpraszając oddziały.

Antoni służąc w XVII Korpusie oczywiście nie znał tych planów wyższych oficerów, ale jego opowiadania potwierdzają, znane z historii, zdemoralizowanie żołnierzy i rozkład armii:

„Przerzucili nas wtedy na północny front koło Witebska stacja Nowopołock. Mrozy były wielkie. Wieś, w której mieszkaliśmy była w środku lasów, a śniegi były takie, że żołnierze codziennie rano musieli odkopywać nasz dom, aby można było wyjść na dwór. Rozluźnienie między żołnierzami było okropne. Wszyscy ci, którzy z jakiś przyczyn dostali urlop na tyły już nigdy nie wracali. Bo w głębi Rosji była już kompletna rewolucja. Na froncie jeszcze to się troszkę trzymało, była dyscyplina, ale doszło do tego, że miałem więcej koni niż żołnierzy. Żołnierzom wypłacało się pieniądze na zakup siana i owsa od chłopów. Pieniądze te przepijali, robili sobie samogon, siano kradli z łąk. Konie czasem trzy dni nie pojone zaczęły padać. Padłe konie wyciągało się do pobliskiego lasu wilki się zbiegły i nas otoczyły. Wszystkie sąsiednie lasy były przepętnione wilkami, także jak się w dzień jechało to konie drżały ze strachu, bo wszędzie była paleryna i wilki obrabiały zdechnięte konie. W pewnym momencie dostałem rozkaz aby jeden z trzech dywizjonów rozformować i zrobić z tych trzech dwa. Dywizjon do rozdzielenia składał się z żołnierzy kronsztackich¹⁵⁴, tzn. spod Petersburga, starszych ludzi 40 letnich – ratniki opocznia wtorowo rabrada. Wiedziałem, że oni nie chcą aby ich rozdzielić, że tworzą klan. Dywizjon stał jakieś 2 km od nas.

Umówiłem się ze swoim komitetem, który razem ze mną jechał (16 ludzi), że jak tam pójdę i jak tylko dam rozporządzenie, to jeden z nich wpadnie i powie, że jestem wezwany na gwałt do swego pułku. Chodziło o to, aby tam nie zostać, bo absolutnie nie byłem pewny swojego życia. I tak się stało. Jakem tylko dał rozporządzenie, którzy mają pójść do pierwszego dywizjonu, a którzy do drugiego, zrobił się szum i w tym momencie wszedł ten żołnierz i powiedział, że jestem wezwany do pułku. Od razu wsiadłem na konia i razem z nimi chciałem dojechać do mojego pułku. Wieś była na górcie, na dole rzeczka, most i druga górka. Jakem dojechał już na drugą górkę poczułem, że za mną strzelają. Ich kule nie trafiły mnie, ale czułem że strzelają. Wpadłem pełnym galopem do lasu i to mnie uratowało.

¹⁵⁴ Kronsztad to silnie ufortyfikowany rosyjski port morski, położony na wyspie Kotlin w Zatoce Fińskiej, 30 km na zachód od Petersburga. Ta, od XVIII w. baza Floty Bałtyckiej zasłynęła w 1921 r. buntując się przeciwko dyktaturze komunistycznej. Powstanie Kronsztackie zostało stłumione przez Armię Czerwoną; ok. 8 tys. powstańców schroniło się w Finlandii.

Po pewnym czasie widząc, że żołnierze moi absolutnie nie nadają się do boju, pojechałem do sztabu dywizjonu do miasteczka Newel w Witebskiej guberni (marzec 1918 r.) razem z komitetem i tam zameldowałem, że chcę pojechać z moimi żołnierzami na miejsce stojanno do miasta Kaługa, aby tam przeformować się i stworzyć bojowy oddział, gdyż z tymi którzy są w tej chwili ja nie odpowiadam za odcinek frontu który był mi powierzony. Młody porucznik, który był dowódcą tego dywizjonu powiedział, że jeżeli nie możesz, to jedźcie. Ja mówię żeby dał mi to na piśmie, a on na mnie napadł mówiąc – ja wam przykazywaju wpieryd (każę naprzód), a jeżeli wy chotite spasat huiszki na jaiszki to nazad (chcecie ratować... to do tyłu) – no ja wam tego na bumagu (na papierze) nie dam. Wróciłem do oddziału, zebrałem komitet i wniosliśmy uchwałę, że musimy jednak pojechać do Kaługi, bo my tutaj zginiemy. Zima była okropna. W nocy wszystko było tak zasypane śniegiem, że trzeba było rano odkopywać każdą armatę, każde koło. Sformowałem oddział 20 ludzi z karabinami maszynowymi – którzy na stacji pilnowali pociągów i jak tylko jakikolwiek pociąg szedł to cały pociąg opanowywaliśmy, zabieraliśmy parowóz, wszystkie wagony i co było do jedzenia to zostawialiśmy, a co nie to wyrzucaliśmy. Pomału do tych wagonów ładowaliśmy armaty, naboje, jeszcze z amunicją. Ponieważ naszymi końmi nie dałoby się tego zrobić, więc miejscowi chłopci na sankach każdą armatę rozbierali i oddzielnie wozili po jednym kole czy po jednym lasocie na każdych sankach i tak to wszystko pakowali na pociąg. Chodziło o to, żeby mi nie zarzucili, że ja broń Niemcom zostawiłem. I tak ładowałem się ponad dwa tygodnie.

Zabrałem wtenczas około 60 wagonów i dwa parowozy oczywiście siłą karabinów maszynowych. Parowozy opalało się drewnem bo nic innego nie było. Rąbało się w lesie i jechało. Ponieważ jeszcze wszystkiego nie zmieściłem do tych 60 wagonów, zwoziłem resztę do stacji Nawa Hawańsk i tam złożyłem na kupę i zawiadowca pokwitował mi to pieczętką stacji. To była lipa, ale przy bolszewikach zdawało mi się, że jak mam pieczętkę, że komuś to zostawiłem to znaczy, że jest w porządku. I tak jechałem, aż dojechałem do Kaługi. Nadałem depeszę przygotować sachar (cukier), czaj (herbatę), dowolstwie (wyżywienie) dla tylu ludzi i paszę dla tylu koni. Tak normalnie się robiło. Dojechałem do Kaługi i widzę, że cała Kaługa obstawiona karabinami maszynowymi i wszystkie skierowane na nasz pociąg. Wychodzę z moim komitetem, a tu komitet Kaługi mówi nie pozwalamy się rozładowywać. Ujeżdżaj kuda chcesz (jedź gdzie chcesz). U nas głód, u nas nie ma co jeść i nie pozwalamy tutaj u siebie się rozładowywać. Po paru godzinnych pertraktacjach zgodziłem

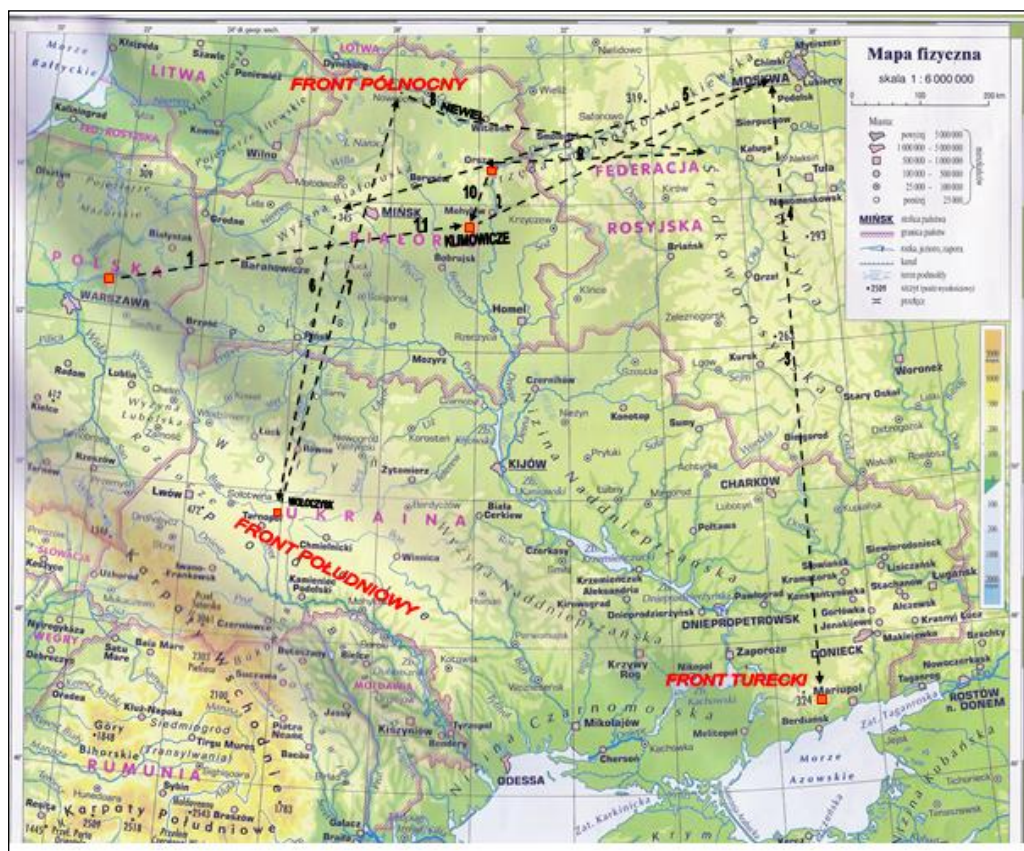
się zostawić im całą amunicję i całą broń i zostawić tylko tyłu żołnierzy ile koni, resztę żołnierzy w ciągu jednego miesiąca zwolnić do domu. Tak zrobiłem. Pojechaliśmy do Makusznickich koszar, które należały do naszego pułku przed wojną. Każdemu żołnierzowi dałem konia, worek owsa i papier zwalniający ze służby wojskowej. Mogli jechać gdzie chcieli. Jedni jechali do domu inni posprzedawali wszystko i robili co chcieli. (Ojca zwolniono z wojska 12 kwietnia 1918 r.)

Zostali tylko Estońcy, Łotysze i Polacy. I myśmy wzięli trzy wagony i te trzy wagony skierowaliśmy do granicy zachodniej, dokąd się da. Dojechaliśmy do Rosławla w Smoleńskiej Guberni. Dalej nas nie puścili, bo akurat wtedy przechodził Dowbór-Muśnicki z Rosji do Niemiec (opisuje to Melchior Wańkowicz w opowiadaniu „Strzępy epopeji”). Rosławla w Smolenskiej Guberni był odległy o 110 km od Klimowicz gdzie mieszkali rodzice”.

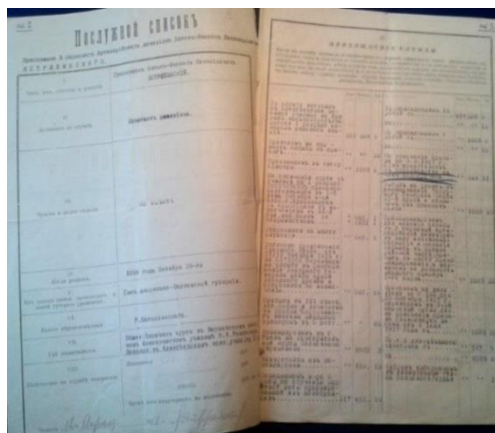
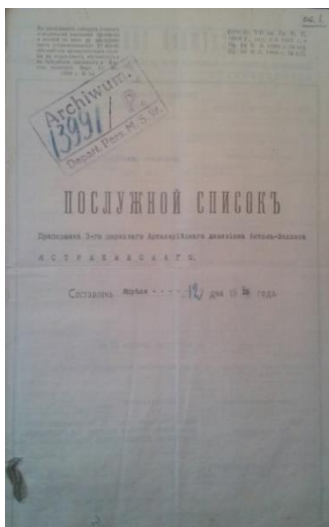
Komitet wojenno-rewolucyjny Rosławla zajmował się głównie wyszukiwaniem kontrrewolucjonistów, za których uważano każdego lepiej ubranego człowieka. Ponadto miejscowe władze bolszewickie wydały polecenie aresztowania wszystkich Polaków chcących przedrzeć się do polskiego wojska rozlokowanego w rejonie Bobrujska. Stąd na stacji oddział krasnoarmiejców rewidował wszystkie pociągi idące na wschód i zatrzymywał każdego, kto miał czyste ręce (białoruczki) i nie mógł wytłumaczyć się, po co w tamtą stronę jedzie. Często słychać było strzały karabinowe przy stacji: to komitet rewolucyjny rozprawiał się z zatrzymanymi bezbronnymi ludźmi. Trupy doszczętnie ograbione wywożono drezyną za miasto i rzucono przy torze, nie starając się nawet pochować. Towarzysze nie chcieli trudzić się kopaniem mogił, a inni bali się to zrobić żeby nie być posądzonym o sprzyjanie kontrrewolucji. Antoniego nie ominęło takie niebezpieczeństwo. Jak wspominał:

„Tutaj (w Rosławlu) tylko cudem ocalałem życie. W hoteliku, gdzie wówczas mieszkalem, dwóch komisarzy bolszewickich przyczepiło się do mnie, że ty Polski Legionier (Legionista) i pod ścianę. Chcieli mnie rozstrzelać, twierdzili, że mam białoruczki (białe ręce). Miałem papiery, że jestem zwolniony z armii, ale nie chcieli wierzyć. Mówili, że to bzdura. Dopiero jakaś starsza kobieta, która wieszala bieliznę na sąsiednim podwórzu wpadła na nich z wielkim tupetem. „Wy takie i owakie, ja jego znaju (znam), jego ojca znaju on jest tutejszy i odczepcie się od niego”, poskutkowało. Oni speszyli się i po-

wiedzieli, papierom nie wierzymy, ale tej kobiecie tak. Dali mi żołnierza, który wsadził mnie do wagonu jadącego w głąb Rosji. Przejechałem jedną stację i wróciłem, wysiadłem i na piechotę okrążyłem Rostawł bojąc się wejść do miasta. Doszedłem na szosę, która na zachód idzie do Rostawła. Tam spotkałem dziewczynę, przypuszczalnie prostytutkę, którą za pieniądze poprosiłem, aby mi z tego hotelu wydostała moje piękne siodło mosiądzem kryte i troszkę rzeczy. Podjęła się to zrobić i dostarczyła mi to tam, gdzie ja byłem i tak z tym dojechałem do Klimowicz”, (w Klimowiczach był do czerwca 1918 r.).



Mapa Wschodniej Europy z zaznaczeniem przemieszczania się Antoniego podczas pobytu z rodziną w Rosji po wysiedleniu z Wiktorowa; lata 1915–1918. Numery oznaczają kolejność podróży; niektóre trasy pokonywał wielokrotnie.



Posłużnoj spisok z opisem przebiegu służby w rosyjskiej armii Antoniego Feliksa Jastrzębskiego; wydany właścicielowi 12 kwietnia 1918 r.

[Centralne Archiwum Wojskowe]

Aleksander Wyszyński, kuzyn i rówieśnik Antoniego, w 1912 r. skończył szkołę i podobnie jak mój ojciec, wstąpił w Warszawie na Wyższe Kursy Przemysłowo-Rolnicze Mikułowskiego-Pomorskiego. Już jako student należał do kółek konspiracyjnych przygotowujących walkę zbrojną w ramach Polskiej Organizacji Wojskowej.

Z chwilą wycofania się Rosjan z Warszawy¹⁵⁵ – Oleś pod pseudonimem Aleksander Jaworski wstąpił do Legionów Polskich, które walczyły z moskalami u boku armii austriackiej. Jak pisałam, zrobił to wbrew rodzinie, w tajemnicy przed ojcem, który był przekonany, że po zdaniu egzaminów syn wróci do domu, ale potem nie dawał znaku życia, rodzina i koledzy nie znali jego losu, sądzono nawet, że poległ. Okazało się, że w czasie walk na Wołyniu dostał się do niewoli.

¹⁵⁵ Armie niemiecka i austriacka 5 sierpnia wkroczyły do Warszawy. W dniu 24 sierpnia powstało w Warszawie generalne gubernatorstwo podlegające Niemcom. W walkach z Moskalami brały udział Legiony Polskie sformowane z inicjatywy działaczy galicyjskich, którzy mieli nadzieję, że sojusz z Austro-Węgrami pozwoli przyłączyć do ziem zaboru austriackiego dawne Królestwo Polskie i ziemie zabrane (zabór rosyjski); po czym powstałoby państwo trójczłonowe Austro-Węgry-Polska. Legiony Polskie walczyły u boku armii austriackiej m.in. na Wołyniu. I, II i III Brygady Legionów liczyły ok. 20 tysięcy żołnierzy. Jedną ze zwycięskich bitew polskich oddziałów była stoczona w październiku 1915 r. bitwa pod Kuklami.

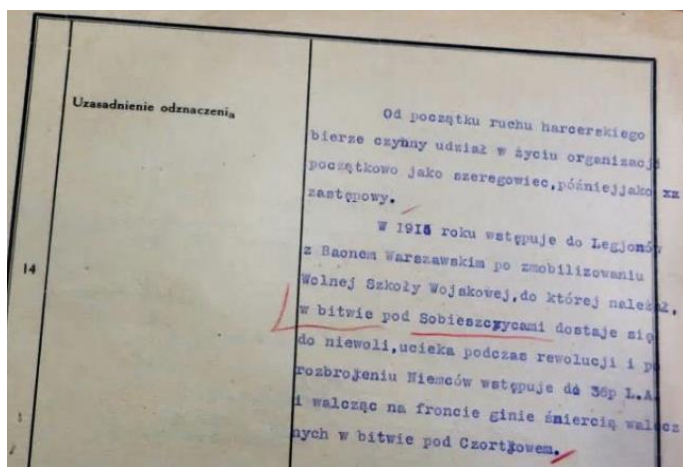
Jak wspominał „Kozacy obrabowali nas z pieniędzy i zegarków i zapędzili na jakieś podwórze. Rozpoczęło się przepytywanie – imię, nazwisko, stopień wojskowy, z jakiego pułku? Legionistów zwłaszcza z zaboru rosyjskiego miano rozstrzeliwać¹⁵⁶. Więc każdy z nas podaje jakiś pułk austriacki. Ja uzupełnienie dla IV-tego krakowskiego pułku piechoty. Następnego dnia dostaliśmy tylko wodę i znowu ustawiono nas w szeregu, a naprzeciw szereg jakiś oberwańców. Teraz wyszedł oficer rosyjski i powiedział, że są to żołnierze rosyjscy którzy zbiegli z niewoli, gdzie byli obrabowani przez Austriaków, teraz mają zabrać w zamian buty, koce i bieliznę od nas. Ja zrozumiałem – rosyjski znałem trochę ze szkoły – wyciągnąłem scyzoryk i rozciąłem cholewy butów – dostałem kula-kiem w twarz, ale butów mi nie wzięli.

W obozie jeńców byłem krótko, gdyż Austriaków – poza Niemcami i Węgrami, chętnie przekazywano do robót rolnych. Dostałem się do majątku – obory wydojowej koło Moskwy – jakiegoś majora Lerczena. Pracowali tam również Polacy „bieżeńcy”. W wydany w Rosji Kalendarzu polskim znalazłem adres wuja Kazimierza Jastrzębskiego – Klimowicze mohylewskiej guberni. Napisałem – wuj zaraz wystarał się o zapotrzebowanie na mnie z „ziemstwa”, jako potrzebnego specjalisty – inżyniera rolnika Aleksandra Jaworskiego. Kopię oraz trochę pieniędzy i ubranie cywilne wystarał do mnie. Ale upłynął miesiąc – rewolucja, bałagan nikt nic nie wie. Pieniądzy nie ma, ubrania nie ma – trzeba sobie radzić samemu. Odwiozłem z drugim jeńcem mleko na stację. Wpakowałem się do pociągu towarowego, przebrałem w cywilne łachy. Jadę. W drodze różne przygody, ale najniebezpieczniejsza w Smoleńsku. Wjeżdżamy – stacja obsadzona wojskiem. Szukają dezertersów, ci bronią się, strzelanina. Aresztują jakiś bandytów – na miejscu ich rozstrzelują. A ja nie mam żadnych papierów, bo nawet jenieckie zniszczyłem wsiadając do pociągu. Prowadzą mnie na przesłuchanie – mówię bieżeniec z Polski. Jakiś żołnierz Polak rozmawia ze mną, a potem mówi – bierz szufłę i idź między robotników, którzy rozładują wagony. Mów, że cię przystali do pomocy. Udało się. Następnego dnia przyczepiłem się do zdemobilizowanych żołnierzy i tak dostałem się do Rostawla stamtąd piechotą (95 km) do Klimowicz. A tam wuj zaraz wyrobił mi metrykę, a potem papiery bieżenca” – ze wspomnień jego siostry Kazimiery.

¹⁵⁶ Legioniści z Królestwa używali pseudonimów, aby ich rodziny nie zostały zidentyfikowane i nie były poddane represjom. Rosjanie o tym wiedzieli i w okrutny sposób rozprawiali się z legionistami wziętymi do niewoli. Uważali ich za zdrajców i nie honorowali praw jenieckich. Natomiast Polaków z terenów Galicji, którzy zostali wcieleni do armii austro-węgierskiej traktowali na równi z innymi jeńcami.

W Klimowiczach stał się wkrótce duszą towarzystwa; uczył śpiewać piosenki legionowe, propagował idee polskiej armii i szerzył kult „Dziadka” – Józefa Piłsudskiego. Zarabiał na życie tak, jak inni bieżący pracując przy przewozie towarów ze stacji Rosław do Klimowicz – 95 km; tam i z powrotem 3 dni. Tu zaznaczyła się jego indywidualność. Wszyscy furmani brali od worka mąki czy cukru – 1 kg na „rozkurz”. Oleś absolutnie nie chciał tego robić. Doszło do nieporozumień, ale ostatecznie postawił na swoim. Wiosną 1918 r. po przerwaniu walk niemiecko-rosyjskich wyruszył do kraju z Haliną Klieindienstówną (z rodziny Teodora, twórcy Męskiej Drużyny Harcerskiej w Łomży). W sumie był w Rosji dwa lata. Do Polski, do Łomży wrócił 1 czerwca 1918 r. Jego siostra, która zobaczyła go pierwsza – wspomina:

„Wyglądał jak nędzarz obdarty, brudny, zarosnięty, w butach o tak szerokich cholewach, że do jednej mogły wejść dwie nogi. Opowiadał, że podczas pełnej niebezpieczeństw wędrówki parokrotnie zmuszano go do zamiany ubrania i butów. Ale to wszystko nie miało znaczenia – grunt, że wrócił, że jest między nami – chciałam go całować i płakać z radości”¹⁵⁷.



Jeden z dokumentów Aleksandra Wyszyńskiego;
odznaczenie Krzyżem Niepodległości 26.10.1934 r.

¹⁵⁷ Kilka miesięcy po powrocie z Rosji do Polski, w listopadzie 1918 r. zgłosił się do Legii Akademickiej; zginął 8 czerwca 1919 r. w ofensywie czortkowskiej w stopniu starszego szeregowca. Według oficjalnej wiadomości przysłanej 20 czerwca 1919 r. do Wądołek, zginął pod Czortkowem, a według spisu „Straty WP w latach 1918–1920” w Zagórzu – 16 km na południe od Lwowa. Po śmierci został odznaczony Krzyżem Walecznych.

POWROTY

Koncepcje powrotu uchodźców z Rosji do Królestwa Polskiego opracowywano już od 1915 r. CKO na jednym z pierwszych swoich posiedzeń 19–20 IX 1915 r. podjęło decyzję o utworzeniu specjalnego „Funduszu powrotu do kraju”, który miał być zasilany m.in. dobrowolnymi składkami i opłatami. W następnych latach polscy działacze znajdujący się w imperium sporządzali różne plany powrotu i tworzyli organizacje, które umożliwiałyby sprawne przeprowadzenie reemigracji uchodźców. Wiele z tych planów było sprzecznych z oczekiwaniami rosyjskich kół rządowych, a większość nie była możliwa do realizacji po rewolucji październikowej. Jak pisałam przejęcie władzy przez bolszewików, spowodowało znaczne pogorszenie sytuacji uchodźców. Większość z nich wpadła w skrajną nędzę. W zastraszającym tempie rosło bezrobocie. Brak żywności i wzrost cen spowodował, że zaczęto wrogo traktować wygnańców obwiniając ich za wszystko. Szczególnie niebezpieczna była sytuacja inteligencji. Nic więc dziwnego, że w tej atmosferze anarchii, rosnącego terroryzmu wielu tułaczy na własną rękę szukało dróg powrotu do kraju. Trudno było realizować opracowane wcześniej plany systematycznej repatriacji, pilnować ustalonych tras powrotu i punktów koncentracyjnych uchodźców.

Jako pierwsi, jeszcze w 1917 r. ruszyli ci, których fundusze pozwalały na przejazd przez Sztokholm. Wracający tą drogą musieli mieć przetłumaczony na język niemiecki paszport wizowany przez konsula szwedzkiego. Podstawą do jego uzyskania było tzw. zaświadczenie o polskości. Wydawała je Komisja Likwidacyjna do spraw Królestwa Polskiego¹⁵⁸ działająca przy Rządzie Tymczasowym Rosji. Z wyjazdu tym sposobem mogły sobie pozwolić tylko pojedyncze osoby.

¹⁵⁸ Komisja Likwidacyjna została ustanowiona z inicjatywy i pod przewodnictwem Aleksandra Lednickiego. Jej zadaniem, poza likwidacją stosunków prawno-administracyjnych między Rosją a Polską, sprawami kościoła katolickiego w Rosji oraz przyszlých granic, były sprawy Polaków – obywateli rosyjskich, zmobilizowanych do wojska rosyjskiego, repatriacja uchodźców z 1915 r., rewindykacja majątności polskich. Komisja ta została oficjalnie zlikwidowana po przewrocie bolszewickim, ale działała nadal pod nazwą Rady Ekonomicznej i Rozrachunkowej. Papiery i zaświadczenia Komisji, a następnie Rady, jako instytucji polskiej zapewniały pewne bezpieczeństwo wobec bolszewickiej

Tak, m. in. w końcu listopada 1917 r. wyjechała hr. Janina Umiastowska, a nieco później – 28 XII 1917r., trasą przez Finlandię i Sztokholm ks. Janusz Radziwiłł z rodziną¹⁵⁹.

Żywiołowy ruch wygnańców w kierunku linii frontu rozpoczął się w pierwszych miesiącach 1918 r. Już po rewolucji lutowej 1917 r. na przyfrontowych terenach Białorusi i Ukrainy zgromadziła się wielka ilość wygnańców. W przyfrontowej Orszy wśród skupionej, pozbawionej środków do życia, ogromnej masy ludzkiej, pojawił się głód i epidemie. Wielu, nie bacząc na niebezpieczeństwa przedostawali się do kraju nielegalnie przez linię okopów.

W miarę legalny powrót stał się możliwy dopiero po podpisaniu traktatu brzeskiego¹⁶⁰ i później, gdy 17 kwietnia 1918 r. podpisano umowę repatriacyjną pomiędzy niemieckimi władzami wojskowymi, a Radą Regencyjną Królestwa Polskiego. W pierwszej kolejności mieli wracać uchodźcy skupieni na zajętych przez Niemcy terenach białoruskich. Z Mińska, każdego tygodnia odchodziło pięć pociągów, a w każdym wyjeżdżało około 700 osób.

Początkowo powrót był płatny – płacono za miejsce w pociągu, wyżywienie, a także za przepustkę dla człowieka i inwentarz żywy. Później opłaty zniesiono. Chcąc powrócić do kraju bez problemów należało mieć świadectwo zwalniające z kwarantanny, czyli zaświadczenie o szczepieniu przeciw ospie wydawane przez PKPS. W przypadku braku takiego dokumentu trzeba było wnieść odpowiednią opłatę i zaszczepić się.

Najłatwiej było zorganizować drogę wygnańcom osiadłym w europejskiej części Rosji. Bieżeńcy zagubieni gdzieś w azjatyckich wioskach mogli nawet nie wiedzieć o możliwościach reemigracji. A ci, którzy w pierwszych miesiącach 1918 r. spontanicznie podjęli decyzję o powrocie, mimo licznych przeszkód stosunkowo szybko osiągnęli upragniony cel. Wracali w niezłym stanie fizycznym i psychicznym, musieli

Czeka. Toteż mnóstwo Polaków figurowało na liście urzędników, wtedy już fikcyjnej instytucji i mogli wyjechać z bolszewickiej Rosji niemieckimi pociągami repatriacyjnymi.

¹⁵⁹ Wojna zastała go w Olyce na Wołyniu.

¹⁶⁰ Traktat brzeski – traktat pokojowy podpisany w Brześciu 3 marca 1918 r., między państwami centralnymi, a Rosją Sowiecką. Oznaczało to praktycznie wycofanie się Rosji z wojny. Traktat poprzedziło zawieszenie broni z 15 grudnia 1917 r.

się liczyć jedynie z ograbieniem ich na punktach granicznych przez bolszewików i Niemców. Repatrianci mogli mieć bowiem przy sobie tylko 500 rubli w postaci tzw. kierenek. Złoto, srebro, ale też dobre buty czy mydło były konfiskowane.

Stanisław Dzierzbicki – polski inżynier, ekonomista i działacz społeczno-polityczny, w pamiętniku pod datą 18 maja 1918 napisał:

„Powrót uchodźców z Rosji przybiera coraz szersze rozmiary. Powracają nie tylko poszczególne jednostki, którym udało się uzyskać pozwolenie, lecz i całe pociągi złożone z różnych stanów, jak np. partia 1200 osób, które razem z Władysławem Grabskim powróciły 20 kwietnia z Pskowa. Akcja reemigracyjna organizuje się na dobre. Przedstawiciele rządu polskiego za zgodą okupantów wysyłani są na punkty pograniczne z upoważnieniem do wydawania przepustek i kierowania całym ruchem powrotnym. Na początek utworzono 5 takich stacji zdawczych. Liczba ich jednak ma być podwyższona do 20. [...] Trochę uchodźców powraca końmi, z powodu jednak drożyzny koni i trudności ich nabycia tylko wyjątkowe osoby mogą z tego korzystać. Większość uchodźców, pragnąc jak najszybciej dostać się do kraju, zgromadziła się już w bliskości granicy np. w Mińsku, Dźwińsku itd. gdzie sprawa pomieszczenia i wyżywienia przedstawia poważne braki”

Jak wynika z tego tekstu posiadający konie mieli możliwość powrotu, ale zgodnie z umową kwietniową musiało się to odbywać w zorganizowanych partiach liczących po 50–60 wozów prowadzonych przez przewodnika. Tak wrócił późniejszy prezydent Polski Stanisław Wojciechowski, a także rodzina Jastrzębskich.

Stanisław Wojciechowski z żoną Marią, piętnastoletnim synem Edmundem i trzynastoletnią córką Zofią, wyruszył z Rosławia 18 maja 1918 r. Mieli cztery wozy zaopatrzone w budki z płótna. Na nich nocowały kobiety i dzieci. Mężczyźni spali na sianie pod wozami. Czekala ich długa droga – ponad 1000 km do Warszawy. Na pierwszym postoju w Krzyczewie dołączyli do nich inni wygnańcy, tak że wyjeżdżali stamtąd w asyście kilkudziesięciu wozów.

Drugim miejscem postoju był Czeryków – tu czekała na nich duża partia wygnańców zaniepokojonych wiadomością, że dalej jechać jest niebezpiecznie, gdyż zbolszewizowani chłopci, po powrocie z okopów, grabią wracających do kraju Polaków. Kilka rodzin doszczętnie ograbionych przez grasujące na szosie bandy piechotą zawróciło z drogi.

Dla ochrony przed tymi bandami Wojciechowski załatwił kilku uzbrojonych żołnierzy łotewskich, którzy zgodzili się odprowadzić grupę do Żurawicz, gdzie był ostatni posterunek rosyjski. Koszt asysty oprócz wyżywienia wyniósł 925 rubli. Karawana przy wyjściu z Czerykowa liczyła już około 150 wozów.

W Propojsku dołączyła do nich jeszcze jedna partia wygnańców. Jechali wolno, gdyż niektóre rodziny miały tylko jednego konia, a wozy były bardzo naładowane. W drodze panowała nerwowa atmosfera, strach przed bandytami. W pewnym momencie wystarczyła iskra, aby wygnańcy w popłochu spakowali się i nocą ruszyli dalej, aby szybciej opuścić niebezpieczny teren. O świcie dojechali do Żurawicz, do trzydziestokilometrowego pasa neutralnego, gdzie eskorta wojskowa zostawiła ich, gdyż według zawartych z Niemcami umów nie wolno było żołnierzom obu stron wkraczać na ten pas.

Tu na powracających czekała nowa przeszkoda – skorumpowani bolszewicy robili trudności legitymując i sprawdzając, czy na wozach nie ukrywają się kontrrewolucjoniści. Jedyną metodą przebrnięcia przez to, była łapówka. Po okupieniu się, bojąc się dalszych szykan ruszyli galopem i pędzili tak długo jak pozwalały na to siły koni. Zatrzymali się dopiero nad Dnieprem, już pod okupacją niemiecką.

Tu czekała ich nowa przeszkoda w postaci szlabanów na szosie. Przy pierwszym posterunku oświadczone im, że dalej jechać nie wolno – należy czekać na pasie neutralnym aż przyjdzie rozkaz przepuszczenia ich, co potrwa co najmniej kilka dni. Tymczasem pogoda popsuka się, zaczął padać śnieg, a las wokół był doszczętnie wyrąbany i nie było drewna na ogniska, aby ogrzać zziębnięte dzieci. Po negocjacjach przypiętowanych łapówką Niemcy zgodzili się w końcu przepuścić Wojciechowskiego do Rohaczowa, aby przyspieszył wydanie przepustek. Przepustki te oczywiście kosztowały, ale na szczęście miał na nie pieniądze z CKO.

W tym czasie w Bobrujsku odbywało się rozformowywanie Korpusu Muśnickiego i Niemcy podejrzewając, że karawana wracających uchodźców jest zakamuflowanym wojskiem robili trudności z ich przyjęciem. Na kilka kilometrów przed mostem na Dnieprze, wzdłuż którego biegła granica niemiecko-bolszewicka komendę nad karawaną objęli żołnierze niemieccy. Przed mostem kazano mężczyznom oddać lejce

w ręce kobiet i wyjść na przód, uszeregować się w czwórki i tak przejść przez graniczny most.

Góra Zamkowa po drugiej stronie mostu obsadzona była żołnierzami gotowymi do strzału i działami skierowanymi na most. Na ten widok wszystkich ogarnął strach, ale szczęśliwie pokonali most, a po drugiej stronie kazano im przejść przez miasto bez zatrzymywania, po czym poczekać na kobiety i wozy.

W dalszej drodze karawana została rozdzielona na małe grupy, gdyż przy napotykanym na szosie szlabanach strażnicy niemieccy nie przepuszczali naraz więcej niż kilka wozów. Przy tym pobierali po 5-10 rubli od tych, którzy chcieli przejść poza kolejnością. Nieraz taki postój przy szlabanie trwał kilka godzin, a na noc szlaban zamykano na kłódkę. W Sieniawce Niemcy urządzili kwarantannę. Każda rodzina musiała przebyć trzy dni w specjalnym obozie, o ile nie zdołała za pomocą łapówki wydobyć się z tego niebezpiecznego miejsca. Warunki tam urągały wszelkim zasadom sanitarnym; baraki dla uchodźców i łaźnie były brudne, na środku obozu stał barak dla chorych na tyfus płamisty. Dzieci hurtowo szczepiono na ospę mimo, że niedawno były szczepione, a zaświadczenie bez szczepienia można było dostać za 1 rubla.

Z Siniawki większość wygnańców skierowała się na Słonim i Biały-stok, a Wojciechowski z kilkoma rodzinami przez Berezę Kartuską, Białą, Międzyrzec, Siedlce do Warszawy. Pielgrzymka z Rosławia do Warszawy trwała miesiąc - dotarli 18 czerwca kompletnie ogołoceni z pieniędzy wydanych na łapówki dla bolszewików i Niemców.

Mój ojciec w połowie kwietnia 1918 r. został zwolniony z wojska i dotarł do Klimowicz. Zastał tam zdezorientowanych rodziców, a mając dobre rozeznanie w sytuacji włączył się w organizowanie okolicznych rodaków na powrót do Polski. Organizacja była powiatami. Każdy powiat miał opiekuna. Wyruszyli 12 czerwca¹⁶¹, czyli miesiąc później niż grupa Wojciechowskiego. Jak wspominał:

„Starszy, który organizował nasz wyjazd zebrał około 60 wozów. Zgodziliśmy 40 krasnoarmiejców, zapłaciliśmy im pieniędzmi i wódką, samogonem. Mieli zaprowadzić nas do niemieckiej granicy. Wówczas dołączyło do nas 12-15 wozów hr. Radziwiłła. To były rosyjskie wozy na drewnianych osiach,

¹⁶¹ Data podana przez ojca w dokumencie Przebieg Służby Wojskowej - CAW AP 3881.

konie bardzo słabe, rosyjskie. Na każdym wozie była najbiedniejsza polska rodzina, a pod spodem zapakowano dzieła sztuki i z tym wszystkim ci bolszewicy zaprowadzili nas do tak zwanej zielonej pałasy (pas neutralny) – to jest linii, gdzie kończy się władza rosyjska i nie ma żadnej władzy i dopiero za 12 km jest granica niemiecka. Więc te 12 km były bezpańskie. Bolszewicy – tych 40 nie chcieli nas dalej prowadzić. Baliśmy się, że oni sami nas okradną wiedząc, na którym wozie jest coś lepszego. Przez ten czas jak nas prowadzili zdążyli się zorientować, że są lepsze i gorsze rzeczy. Od tego momentu wszelka organizacja się załamała. Przedtem jak komuś zepsuło się koło, to wszyscy czekali aż to koło się naprawi, zmieni i dopiero jechało się dalej. Od tego momentu tylko silniejsze wozy i konie jechały nie patrząc co stało się z innymi. Nie było żadnej możliwości utrzymania porządku. Tak dojechaliśmy do granicy. Granica była zamknięta. Szlaban. Był tylko jeden starszy Niemiec i powiedział wyraźnie granica zamknięta. Jak chcecie możecie jechać bocznymi drózkami tam sobie przejedziecie granicę. Mnie to nie obchodzi. Ale tylko ci mogli jechać, którzy mieli lekkie wozy i silne konie. Był tam niesamowity piach i bezdroża. My mieliśmy wozy załadowane i ciężkie. Nie mogliśmy zjechać z szosy, z bitej drogi. Te 12–15 wozów utworzyły kwadrat jak burowie¹⁶². Każdy kto miał wyjął karabin czy rewolwer i tak czuwaliśmy obawiając się napadu i rabunku, ale na szczęście nic się nie zdarzyło, chociaż band wokół było pełno. Tak staliśmy dwa dni. Po dwóch dniach granicę otworzyli i spokojnie przejechaliśmy do Niemców. W międzyczasie Dowbór-Muśnicki¹⁶³ zdawał Niemcom cudowną uprzęż, cudowną artylerię, cudowne francuskie działa, konie jak smoki¹⁶⁴. Żołnierze zamieniali z naszymi konie. Bez żadnych trudności dojechaliśmy do Wiktorowa”.

Do domu dotarli po miesięcznej wędrówce 13 lipca 1918 r. Łatwo zauważyć, że wspomnienia z powrotu Wojciechowskich i Jastrzębskich są bardzo podobne. Obie rodziny wracały w czasie, kiedy rozbrajany

¹⁶² Burowie, od końca XIX w. zw. Afrykanerami, potomkowie kolonistów holenderskich, niemieckich i francuskich przybyłych do Afryki na Przylądek Dobrej Nadziei, walczyli z Buszmenami, Hotentotami i innymi.

¹⁶³ Józef Dowbór-Muśnicki; generał, w 1917 r. organizator i dowódca I Korpusu Polskiego Rosji, tzw. Dowborczyków; walczył z bolszewikami na Białorusi, a w maju 1918 r. podporządkował Korpus Niemcom. Dzieje Korpusu opisuje M. Wańkowicz w opowiadaniu – *Strzępy epopei*.

¹⁶⁴ Rozwiązując Korpus Dowbora, Niemcy zagarnęli ogromne składy zgromadzone w twierdzy bobrujskiej, zapasy amunicji, broni, odzieży, żywności i ok. 30 tys. koni, m. in. z najlepszych wtedy w Europie stadnin – antonińskiej, sławuckiej, a także najpiękniejsze prywatne wierzchowce.

Wyruszyli z Siebieża 23 kwietnia o 7.30. Dla bezpieczeństwa jechali większym taborem w którym oprócz rodziny Romerów byli m. in.: Komarowie, Szemiohowie, Hilchenowie, pan Ogiński. Ogółem jechało 19 furmanek. Romerowie wzięli ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy- 2 kuferki, kilka walizek, troki z pościelą, parę worków z chlebem, jedzeniem i podstawowym sprzętem kuchennym. Pieniądze ukryli; część zaszyli w chomątach koni, a część schowali na dnie wozu drabiniastego. Przy sobie zostawili tylko kilkaset rubli. Inne cenne rzeczy jak złote zegarki, dokumenty, plany ukryli wśród ubrań w kufrach. Nadkładając nieco drogi zdecydowali się jechać lasem pod opieką znajomego dowódcy artylerii i kilku żołnierzy, gdyż dowiedzieli się, że podczas jazdy gościńcem trzeba 3-5 razy poddawać się rewizji bolszewickiej, w czasie której pod pretekstem kontrabandy konfiskowali różne rzeczy. Starali się, aby ich tabor nie miał „burżujskiego” wyglądu, aby robił wrażenie przeciętnych wygnańców. Dorośli szli pieszo, kobiety w chustkach na głowie siedziały na tłumokach na skromnych jednokonnych wozach.

Przez most na granicznej rzece Siniucha (obecnie Sinuja) przeszli bez przeszkód. Po szykanach i ciągłym zagrożeniu życia pod władzą bolszewików patrzyli na Niemców jak na zbawców, starając się nie pamiętać złych opinii, jakie słyszeli o ich rządach. W sumie do Rozenówki, gdzie mieli pierwszy nocleg przebyli 35 wiorst. Dalej jechali pociągiem do Rzeżycy. Tu musieli czekać na pozwolenie na powrót do kraju. Niektórzy, jak dowiedzieli się, czekali na nie już kilka miesięcy.

Dalej znowu towarowym pociągiem do Dźwińska, potem do Szawel. W 26 wagonach jechało 1000 uchodźców. Tu prawie – pod domem, w obskurnym obozie, należało odbyć kwarantannę. Zwykle trwała ona około 12 dni, ale dzięki wstawiennictwu znajomych już 1 maja dostali pozwolenie na wjazd i świadectwo zdrowia.

Jak pisał: *„Na paszportach naszych napisano świadectwo lekarskie, że jesteśmy „Emtlausung” 8-dniową kwarantannę – wszystko z podpisami doktora, komendanta, sekretarza i z pieczęcią urzędową, a w rzeczywistości od tygodnia naszej podróży nie widzieliśmy żadnego doktora, nikt nie sprawdzał ani stanu naszego zdrowia, ani szczepienia nie tylko w łaźni nie byliśmy, ale nawet nie mieliśmy możliwości ani razu porządnie się umyć, a najwięcej czasu spędziliśmy w brudnym wagonie w towarzystwie mocno pod względem wszy niebezpiecz-*

nym. Tak wygląda porządek i systematyczność Niemców tutaj! Nam się udawało wszędzie dzięki znajomościom, tak że nigdzie długo nie siedzieliśmy, a przez to że partię wileńską na kwarantannę przywieźli do Szawel dostaniemy się do Cytowian znacznie prędzej niż się spodziewaliśmy.” W rezultacie do swojego majątku w Cytowianach dotarli 3 maja.

Nie wszyscy mieli tyle szczęścia, podróż niektórych trwała kilka tygodni, była bardzo uciążliwa, a rodziny wracały schorowane, umęczone, ograbione z pieniędzy.

Wielu uchodźcom udało się opuścić Rosję koleją. Organizacją takiej podróży zajmowali się specjali „przedsiębiorcy”, którzy brali pieniądze za miejsce w wagonie towarowym i przewóz bagażu, zapewniając również przejechanie granicy bez rewizji i rabunku.

Taką drogą z Moskwy przez graniczną stację Orsza, dojechała do kraju rodzina Jana Lutosławskiego oraz Stefan Glinka z panną Piętkówną (przyjaciółką rodziny)¹⁶⁶.

Z Krasnowodzka (Turkmenia) w kwietniu 1918 r. wracali Konstanty Roth z żoną Heleną. Droga była daleka. Najpierw musieli przedostać się przez Morze Kaspijskie do Astrachania – dalej Wołgą do Carycyna. Tu mając zaświadczenie, że są uciekinierami powracającymi do kraju próbowali dotrzeć do Żytomierza, gdzie mieszkali ich babcie. Zaczęło się wyczekiwanie na pociągi zdobywanie biletów, chleba i jedzenia na drogę. Jechali wagonem towarowym, bez stopni, nar (posłań), ubikacji. Pociąg jechał zrywami – niespodziewanie stawał i ruszał. Jednocześnie odbywały się kontrole biletów, dokumentów, rewizje pasażerów. Skład włókł się w żółwym tempie, trwało to około 2–3 tygodni. Jak pociąg stawał w polu wszyscy wyskakiwali i tuż przy wagonach załatwiali w pośpiechu swoje potrzeby – nie było wiadomo, czy pociąg nagle nie ruszy. Małe dzieci matki wysadzały przez okno. Na szczęście nie brakowało jedzenia. Po drodze, jak wspomina Helena, w pewnym momencie zdobyli czarny kawior i potem jedli go z beczułki łyżkami do zupy. Na stacjach można było kupić herbatę, wrzątek, zupę, mleko, chleb, masło a nawet pieczony drób. Niestety pociąg, którym jechali stanął w szczerym polu 400 wiorst (430 km) od frontu.

¹⁶⁶ Władysław Glinka – *Pamiętnik Wielkiej Wojny. Koniec wygnania i powrót do kraju 18 lutego – 4 października 1918 r.*, t. 4, Skł. Gł. Gebethner i Wolff, Warszawa 1928.

Wzięli tobołki i wobec braku innych możliwości najmowali furmanki jadąc od wsi do wsi. Nocowali na sianie, w spichrzu czy szopie. W dużych wsiach były zajazdy i czasem trafił się im pokój z łózkami. W końcu zawędrowali do Pawłowska nad Donem. Aby dostać się do Żytomierza musieli jeszcze przedostać się przez front, gdzie trwały walki. Niemców spodziewano się lada chwila, więc początkowo czekali aż front ich zagarnie. Tymczasem ogłoszono zawieszenie broni. Musieli w jakiś sposób przejść przez linię frontu. Dotarli do mostku, którego pilnowali żołnierze w niemieckich mundurach. Bali się, że ich nie przepuszczą. Nagle usłyszeli mowę polską – okazało, że żołnierzami byli poznaniacy. Przepuścili ich bez problemu. Dalej już bez przeszkód pociągami dojechali do Żytomierza. Babcie zaczęły starać się o pozwolenie powrotu do Warszawy, a oni do Ober-Ostu¹⁶⁷, w obrębie którego znajdował się ich majątek Wierzchowice. Trwało to parę miesięcy. W drodze musieli przejść odwzhanie, które było dla nich przykrym przeżyciem- rozdzielili kobiety od mężczyzn, kazali im rozebrać się do naga, ubranie oddali do dezynfekcji – nie byłoby to takie przykre gdyby nie to, że kobietom przyglądali się lekarze i ich asystenci. Do Wierzchowic dotarli 8 września. Czyli podróż trwała ok. 4 miesiące.

W pierwszej połowie maja 1918 r. podobną drogą przez Morze Kaspijskie, Astrachań i Moskwę dotarła do Polski grupa Polaków z Aszchabadu, leżącego również z Turkmenii.

Latem 1918 r. – kto mógł uciekał z Rosji, a na trasach ucieczki rozgrywały się dantejskie sceny. W czasie trzech miesięcy repatriacji z Mińska do kraju wyjechało pociągami 51 365 osób; (legalnie 38 925 i 12 440 nielegalnie), drogami kołowymi 71 023; (legalnie 31 924, nielegalnie 39 925).

Pociągi repatriacyjne do Polski odjeżdżały również z petersburskiego Dworca Warszawskiego. W jego budynku i na peronach tłoczyli się objuczeni bagażem ludzie ściskający w ręku jakieś dokumenty- *bumagi*, dzięki którym mieli nadzieję dostać się do wagonów. Bumagi były rozmaite. Najpowszechniejsze to karty demobilizacyjne wystawiane

¹⁶⁷ Obszar Głównodowodzącego Wschodu – *Gebiet des Oberbefehlshabers Ost* – wydzielona część Imperium Rosyjskiego, okupowanego przez Cesarstwo Niemieckie od 1915 roku, planowana do oderwania od Rosji.

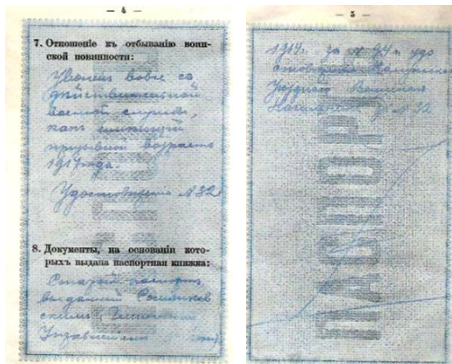
przez oficerów z poselstwa niemieckiego w Petersburgu. Wykorzystywano też *udostowierienija* – zaświadczenia od różnych instytucji i organów władzy rosyjskiej czy bolszewickiej.

Pociągami z Petersburga wracał Stefan Kiedrzyński (znajomy Witkiewicza - Witkacego, popularny wówczas komediopisarz i aktor. Tak opisał tę podróż: „jechałem pociągami, w których odbywały się sceny rozdzierające, w którym płakanona głos, bito się i kopano, zrzucano ze stopni i spychano na obracające się jeszcze koła. To było piekło”



Paszport wydany przez Miejski Komisarzyczny Zarząd Kaługi 6 kwietnia 1918 r.; Antoni Feliks Kazimierowicz Flawianowicz Jastrzębski obywatel Guberni Warszawskiej, pow. pułtuski, gm. Somianka, wieś Ciski¹⁶⁸, ur. 29 października 1896 r. (wg starego stylu), miejsce stałego zamieszkania Kaługa, stan cywilny – kawaler, wyznanie – rzym.- kat.

¹⁶⁸ Jak wynika z zapisów w paszporcie wydanym w czasie pobytu w Rosji – ojciec podał, że pochodzi ze wsi Ciski w gminie Somianka, guberni warszawskiej, czyli z Królestwa Polskiego. Tymczasem w rzeczywistości urodził się i mieszkał w Wiktorowie powiatu bielskiego, guberni grodzieńskiej, czyli na terenie Rosji. Ciski były majątkiem, w którym urodził się jego ojciec – mój dziadek Kazimierz Flawian Jastrzębski; majątek ten już dawno sprzedano. Prawdopodobnie był to sposób na to, aby być mieszkańcem Królestwa Polskiego, a nie Imperium Rosyjskiego?



Stosunek do służby wojskowej: zwolniony całkowicie z czynnej służby wojskowej w 1917 r., zaświadczenie nr 32. Dokumenty na podstawie których wydano paszport: Stary paszport wydany przez Rosławlskij Zarząd w 1914 r., zaświadczenie nr 94 Kałuskiego Wojennego Zwierzchnictwa nr 32.

Jedną z wielu organizacji zajmującą się powrotem Polaków z rozpadającego się carskiego imperium było Towarzystwo Powrotu na Litwę i Białoruś. Zadaniem towarzystwa było załatwianie z dowództwem Ober-Ostu zezwoleń na przekraczanie linii frontu oraz wydawanie repatriantom papierów umożliwiających wyjazd. Dokument drukowany na grubym kartonowym papierze wystawiony był w pięciu językach: po polsku, litewsku, białorusku, rosyjsku i niemiecku, co obok odręcznych podpisów prezesa i sekretarza owego towarzystwa oraz imponujących czerwonych pieczęci znakomicie poprawiało moc jego biurowego oddziaływania. Dysponując odpowiednią kwotą pieniędzy można było uzyskać taki dokument nie mając nic wspólnego z terenem Litwy czy Białorusi.

Na petersburskim dworcu pod czujnym okiem patroli Czerwonej Gwardii rosyjscy celnicy kontrolowali bagaż wyjeżdżających.

Generał Kazimierz Pławski tak wspomina ten moment: „Nasz bagaż składał się z dwóch dosyć ciężkich kufrów. Jeden z tych kufrów miał podwójne dno, na jego spodzie ukryłem albumy fotograficzne, aparat fotograficzny i inne cenne pamiątki. Przetrzęsnęli starannie zawartość tych kufrów, przy czym urzędniczka celna bezwstydnie wyjmowała części garderoby mojej żony, a w zamian wkładała stare szmaty spod lady, lecz na to nie było żadnej rady.”

Zdarzało się, że czerwonoarmiści sprawdzający zaświadczenia zabierali ze spokojem cały kufer.

Niektórym udawało się przemyścić ukryte przy sobie niewielkie woreczki z uciulanymi złotymi pięciorublówkami¹⁶⁹. Pociągi były przepelnione. Jazda na dachach, buforach, stopniach, była normalna i nikogo nie dziwiła. Rozkład jazdy nie obowiązywał. Składy odchodziły według doraźnego porządku- wtaczały się na peron i natychmiast zapępniały ludźmi. Czasem ruszały niemal natychmiast, a czasem stały wiele godzin, budząc niepewność i zdenerwowanie pasażerów. Jedy- nym czynnikiem warunkującym powodzenie wyjazdu było zgroma- dzenie w składzie odpowiedniej liczby wagonów, a z tym były trudno- ści. Polacy często organizowali się w większe grupy i zrzucali na ła- pówkę dla kolejarzy, aby wygospodarowali na bocznicy jakiś dod- atkowy wagon. Papiery i pieniądze zebrane razem dawały szansę na szybki wyjazd z bolszewickiej Rosji. Sama podróż przez ogarnięte czerwoną anarchią ziemie była śmiertelnie niebezpieczna. Pociąg co jakiś czas zatrzymywał się na małych stacyjkach lub w szczerym polu. Wzdłuż traktów kolejowych grasowały bandy dezerterskie i pospolitych opryszków, nie mówiąc już o bolszewickich sotniach czy patrolach. Zdarzały się napady, gwałty czy nieoczekiwany ostrzał. Podróż z Petersburga, przez graniczny Psków, do Warszawy trwała około dwóch tygodni, gdyż po przekroczeniu niemieckiej linii frontowej pa- sażerowie musieli odbyć kwarantannę.

Późnym latem 1918 r. z Niżnego Nowogrodu pociągiem w kierunku granicy jechała rodzina leśnika Szpakowicza z Białowieży. Granicę rosyjsko-niemiecką przejeżdżają w Połocku. Niemcy prosto z pociągu kierują ich za miasto do ogrodzonych drutem kolczastym baraków. Przy wejściu szukają w ich bagażach „wywrotowej literatury”. Ubranie oddają do dezynfekcji. Do jedzenia dostają głównie zupę z brukwi z dodatkiem brzożowych wiórków. Ludzie głodują, większość z nich nie ma pieniędzy i zapasów. Szukają jedzenia poza obozem. Bracia Szpakowicze przez cały dzień potrafią wykopać nawet kilogram ziem- niaków. Dzielą je między ósemkę rodzeństwa, matkę w zaawansowanej ciąży i ojca. Spędzają w obozie 6 tygodni. Do Bielska dowlekają się w listopadzie.

¹⁶⁹ Zaoszczędzone w wojsku przez ojca i przywiezione w ten sposób złote pięciorublówki - dzieci i wnuki dostają jeszcze teraz z okazji ślubu...

Tylko niektórym udaje się uniknąć kwarantanny. Do takich wybrańców należało m. in. rodzeństwo Czapskich oraz ci, którzy podróżowali z Petersburga pod opieką Henryka Przewłockiego. Jak wspominała Maria Czapska: *„Na twardych ławkach trzeciej klasy roztrzęsionych wagonów pociągu repatriacyjnego dojechaliśmy do Pskowa – granicy okupacji niemieckiej, tu miało się odbyć odwzajemienie wszystkich pasażerów. Nam jednak niemiecka służba sanitarna zaufała i bez żadnej ceremonii przerzucono nas z szerokotorowej kolei rosyjskiej na normalną kolej niemiecką.”*

Podróż pociągiem wspomiana była przez wielu repatriantów. Jeden z nich pisał:

„Oczywiście nie można było zabrać zbyt wiele. [...] Trochę drobiazgów nadających się do niesienia w rękę i odrobina żywności. [...] Podróż odbywała się w niezbyt czystych wagonach towarowych, [...] w których siedzieliśmy na podłodze [...] Podróż nasza trwała chyba około tygodnia z ciągłymi przystankami, przeważnie gdzieś w polu. [...] Jeżeli to był dzień wszyscy wysypywali się na pobocze toru kolejowego, bez zbytniego jednak oddalania się od niego, bo nigdy nie było wiadomo kiedy pociąg ruszy w dalszą drogę. [...] Pamiętam, że wielu ludzi chorowało [...] Tak dolekleliśmy się do jakiejś stacji Pomorsk, leżącej na granicy strefy objętej działalnością niemiecką, gdzie obowiązywało odbycie tzw. kwarantanny, której wszyscy bardzo się obawiali, bo trzeba było oddawać odzież do dezynfekcji, a dochodziły pogłosy, że przy tej okazji wypruwano ze szwów wiezione przez niektórych „świnki”. Zdaje się, że jadący podjęli zbiorowo jakąś akcję zabezpieczającą, bo udało nam się tej kwarantanny uniknąć. I tak po strasznej udźce dobrnęliśmy do rodzinnej Łomży”¹⁷⁰.

Władysław Glinka dzięki dokumentom przesłanym mu z Bobrujska przez gen. Dowbora-Muśnickiego, mógł wyjechać do kraju już w kwietniu 1918 r. W zaświadczeniu zapisano, że jest pastuchem bydła wojskowego. Przebywająca z nim panna Piętkówna miała być dójką, a młodszy syn Stefek chłopcem do pomocy (starszy syn Jan po wielu perypetiach wyjechał w lutym przez Psków i Dźwińsk).

Glinka, nie chcąc porzucić żywego inwentarza, którym się opiekował z ramienia Centralnego Towarzystwa Rolniczego, nie zdecydował się skorzystać z tej drogi.

¹⁷⁰ Stanisław Kalinowski – *Moje dzieciństwo*, Arch. Wsch. sygn. II 2945 s. 25–27.

Wyprawił do Warszawy jedynie pannę Piętkównę i młodszego syna Stefka. W lipcu został aresztowany i osadzony najpierw w Łubiance, potem Tagance, a ostatecznie na Butrykach.

Zwolniono go 21 września. Na odchodnym musiał podpisać pismo, że nie będzie działał przeciwko władzy sowieckiej i możliwie szybko opuści terytorium Rosyjskiej Federacyjnej Republiki. Zrobił to z chęcią, tym bardziej, że dowiedział się, że inni działacze – bracia Marian i Józef Lutosławscy zostali rozstrzelani. Przed wyjazdem odwiedził na cmentarzu grób jego zmarłej rok wcześniej córki Madlenki.

Wyjechał pociągiem przez Orszę. Towarzyszył mu przedsiębiorca i działacz Józef Ewert. Mieli paszporty dyplomatyczne co nie przeszkadzało czerwonarmistom ograbić ich z większości pieniędzy. Ewertowi zabrali nawet zaręczynowy pierścionek z brylantem. Udało się przewieźć jedynie pieniądze schowane w podściółce butów i w zapieczętowanym bagażu dyplomatycznym. Mimo tych przygód i strat podróż tą można uznać za luksusową.

Latem 1918 r. organizowaniem wyjazdów polskich wojskowych z Rosji zajmowało się poselstwo niemieckie w Petersburgu. Niemcom po pokoju brzeskim zależało, aby jak największą liczbę polskich wojskowych przerzucić na zajęte przez nich tereny Królestwa Polskiego. Organizatorem wyjazdu z Petersburga w ramach tzw. Komisji Likwidacyjnej był hr. Stefan Prądzyński. Wyjechał wraz z 45 osobami, na prawach misji cudzoziemskiej, z bagażami, archiwum, posiadaną bronią i dobytkiem członków Komisji 1 lipca 1918 r. dojechał do Warszawy. W grupie tej był Witkacy – były porucznik armii carskiej. Dzięki temu mógł nie tylko wyjechać z Rosji, ale również przewieźć sporo obrazów – szkice, rysunki, rękopisy.

Janina Zofia Potocka we wrześniu 1918 r. przebywając w Wylinach – Ruś k. Wyszonek na Podlasiu, spacerując po zwykle pustej szosie, nagle zobaczyła ogromne wozy kryte płótnem ciągnięte parą koni, czasem ale rzadko, czterema, jadące wolno. Na wozach kobiety, dzieci, starzy ludzie. Mężczyźni w sile wieku szli obok. Jechali z Charkowa, wracali do siebie.

Zapytani jak im było w tej Rosji – *„odpowiedzieli wcale nieźle, zarobiło się niemało pieniędzy, wracają bo tęskno i strach przed bolszewikami. Droga była ciężka, szczególnie na nowej granicy. Puścić nie chcieli. Dnie całe trzeba*

było siedzieć. Był tam komitet polski który miał nam dawać świadectwa. Ale Polak, kiedy urzędnik, to taki wielki pan, że ani mówić do niego. Był tam jeden, do którego chodziłem i chodziłem i nic. Ne chciał nawet odpowiadać”

Inny mężczyzna spotkany na szosie żałował, że dał się namówić żonie tęskniącej za krajem narzekając – „*tu głód, nic nie ma, wszystko Niemcy zabierają. A tam było co jeść”*.

Do 15 września w celu rozładowania zatorów komunikacyjnych podchodzono ulgowo do papierów przewozowych. Później Niemcy przepuszczali tylko wygnańców mających odpowiednie dokumenty. W kolejnych miesiącach i latach pojawiło się wiele barier, które np. prostemu chłopu niełatwo było pokonać. Mimo podpisywania traktatów i zawieranych umów „wyciągnięcie” kolejnych grup uchodźców wiązało się niejednokrotnie z ogromnym wysiłkiem osób i organizacji odpowiedzialnych za całą akcję repatriacyjną. Do Polski wracało coraz więcej ludzi schorowanych, wynędzniałych wymagających pomocy. Na początku października 1918 r. władze niemieckie zamknęły przejście w Orszy, a 1 listopada za zgodą władz radzieckich przejęły organizację akcji repatriacyjnej w swoje ręce

Powstanie niepodległego państwa polskiego jeszcze bardziej skomplikowało kwestię repatriacji. Polska, obawiając się szpiegów i przeniesienia idei rewolucji, niezbyt chętnie przyjmowała uchodźców z bolszewickiej Rosji. Wojna polsko-bolszewicka jeszcze bardziej utrudniła tysiącom przymusowych emigrantów przebywających w głębi imperium powrót do kraju. Wielu z nich będzie musiało czekać na to jeszcze trzy, cztery, a nawet sześć lat. Najdłużej będą wracać chłopci białoruscy i ukraińscy.



Ziemie polskie w listopadzie 1918 r.
 [Marek Rezler – *Polska niepodległość 1918*, Wyd. Poznańskie 2018.]

Ogromna większość powracających do swoich siedzib nie zastała już domów rodzinnych w stanie, jakim je opuściła. Często był to tylko stos gruzów, popiołów, zwęglone pogorzelniska kryjące pracę kilku pokoleń i cenne pamiątki.

„Cały kraj przypominał pustkowia. Jedzie się wiorsta za wiorstą i żywej duszy nie spotyka. Pustka, jakiej dawniej tu nie było. Po lasach gajówki spalone a w bliskości szosy, ciągną się okopy rosyjskie i niemieckie. Czasami Moskale wychodzili tak prędko, iż nie mieli czasu palić i niektóre zabudowania uchowały się, np. zostały nietknięte wsie w okolicy Mnia i Rusi. Szosa zarośnięta trawą, wsie opustoszałe duża część pól nie uprawiona, porośla brzoźami, rzadko kiedy spotykało się żyjącą istotę, człowieka czy zwierzę, za to lisy spokojnie, niczym nieproszone myszkowały o parę kroków od szosy” – pisała powracająca Helena Roth.

Nareszcie u siebie

Wiktorowo, majątek dziadków w 1918 r. znalazł się w granicach Ober-Ostu, podlegającego Niemieckiemu Zarządowi Głównodowodzącego Wschodu. Był to teren traktowany przez okupanta jak kolonia.

Administracja miała charakter wojskowy, uwzględniała przede wszystkim interesy armii i państwa niemieckiego. Ludność była terroryzowana – nie wolno było jeździć bez specjalnych pozwoleń, handlować pszenicą czy ziemniakami, polować, posiadać broni. Niemcy zajęli państwowe i opuszczone przez właścicieli majątki ziemskie i gospodarowali na nich w sposób niszczycielski; wycinali lasy, pobierali dzierżawy. Szczególnie dotkliwe dla ludności były przymusowe dostawy dla wojska.

Okupanci żądali dostarczania nie tylko koni, zboża, siana, słomy ale również skór zwierzęcych, owoców, jarzyn, jagód leśnych, grzybów, jarzębiny, suszonej pokrzywy, tataraku, a nawet w pewnym momencie zażądano po 2 ropuchy od gospodarza. Władze często żądały więcej, niż gospodarstwo było w stanie wyprodukować. Daninę udawało się zmniejszyć dopiero po wręczeniu łapówki.

W Rudce właściciele musieli wymóc na urzędnikach przysłania swoich ludzi, którzy kontrolowali młóckę, aby przekonali się, że ich wymagania są niemożliwe do spełnienia. Ludzie nękani podatkami, przymusową pracą cierpieli głód albo zmuszeni byli do oszukiwania, opłacania się łapówkami.

Dziadkowie Jastrzębscy po powrocie do Wiktorowa zastali majątek bardzo zaniedbany. Przez wiele lat mieszkali w czworakach, jedynym ocalałym budynku. Według danych z 1921 r. ten murowany dom mieszkalny zamieszkiwało 48 osób.

Jak wspomina ojciec: *„W Wiktorowie zastaliśmy tylko czworaki, w których stróż, Niemiec – Ślązak, opróżnił nam jedną izbę i pozwolił się przenieść, bo początkowo mieszkaliśmy w spichrzu. Z nami wrócił ogrodnik Iwiński – jednym koniem i jednym wozem. Ślązak pozwolił nam uprawiać sobie i zasiać kawałek ziemi. Sąsiedzi z Leszczki i Grannego dali zboża na obsiew i troszkę obsialiśmy, żeby było co jeść. Niemcy gospodarowali w dalszym ciągu na na-*

szej ziemi. Po pewnym czasie, jak już Niemcy odstępowali ojciec objął gospodarstwo, a ja objąłem rządcostwo majątku Antonin koło Ciechanowca będącego własnością Konstantego Szczuki”



Antoni Jastrzębski [maj 1921 r.]

Z kolei Tadeusz Jastrzębski – brat Antoniego pisał: *„Ostatni raz, kiedy gospodarze z sąsiedztwa – drobna szlachta z Leszczki, udzielili pomocy to był rok 1918, kiedy wróciliśmy z Rosji. Wiktorów był zajęty pod Liegenschaft¹⁷¹. Gospodarkę prowadził Ślązak Michał. Ojcu wtedy zwrócili 10 morgów ziemi (ok. 5,6 ha), które nie były uprawiane; mieliśmy 3 konie i 1 robotnika (dawny ogrodnik). Ojciec poszedł do Leszczki i następnego dnia przyszło 10, a może 20 pługów. Zaorano daną nam ziemię, zabronowano i zasiano. Żyto dostał ojciec od Leszczyńskiego, Oleszuka, a częściowo od Marchela, chłopca z Grannego. Kiedy Niemcy ustąpili z Wiktorowa zostało po nich żyto i ziemniaki. Gmina w Skórcu rozdzieliła je między chłopów. Parę kwintali dostaliśmy i my. Co do mieszkania to zajęliśmy dwa czworaki – dwa mieszkania fornalskie, a po dwóch latach jeszcze trzecie. Było bardzo ciężko, trudno było*

¹⁷¹ Liegenschaft (niem.) - majątek został przejęty w zarząd niemiecki.

związać koniec z końcem. Przez pewien krótki czas ja, ze Stefanem, chodziłem do szkoły do Leszczki – 10 km dziennie. Uczyła mnie córka drobnego szlachcica, panna Felicja Korzyńska, która zrobiła maturę w Kijowie. Potem w 1924 roku ukończyłem gimnazjum humanistyczne im. T. Kościuszki w Łomży.

W granicach Ober-Ostu w powiecie brzeskim znajdowały się bogate przed wojną Rothów majątki – Kopyły i Wierzchowice. Helena i Konstanty wrócili z tułaczki do Wierzchowic 8 września 1918 r.

Jak po latach Helena pisała: „Dziwne wzruszenie ścisnęło za gardło. Niby wszystko to samo, a jednak inaczej”. Okolice były opustoszałe; wspominała: „Najpierw ukazała się nam wioska Lasek, ze swoimi kocimi łbami i zupełnie pustymi lub spalonymi chałupami. Potem Karolin pusty zupełnie, ani człowieka, ani konia, ani krowy. Budynki drewniane spalone, a murywane bez dachów, drzwi i okien. [...] Droga brukowana tylko kawatek, bo niedokończona doprowadza nas do Kopył. Dużo budynków spalonych. Stoją dom i spichrz, dwie obory, dwa czworaki, mleczarnia – wszystko puściutkie, tj. niezupełnie, bo kręcą się Niemcy, ich konie i rolnicze maszyny; gospodarują na roli. Nareszcie Wierzchowice – dom, oficyna, stajnie i inne budynki stoją, ale spalone jedna cerkiew i wszystkie domy w miasteczku. Są Niemcy, zajmują pół domu, spiżarnię, kuchnię. Matce Rothowej dali parę pokoi i dla nas też są dwa”

Młodzi zamieszkali w dawnym gabinecie i salonie, gdzie za szafą spał brat męża. Majątek był w opłakanym stanie. Z bogatego liczącego 400 sztuk stada krów zostało im około 10; z ponad 200 koni było w stajni też 10, z kilkudziesięciu świń i 3–4 tys. owiec nie było ani jednej. Jak wspominała mieli jedynie kilka kur, kaczora i indyka. Ogrody i sady były zniszczone, pola z wyjątkiem tych uprawianych przez Niemców porośnięte brzoškami. W takich prowizorycznych warunkach wegetowali parę miesięcy. Kiedy Niemcy zaczęli opuszczać te tereny, a polskiej władzy jeszcze nie było pojawiły się grasujące bandy. Musieli znowu zaopatrzyć się w broń i organizować samoobronę.

Na Kowieńszczyznę (Ober-Ost) w maju 1918 r. wrócił Edward Romer. Mimo powszechnej wiedzy o restrykcyjnej działalności Niemców cieszył się z powrotu do domu. Zbliżając się do swojego majątku pisał: „Serce rośnie, oddycham powietrzem cytowiańskim, to wystarcza, żeby zacierać wszystkie ciężkie przeżyte wrażenia i łagodzić te co nas oczekują”.

Po dotarciu stwierdził, że dom stoi ale zajęty przez Niemców, a dokładniej przez firmę Schultz budującą kolej i żołnierzy obsługujących gospodarstwo. Był prawie zupełnie pozbawiony mebli, brudny i zniszczony. Meble, jak się dowiedział, były zabierane do okopów niemieckich podczas sześciotygodniowej walki pozycyjnej, a także do umeblowania urzędów, czy wywożone do Niemiec. Nie mogli w nim zamieszkać, ale sąsiedzi przyszedli z pomocą zapewniając mieszkanie i dostarczając wielu potrzebnych rzeczy. Dom i gospodarstwo przejęli od Niemców w styczniu 1919 r. i dopiero wtedy skończyła się ich tułaczka.

Okupacja niemiecka na terenach Ober-Ostu trwała do połowy lutego 1919 r., ale okres względnego spokoju i odbudowy był krótki. Już po kilku miesiącach na tereny te wtargnęli bolszewicy. Uciekając przed nimi wielu ziemian znowu ruszyło w drogę – tym razem na zachód do Królestwa. Dziadkowie Jastrzębscy zostali w domu i skończyło się na stracie koni, które zabrali najeźdźcy. Rodzina, odbudowując gospodarstwo, długi czas borykała się z kłopotami finansowymi. Na wyższe studia mógł pójść tylko jeden z braci, a pozostali skończyli szkoły oficerskie, które zapewniały „wikt i opierunek”. Ojciec nie kontynuował studiów, pracował jako administrator różnych majątków. Dom mieszkalny został wybudowany dopiero w 1929 r.



Dom w Wiktorowie (od strony ogrodu) zbudowany przez ojca w 1929 r.;
przejęty przez państwo w 1944 r. w ramach Reformy Rolnej; fot. z końca lat 50 XX w.

Małgorzata Jastrzębska-Głapa

Odyseja uchodźców polskich
z 1915 roku w oparciu
o wspomnienia
świadków wydarzeń

Trochę historii
dla dzieci i wnuków

Wrocław 2022

© Copyright by Małgorzata Jastrzębska-Głapa

ISBN 978-83-64630-67-5

Korekta, łamanie: Wojciech Kazimierz Głapa

Projekt okładki: Autorka

Fotografia na okładce

Kuchnia polowa dla bieżęńców w Bobrujsku, 1915 r.
(Źródło: A. Prymaka-Oniszk, *Kim byli uchodźcy w Rosji w 1915 r.*,
„Polityka” , 14 marca 2017)

Spis treści

Wstęp	5
Pierwszy rok wojny	9
Wygnańcy i uchodźcy	31
Droga	65
W Imperium	95
Rewolucja	133
Powroty	143
Nareszcie u siebie	161

